

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr II/278**

**1970**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. DŻILAS :

**PONAD DOGMATEM**

WŁ. BIENKOWSKI :

**KATECHIZM ROLNICZY**

A. SOŁŻENICYN :

**WIERSZE PROZĄ**

PELIKAN :

**SYCIĆ NIEPOROZUMIENIE**

SŁ. MROŻEK :

**O POLSKIM ARTYŚCIE**

K. CHYLIŃSKA : **EMIGRACJA POLSKA PO 1967/R.**

## SPIS RZECZY

Pelikan:	<i>Sycić nieporozumienie</i> .....	3
Sławomir Mrozek:	<i>O polskim artyście</i> .....	10
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wścieklizna lewicy</i> .....	13
Kamila Chylińska:	<i>Emigracja polska po 1967 roku</i> .....	17
Andrzej Lubelski:	<i>Tam gdzie rosną poziomki (II)</i> .....	56
◆		
—	<i>Aleksander Sołżenicyn</i> .....	65
Aleksander Sołżenicyn:	<i>Wiersze prozą</i> .....	66
OBSERWATORIUM		
Milovan Džilas:	<i>Ponad dogmatem</i> .....	76
K R A J		
Władysław Bienkowski:	<i>Katechizm rolniczy</i> .....	81
SĄSIEDZI		
Władysław Szreniawa:	<i>Notatnik z podróży po Czechach</i> .....	95
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	108
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	114
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i> .....	125
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Józef Lewandowski:	<i>Tadeusz Manteuffel</i> .....	132
—	<i>In memoriam</i> .....	135
KRONIKA KULTURALNA		
m. d.:	<i>W oczach Londynu</i> .....	137
KSIĄŻKI		
Benedykt Heydenkorn:	<i>Czesi i Słowacy w Kanadzie</i> .....	141
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....	142
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i> .....	147
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	148
◆		
—	<i>Zamiast humoru krajowego</i> .....	154
◆		
T. Bielecki, W. Gniateczyński, B. J. Górski, J. Karcz, R. Ka- len, B. Kwiatkowski, Spora- dyczna Czytelniczka:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	155

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**      Listopad - Novembre      1970

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr K. Garstka, West Branch, Mich. (USA) .....	F. 275,00
Grono b. Kadetów z Rawicza, California (USA) .....	F. 27,50
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz ósmy .....	F. 100,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill. (USA), po raz drugi .....	F. 66,00
W. Onacewicz, Waszyngton .....	F. 247,50
Józef Wittlin, New York, po raz czwarty .....	F. 55,00
Constantine Zelenko, Londyn .....	F. 44,00

DZIĘKUJEMY!

## Sycić nieporozumienie

Na pogrzebie Jasionicy w połowie sierpnia — nie byłem. Nie wiedziałem, że umiera, że umarł. Potem typowe uczucie zawodu, niemal winy. Pech! Jeżeli można tak powiedzieć, bo to jest bezczelne, powiedzieć pech nad czyjąś trumną. Przebywałem na ruchomych, samochodowo-kajakowych wakacjach w okolicy Ostrudy, Jabłonek i Szeląga. Gazet umyślnie się nie czytało, radia, na szczęście, nikt w towarzystwie nie lubił, tranzystorki zostały w bazie. Dziecinne rozigranie, ucieczka od świata, niebezpieczna zabawa, jak się wnet okazało. Nigdy nie wiadomo, co stoi z tyłu za tego rodzaju beztroską, która w naszych warunkach jest czymś bez kwestii niedozwolonym. NIE WOLNO! Wypływało się kajakami w stronę Szeląga, przez pyszne słuzy, tak zabytkowe, jak młyny, czy gniazda bocianów. Raz K. namówił na męską wycieczkę: z gospody w Ostrudzie wzięliśmy pełen woreczek raków (rarytas), piwo, i z niejasnymi zamiarami popłynęliśmy na jedną z wysp. Krzaki, raki — i rozmowa. Jakżeby inaczej. A tymczasem, w Warszawie, na Powązkach, był ten pogrzeb. NIE WOLNO, u nas nic nie wolno! Trzeba się wciąż pilnować.

Przed wysłaniem niniejszego nie było po prostu czasu, tak wypadło, sprawdzić, jak się to odbyło. Zebrał się na Powązkach tłum. Przemawiał Andrzejewski. Przed paru laty o kilkanaście metrów w bok, nad grobem Cata przemawiał tenże Jasionica, w słocie, z policzkami pałającymi. Zresztą zawsze miał policzki lekko przekrwione, co przy jego okrągłej twarzy i okularach czyniło wrażenie rozbijające. Wtedy, na pogrzebie Mackiewicza, był to już ten sam Jasionica, który za rok miał przygotować protest literatów.

Można sobie wyobrazić co mówił Andrzejewski. U nas stało się ceremonialnym zwyczajem, że w pewnych okresach pisarz schodzi na poziom publicystyki, pod afirmującym okiem ogółu

doskonale pamiętającego precedensy (od czasów Mickiewicza). Więc, co tu ukrywać, musi w tym tkwić jakaś drzazga kabotyństwa, zresztą w tym zastosowaniu może nawet pożyteczna, niezbędna — jako środek umocnienia aktorstwa, którego chwila wymaga. Ani myślę uwłaczać Andrzejewskiemu, zakładam stosunkowo prostą rzecz, że gdy odruchy człowieka i jego działanie transmituje się w sferę publiczną, to nie może się obyć bez przydatku pozy: dodaje im ona siły i nośności. Andrzejewski, ten powojenny, znajduje się obecnie w drugiej z kolei roli, w jej zaawansowanej fazie, która prawdopodobnie nie jest ostatnią, czego trzeba życzyć nam i Andrzejewskiemu. Ale przecież nie zapomniął, kim był poprzednio i to go może nawet — paradoksalnie — umacnia, doświadczenie zawsze wychodzi na korzyść. W Szczecinie i potem w Warszawie, gdy jeszcze redagował *Przegląd Kulturalny*, pilnie fabrykował bibulę socrealistyczną i państwowotwórczą, niestety z przymieszką talentu (jeżeli w ogóle jest możliwe uwidocznienie się talentu w tych warunkach), co ją czyniło tym groźniejszą. Potem Andrzejewski wrócił do pisarstwa. Powrót do pisarstwa zaraz go przerzucił na właściwe miejsce za każdym razem dzieje się to niemal mechanicznie, zadziwiająco siłą regulującą ma ten fach, jeżeli jest uczciwie traktowany. Można by młodym ludziom zalecać: siądź w skupieniu nad maszyną do pisania, nie daj się pozorom myśli, ciągnij ją z dna jak dratew — ani się spozrzesz, jak za parę lat będziesz tam gdzie trzeba, człowiekiem, Polakiem, pisarzem. Taka jest polityczna metamorfoza dobrej roboty.

Na początku 1968 roku ukazały się w *Twórczości* fragmenty „Miazgi” Andrzejewskiego. Strasznie dużo formy, jak na mój gust, wyływało to z rąk, jak nadmiar ciała w erotycznym obłapieniu. Nie znam reszty (czy to w ogóle skończone?), podobno to książka z charakterem, jedna z tych, na jakie wciąż się czeka, mniej czy więcej realistycznie wymierzając igielne ucho cenzury. Tak czy owak w marcu 1968 kalkulacje zostały przerwane i Andrzejewski zstąpił dobrowolnie w rejon publicystyki. Z kolei, w związku ze sprawą Czechosłowacji, zmusił warszawską *Kulturę* do ogłoszenia swego protestu. W tym samym czasie mój artykuł pt. „Suma nie napisanych książek” pojechał do Maisons-Laffitte, o czym nie po to tu przypominam, żeby nieskromnie przymierzyć się do Andrzejewskiego, tylko z całkiem innego powodu, natury refleksyjnej: z jakimi wrażeniami będą kiedyś czytać to kalendarium polskie! Dwie „Kultury” (w samej rzeczy!), ambiwalentna publicystyka, poczta w dwóch kierunkach, Scylla i Charybda — czy raczej katoda i anoda. Czy następne pokolenie pokryje to grubym śmiechem, czy też raczej się przestraszy — w naszym imieniu, po fakcie, spełniając może pewien obowiązek wobec logiki, którego my, aktorzy przedstawienia, nie dostrzegamy.

Byłoby przesadą twierdzić, że w Polsce trzeba jechać aż na wyspę otoczyć się dyskretnym krajobrazem, żeby móc bez skrepowania porozmawiać. Ale jednak! K. tak wolał i ja wolałem. Nie mówiliśmy ani słowa o Jasienicy, bo nie było przyczyny, ale biorąc pod uwagę rodzaje tematów, które weszły na tapetę (na trawę), było między tymi sytuacjami dużo paralelizmu, między tą rozmową na Szelażu i pogrzebem w Warszawie. *Nota-bene*, na wiosnę parę razy umawialiśmy się z Jasenicą na rozmowę, nalegałem na to z myślą, że uda się czegoś dokończyć z dawniejszych, rzadkich widzeń, wyciągnąć dalszą porcję wniosków. Doprawdy trudno jest wytłumaczyć szyderstwo, czy obojętność losu, który z tym się nie liczył, człowiekowi zawsze się trochę wydaje, że, mimo wszystko, wypadki gotowe są na niego poczekać. „Dokończyć” — tak się tylko mówi, w rzeczywistości nie było szansy na dokończenie, bo niby czego? Szukałem u Jasienicy wsparcia, upewnienia, motywu potwierdzającego, było to życzenie i bardzo głębokie i bardzo niesprecyzowane, a nie trzeba dodawać, że Jasienica o tym wiedziała. Nigdy by mu, na przykład, nie przyszło do głowy wręcz zapytać: — Ale właściwie o co panu chodzi? Każdy z nas był w innej sytuacji. Nie zdążył wydać trzeciego tomu „Rzeczpospolitej Obojga Narodów” i nie zdążył wziąć udziału w następnej okazji typu marzec-kwiecień 1968, odpowiednio odmiennej i odpowiednio ważniejszej, która leży w logice rzeczy. Ale w tych okolicznościach istotniejsze jest, że marzec już był w jego życiorysie, tak jak jego „Historia Polski”, pisana nie dla nowej koncepcji, która tam zresztą tkwi, racjonalnie i krytycznie, jak wszystko co pisał — a dla pokrzepienia serca, bo to motto znacznie bardziej nadaje się do jego książek, niż do baśni sienkiewiczowskich. Gdy zaczynał drukować w czasopiśmie, chyba około 1963, to przywracał godność polskiej historiografii wygłaskanej rękami politruków. Korzystał z obiektywnej platformy naukowej, ale naprawdę było to wywieszenie w oknach światła, które każdy mógł, jeżeli na coś takiego czekał, ze swego kąta zobaczyć.

W czerwcu był już w szpitalu, ale nie miałem pojęcia, co to znaczy. Gdy widzieliśmy się przedtem, powiedział, że istnienie w tym kraju, jakie ono jest, umożliwia tylko jedna rzecz: obustronne nieporozumienie. Nadstawiłem uszu, to było nowe. Powołał się na Beaudelaire'a cytując z pamięci, co potem odszukałem i sprawdziłem, wychodząc z założenia, że nie można nie przywiązywać wagi do oryginalnego brzmienia myśli. „*Le monde ne marche que par le malentendu. C'est par le malentendu universel que tout le monde s'accorde. Car, si par malheur, on se comprenait — on ne pourrait jamais s'accorder*”.

W przeniesieniu na nasze stosunki tłumaczyłoby się to w ten sposób. Są dwie strony — podział z grubsza — które się wza-

jemnie nie rozumieją, a strona trzymająca władzę nie może pojąć, dlaczego społeczeństwo, selektywnie pojęty naród, nie jest w stanie wyrazić zgody na nieczystą i niekompetentną imprezę, w którą zostało wciągnięte siłą, na zasadzie totalnego aresztu. Nie może zrozumieć pogardy: przypuszczam, że to w ogóle nie mieści się w głowie partyjnych polityków, bo ci nigdy, ani osobiście, ani jako agenci obcej polityki, nie potrafiliby zająć historycznego stanowiska, na którym naród jednak pozostaje, mimo zamieszania, jakie wprowadziły w to zagadnienie młode pokolenia tendencyjnie wychowywane, z podciętymi pęcunami. Nie potrafi ocenić naturalnej chęci odwetu za 25 lat zmarnowanego życia. I odwrotnie, naród pewnie nie docenia zarozumiałości, z jaką ci politycy narzucają mu doświadczenia innego kraju i to z dobrodziejstwem inwentarza, to znaczy również doświadczenia nieudane, z całą tamtejszą patologią. Słowem, działa tu, z siłą fatalną, szereg gruntownych niemożności porozumienia się. Tylko dzięki temu krzywa piramida na drewnianych kółkach przesuwana naprzód, minimalnie i oportunistycznie, ponieważ stanąć się nie da — i choć sytuacja zdawałoby się, już teraz jest nie do zniesienia, to stała się jeszcze bardziej nie do zniesienia, gdyby raptem obie strony zdołały się porozumieć co do dzielących je niemożności. Może wtedy Partia musiałaby zastosować jeszcze wyższe i skuteczniejsze formy aresztu, równające się masowemu mordowi. Jasienica zdawał się mówić: wolę obecny stan niedopowiedzenia, bo czas jest naszym, nie ich sprzymierzeńcem.

To ostatnie też jest dyskusyjne. Ale, chciałem wtedy wtrącić, przynajmniej jedno w tym rozumowaniu wymaga poprawki: że dla człowieka nie ma sytuacji nie do zniesienia, że adoptuje się w końcu do każdego warunków, co cierpliwe dzieje wciąż demonstrować. Jednak dobrze, że się z tym nie wyrwałem, bo czy to coś nowego wprowadzało do rozmowy? Nic. To tylko okrzyk, jak wiele innych. Trzeba pamiętać, że w tych konkretnych okolicznościach każde tego rzędu rozumowanie jest skazane na częściową niejasność i na niedokładność, w granicach błędu pomiarowego, a to dlatego, że pomiary są trudne, zresztą jest w tym zawsze przymieszka uniesienia, które nie ułatwia sprawy — z drugiej strony dzięki niej właśnie te rozmowy mają swój sens.

W 1968 Władysław Gomułka zawrzał zrozumiałą chęcią zemśczenia się na Jasienicy i przykazał, żeby go skompromitowano za wszelką cenę. Czuło się w tym już nie politykę, ale osobisty gniew. Cena tego manewru nie była, oczywiście, niska. Postępowanie współczesnych polityków ma jednak swoją ogładę, która moralnie może nic nie jest warta, ale pozwala zachować pozory. Poza strefą polityki rosyjskiej, z jej grubiańskim słownictwem żaden mąż stanu nie zaryzykowałby dziś osobiście — posługując

się masowymi środkami przekazu, w tym wypadku TV — w krańcowo obelżywy sposób spotwarzać obywatela swego państwa. Ale tę cenę Gomułka zapłacił, zwracam uwagę, bez namysłu i mogliśmy wtedy jeszcze raz (jeżeli dotychczas brakło komu danych do portretu) przyjrzeć się temu człowiekowi, całej tej grupie, całej tej szkole. Atmosfera stała się paskudna, nie można było obliczyć niebezpieczeństwa (czy tylko pobija jak Kisiela, czy coś więcej?) i Jasienica usunął się do córki na prowincję. Trudno ściśle wymierzyć ile ta paszkwilancka akcja przyniosła Partii zysku, a ile straty. Jeżeli wychodzili z założenia, że moralnie nic do stracenia i tak i tak nie mają, to uzyskany efekt, choć tak nieznaczny, może im się opłacił. Bo jednak coś z tej brudnej roboty zostało na powierzchni, przez kilka pierwszych tygodni, czy może miesięcy.

Gdy potem Jasienica spotykał się z niektórymi ludźmi, to uważał za stosowne sam, nie pytany, złożyć swoje oświadczenie. Nikt go nie mógł zapytać wręcz: — Czy pan rzeczywiście był konfidentem i bandytą? Ale w gruncie rzeczy już ta dyskrecja i milczenie, za którymi mimo wszystko czaiła się ciekawość, wskazywały, że trucizna nie spłynęła bez śladu. Trudno, tego rodzaju metody hańbią wszystkich dokoła, bez wyboru, nie tylko samych sprawców i ofiarę, ale również świadków. Jasienica był człowiekiem zupełnie trzeźwym, widać to zresztą ze wszystkiego co pisał. Więc nie przedłużał milczenia i wyjaśniał sam. Takie same, tylko odpowiednio udokumentowane oświadczenie przesłał Gomułce. Podobno wywołało to w biurach Partii zamieszanie, znowu Gomułka musiał się gniewać, z czego by wynikało, że mu podsunięto sfabrykowane dane. Akcja została zastopowana z dnia na dzień, pamiętamy jak to nagle i bez widocznej przyczyny ucichło — odpowiednie osobistości w Aparacie otrzymały powielony list Jasienicy. I nic! Mniejsza z tym, czy ktoś za to odpowiadał. Ważne, że nikt nie odwoływał i nie przeproszał. Gomułka nie stanął przed kamerami, żeby się wycofać z insynuacji i wytknąć do czego byłby zmuszony na każdej normalnej platformie prawnej i obywatelskiej. Ale nie męczmy Gomułki. We wzajemnym stosunku nie jesteśmy obywatelami. W takich chwilach, gdy chodzi o najistotniejsze interesy cywilne, w ogóle nie jesteśmy obywatelami, w każdym razie nie tego państwa. Trudno w to uwierzyć, ale przecież wniosek nie jest fałszywy.

Mniej więcej ten właśnie temat wałkowaliśmy na Szelażu. Czy obywatel, naiwny obywatel, którego zawsze korciło idealne wyobrażenie państwa i polityki, ma szansę pogodzić się z faktem, że taka rzecz w praktyce nie istnieje? Uprzedzam tok rozumowania, w którym zresztą nie było nic nadzwyczajnego. K. nalegał, żeby ten wniosek przyjęć i okazywał wyraźne niezadowolenie, że

się go zmusza do wykładania prawd oczywistych i banalnych. Gdybym przyjął bez zastrzeżeń ten jego pogląd, byłbym znudzony, jak i on. — Tęsknota za moralnością publiczną i sprawiedliwością jest rzeczą zwykłą. Ale nie szukaj tego w polityce, ani tu, ani gdzie indziej, bo się zbłąznisz wobec samego siebie i popsujesz sobie szanse rozeznania się w rzeczywistości. Obiektywnie biorąc zostaniesz wystrychnięty na dudka. K. od dawna chciałby przejść od czegoś bardziej finezyjnego, ja kiwałem głową (spróbuj popełnić kogoś groźbą banalności: natychmiast zacznie przytakiwać!). Ale wcale nie było mi nudno. Było mi gorąco. Wrażliwy K. jednak coś dostrzegął, bo denerwował się i dowodził w dalszym ciągu.

Przejmowanie się polityką z punktu widzenia etyki jest pozbawione sensu. Każda polityka jest amoralna i to nie jest kwestia wyboru, tylko techniki działania. Wreszcie powiedział coś, co zabrzmiało znajomo: — Przejmowanie się polityką z punktu widzenia etyki jest po prostu nieporozumieniem!

A więc nareszcie. Jest to pożądane nieporozumienie, czynnik stabilizacji. Powtórzyłem swoją dawną rozmowę z Jasienicą, przypominam, że w tym czasie żaden z nas nie wiedział o jego śmierci. — Rok temu mówił mi Jasienica powołując się dla ozdoby na Beaudelaire'a, że stan nieporozumienia między Partią a rządzonymi jest dla tych ostatnich sprzymierzeńcem. U Beaudelaire'a, który miał na myśli rzeczy ogólniejsze, brzmi to olśniewająco, posłuchaj: „*Le monde ne marche que par le malentendu. C'est par le malentendu universel que tout le monde s'accorde. Car si par malheur on se comprenait, on ne pourrait jamais s'accorder*”. Z tej diagnozy uniwersalnej Jasienica wyciągnął i przystosował coś dla nas. Początkowo rozumiałem to prosto: że dzielące a raczej utrzymujące nas przy życiu nieporozumienie polega tylko na niemożliwości uświadomienia sobie, jak bardzo jesteśmy sobie obcy. Ale teraz myślę, że Jasienicy chodziło o coś więcej, o to samo, tylko w innym stopniu. Niechcący podsunąłeś mi drugą możliwość.

Według odwiecznych norm, tylko z cynizmem bardziej konsekwentnym praktykuje Partia swoją politykę. W typowej, zresztą wąskiej skali tonów, w małej skali upartych kłamstw, na tym ich rzeczywistość opiera się i dzięki temu funkcjonuje, od tego zależy. A my, ze swojej strony, nie pozwalamy sobie wyperswadować innego, nie istniejącego, czy raczej istniejącego tylko dla nas wzoru polityki, której źródłem i celem jest publiczna moralność. Jesteśmy do tego naiwnego poglądu tak samo przywiązani, jesteśmy od niego tak samo zależni, jak tamci od swojego. Nie moglibyśmy się ani zamienić przekonaniami, ani ich porównać i skorygować, bo to byłby koniec tego ładu opartego na przeci-

wieństwach. W takim zastosowaniu nasz pogląd przestaje mieć charakter poglądu naiwnego. O nie! Dyktuje go instynkt samozachowawczy. To nie tylko akt wiary, ale także sposób.

Mojemu przyjacielowi K. bardzo to się podobało, przestał się nudzić. Nie było wątpliwości, że dla niego to tylko jedna rozrywka więcej, bo to po prostu zacierzewiony amator paradoksów. Dążyłem do prędkiego zakończenia rozmowy a wniosków które tymczasem same przez się wynikły, już nie chciałem komunikować K. i on sam wreszcie nie był mi już potrzebny, choć przypadkowo odegrał pożyteczną rolę jako medium. Trzeba było wracać, zakopaliśmy skorupki, w Ostrudzie okazało się, że zniecierpliwione panie już się same wzięły do pakowania wartburga (własność K.). W Warszawie dowiedzieliśmy się o Jasienicy. Na szosie spotkały nas porywiste deszcze, zrobiło się przedwcześnie ciemno — i ta wiadomość. Dalszy ciąg rozumowania, wiadomość temu pomogła, popchnęła, nie nastęrczała wątpliwości.

Nie wolno uznać polityki niezgodnej z prawami i tęsknotami obywatela, nie wolno jej uznać za fatalność, bo to wtedy jest nie tylko kapitulacja, ale i współuczestnictwo. W polskich przymusowych warunkach dopóty ten rodzaj polityki nie hańbi, dopóki się jej nie uznaje. Co zrobić z trudnym, zaskakującym w różnych okolicznościach zagadnieniem współuczestnictwa? Nie podsunąłem tego K. na Szelażu, instynktownie się wstrzymałem i dobrze, bo wszakże i K., w gruncie rzeczy, zdecydował się na współuczestnictwo. Tyle że je sobie umiła rezonowaniem w duchu nieśmiertelnego Makiawela wyciągając przyjaciół na odludne wysepki. Jak moskitierą okrywa się inteligencją i ludzi się, że to go chroni. Niech mu będzie — jak najdłużej — co się chyba nie uda, bo konsekwencje wypływają jedna z drugiej, trzeba je w końcu zacząć przyjmować, a potem któregoś dnia przyjmuje się niewinny order na 25-lecie i cykl inicjacyjny jest gotów. Przyjaciel K. jest po prostu oportunistą, to wszystko tłumaczy. A my oportunistycznie towarzysko współżyjemy z oportunistami. Większe i małe kręgi tego samego niebezpieczeństwa. Jasienica te rzeczy znał, przewidywał, widział na wskroś tutejsze struktury — żądał, żeby budować, sycić nieporozumienie, bo jest w nim szansa ustrzeżenia się przed współudziałem.

PELIKAN

## O polskim artyście

W Polsce — państwo utożsamia się ze społeczeństwem. A więź związki polskiego artysty z państwem muszą być liczne, wielorakie i trwałe.

Polski artysta rodzi się i żyje w warunkach hodowli. Należy do instytucji i sam jest instytucją. Wynikają z tego korzyści i ograniczenia nieznane artystom w krajach, gdzie władza polityczna niecałkiem pokrywa się z władzą ekonomiczną.

Ograniczenia są znane, korzyści wstydliwe. Przywileje, jakie daje polskiemu artyście oficjalne zakwalifikowanie go do instytucji artystów są mizerne, ale znaczące w polskiej skali. Zdarzają się tacy, którzy nie chcą uznać ograniczeń. Ale rzadko się zdarza, żeby ktoś nie korzystał z przywilejów.

Państwo wypomina krnąbrnym artystom niewdzięczność. Niby ma rację: krnąbrny artysta nie dotrzymuje umowy. Korzysta z przywilejów, ale nie chce uznać ograniczeń. Zapomina się, że nie jest to wcale umowa, ale stan rzeczy jednostronnie narzucony. Państwo jest wyłącznym rozporządcielem wszystkich dóbr. W Polsce nikt nie może „nie brać” czegoś od państwa, ponieważ poza państwem nikogo nie ma.

Polski artysta ma nadmiernie rozwinięte poczucie własnej wartości. Obojętne, z jakich przyczyn. Najpierw historia i tradycja, później polityka posadziły go na za wysokim stołku. Wynosi go zarówno konformizm, jak i antykonformizm. Wmówienie, jak i prawda. Kto się naraża dla swojej prawdy, sprzeciwiając się prawdzie rządzącej, ten również zyskuje przekonanie, że jest ważniejszy od innych. Być w Polsce artystą, to być szlachcicem, z nadania, czy rzeczywiście zasługi.

Mimo to wielu polskich artystów odczuwa w Polsce niewygodę. Każda rzeczywistość zamknięta, przeorganizowana, prze-

systematyzowana, i kierowana jednym programem stwarza ten rodzaj niewygody. Na przykład szpital, szkoła, wojsko, czy więzienie. Jakkolwiek związany może być chory ze szpitalem, uczeń ze szkołą, żołnierz z wojskiem, a więzień z więzieniem, wszyscy oni ciekawi są życia na zewnątrz. I każdy czasem roi z nadzieją i niepokojem, jak by też było „na wypisce”, „po szkole”, „w cywilu”, „na wolności”.

Podobnie polski artysta myśli o tym, co ogólnie nazywa się „Zachodem”.

Jeżeli więc myśli, to niech weźmie pod uwagę, co następuje:

Różnica między więzieniem a wolnością jest taka, że w więzieniu całe więzienie dba o więźnia, jest dla więźnia, więzień jest więc postacią centralną. Nawet jeżeli urządza strajk głodowy, odżywia się go przemocą. Więzień wprowadzie nie należy do siebie, ale za to nie może zginąć inaczej, jak tylko z woli władzy więziennej. Tej zaś zależy na życiu więźnia, bo bez niego nie ma całej zabawy. Natomiast na wolności nikt się nim nie będzie interesował.

Na Zachodzie artysta nie jest ważny z samego tylko tytułu artysty. Może mieć satysfakcje, o ile osiągnie uznanie, ale sam tytuł bez uznania mało znaczy. A cóż dopiero artysta przybyły z obcości i peryferii.

Po drugie, na Zachodzie artysta jest sam i samotny. Tym bardziej odczuje samodzielność i samotność przybysz z getta.

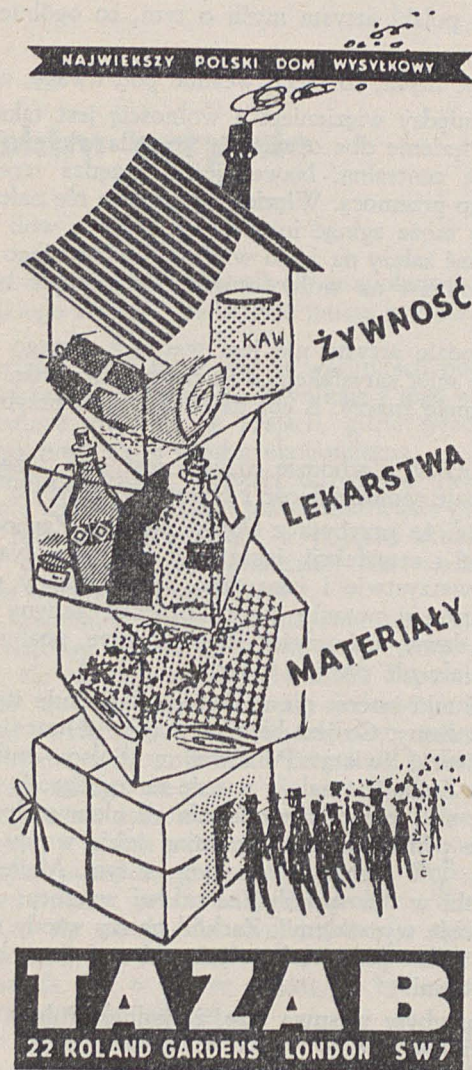
Zdarza się, że przybysz z Polski żąda na Zachodzie tych samych korzyści i satysfakcji, jakie miał w Polsce. Nadal chce być ważny w towarzystwie i jako tako zabezpieczony przywilejami. Nasuwa się wtedy pytanie, po co przybył. Jedyną odpowiedzią jest: aby do dawnych korzyści dorzucić nowe, pozbyć się jednych uciążliwości, ale nie przyjąć innych.

Ponieważ taki interes nie może się udać, czuje się rozczarowany i pokrzywdzony. Co jest błędem w jego obliczeniu, widzi jako niesprawiedliwość świata. Ponieważ w Polsce czuł niewygodę, uważa, że na Zachodzie należy mu się za to nagroda i pocieszenie. Gdy okazuje się, że sam akt odejścia od niewygody nie czyni go na Zachodzie primadonną, przypomina sobie wtedy co tam stracił i wylicza: „W Polsce byłem tym, a tym. Miałem to, a to”. Pośrednio robi w ten sposób Zachodowi wyrzuty: „Patrz, czego ja się dla Ciebie wyrzekłem”. Zachód patrzy wtedy na niego zdumiony, ale tylko przez sekundę, ponieważ jest bardzo zajęty swoimi sprawami.

Wtedy przybysz wysuwa tezę, że jednak Polska stoi kulturalnie wyżej od Zachodu.

Niechże więc ten, kto nie jest gotów stracić wszystko, a nie zyskać nic, nie rusza się z Polski. Wszystko, to znaczy przede wszystkim ową niewygodę, a nic, to znaczy nic. Chyba, że utratę niewygodę nazwiemy zyskiem. Są takie rodzaje niewygody, które dla pewnych osób mogą być nie do zniesienia. Bez względu na zyski i straty.

Sławomir MROŻEK



## Wścieklizna lewicy

Nowa książka Mary McCarthy, autorki znakomitych *Memories of a Catholic Girlhood* i przezabawnej *The Group*, nosi nazwę *The Writing on the Wall*. Są to szkice literackie o Makbecie, o *Pale Fire* Nabokowa, o twórczości Salinger'a, o *Naked Lunch* Burroughs'a, o polemice wokół głośnego studium Hanny Arendt o Eichmannie, o *Madame Bovary*, o dyskusji na temat roli pisarza w paryskiej Mutualité, o powieści Monique Wittig, o zmarłej niedawno Ivy Compton-Burnett, o Nathalie Sarraute, o opisach krajobrazu w literaturze, o czterotomowym wydaniu *The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell*. Tylko szkic o Orwellu, który nadaje zresztą tytuł książce, obchodzi mnie w tej nocy.

Jest to wyważony na pozór i beznamiętny portrecik piórkiem, ale od pierwszej niemal chwili widać że piórko znajduje się w palcach świeżo upieczonej, słodko-kwaśnej ciotuni *New Left*, która „ma za złe” i od uśmiezków niby-sympatii przechodzi wciąż do grymasików dezaprobaty. Trzeba go tu zaprezentować w pobieżnej choćby reprodukcji, zanim się powie kilka słów od siebie i o modelu i o portreciście.

Najpierw dość banalne twierdzenia, które nie budzą sprzeciwu. „Orwell brzydził się wszelką formą władzy; w polityce lubił wcierać swym oponentom nosy w rzeczywistość, przeciwieństwo woli zbiorowej czy indywidualnej, podobnie jak w języku nie znośił abstrakcji, odrywania konceptów myślowych od wieloznaczności konkretnego... Był skłonny widzieć wysmarowane ręką na murze napisy, za Anglię, za socjalizm, za wolność osobistą; na dobrą sprawę jego dzieło jest jedną uparczywą *przestroga*”. Najwidoczniej jednak Mary McCarthy, mimo podkreślenia słowa „przestroga”, nie bierze rzeczy zанаdto na serio, skoro nieco dalej czytamy: „Rok 1984, przełożony na węgierski i potajemnie przemycony na Węgry, stał się podobno katalizatorem rewolucji w Budapeszcie. *Folwark zwierzęcy*, również drogocenny tekst we



Wschodniej Europie, jest bajeczką polityczną która na podobieństwo *Gullivera* Swifta przetrwa zapewne jako klasyczny utwór dla dzieci". Można jedynie pozazdrościć przyszłym szczęśliwym rodzicom, którzy z wyrazem błęgiego spokoju na twarzach wręczać będą na Gwiazdkę swoim ledwie od ziemi odrostłym pociechom książeczkę Orwella o niegrzecznych świnkach. Prawdopodobnie, dla większego jeszcze uproszczenia lektury i zabawy, w postaci komiksów.

Już ten fragmencik daje przybliżone pojęcie o toniku szkicu. Ma się uczucie przebywania w rozrzedzonej i „rewolucyjnej” atmosferze jednego z licznych saloników literackich Nowej Lewicy, po obu stronach Atlantyku. Orwell? Owszem, niezły nawet pisarz, w każdym razie ujdzie w tło, ale tylko w głowach półdzikich pocziwców ze Wschodniej Europy mógł powstać pomysł czytania z taką śmiertelną powagą jego starzejących się z dnia na dzień książek... *What about America?* Za życia zacnego Orwella *on n'a pas parlé de la chose principale!* Ta *chose principale* jest naturalnie „uniwersalna kontestacja”, wyrosła na gruncie „uniwersalnej alienacji” i szukająca póki co ujścia w „uniwersalnej kopulacji”.

Sprawiedliwość każe przyznać, że w saloniku literackim Nowej Lewicy nie wszystko chwilowo wydaje się Mary McCarthy na sto procent swojskie, że odzywają się w niej szczątkowe odruchy dawnej inteligencji i trzeźwości. Wydobywa na przykład, nie bez życzliwego choć odrobinę protekcyjnego zrozumienia, wstręt Orwella do mody: „Na dźwięk słówka *in* dostawał ataku gwałtownej klaustrofobii i chciał natychmiast *out*... Nienawidził intelektualistów, pederastów i „bogatych świń”, jak nazywał milionerów, uważając ich za krzewicieli mody, co jest słusznym oskarżeniem”. Nie podoba się natomiast portreciście odwrotna strona wstrętu i nienawiści Orwella, jego żądanie „zwykłej przyzwoitości nawet od artystów”. *Common decency?* Przecież *common sense* uczy, że artysta jest wyjątkiem zasługującym z tytułu swego powołania na taryfę ulgową, gdy wypadnie mu „zbożyć” z prostej drogi. Tego niestety biedny Orwell nie rozumiał. „Jego egalitarna surowość czyniła go w zarodku filistrem, nieufnym wobec kaprysów sztuki, nie mówiąc o kaprysach artysty”. Gdyż, według Mary McCarthy, był filistrem. „Co prawda filistrem specjalnego rodzaju, zakochanym w pięknie, w kwiatach, w ptakach, w przyrodzie; ten gbur kochał nawet poezję, lecz była to miłość pełna nieporozumień, jak w poniektórych bajkach miłość brytana do róży”. Łatwo sobie wystawić okrzyki zgorszenia w saloniku literackim Nowej Lewicy, witające kolejno każdą z wymienionych słabości „filisterskich” Orwella.

„Aby pisać jasnym i zwartym językiem, należy myśleć nieustraszenie”. Taką zasadę głosił Orwell. Komentarz portrecistki brzmi tak: „To prawda że nie dbał co ludzie o nim myślą, ale nie zawsze musi to być aż taka cnota jak sobie wyobrażał; opinia innych jest korekturą”. Amen. W eseju *Why I Write* Orwell wyznał: „Nie jestem zdolny, i nie chcę porzucić całkowicie światło-

poglądu nabytego w dzieciństwie”. Komentarz portrecistki: „Ta lojalność jest godna podziwu, ale stanowi poważne ograniczenie w myśleniu. Pozbawiony religii i nieufny wobec filozofii, Orwell był uparcie wierny sobie i swoim instynktom, dla których nie potrafił znaleźć innej nazwy niż „przyzwoitość”. Odmowa zdefiniowania tego pojęcia robi z Orwella niepewnego przewodnika w działaniu, zwłaszcza w dziedzinie polityki”. Mniejsza o semantyczny rygorizm, z jakim w saloniku domagają się definicji „przyzwoitości”; kto ma kłopoty ze znaczeniem przyzwoitości, ma chyba jeszcze większe z nią samą. Odpowiedzi na pośrednie pytanie Mary McCarthy dlaczego Orwell trzymał się tak kurczowo „światopoglądu nabytego w dzieciństwie” udziela Russell w szkicu o *Roku 1984*: „Jedynie ci, którzy pamiętają świat sprzed roku 1914, mogą sobie należycie uprzytomnić jak wiele zostało już stracone”. Okazuje się więc, że nie tylko w Budapeszcie czytano powieści Orwella z śmiertelną powagą; z równą powagą czytał ją przewodniczący Międzynarodowego Trybunału Wietnamskiego we własnej czcigodnej osobie (co w saloniku literackim Nowej Lewicy powinno wywołać szmerem kłopotliwego zaskoczenia).

Bo oczywiście pada w końcu karta atutowa, Wietnam. Cóż z tego, że Orwell umarł przed dwudziestu laty? Istnieje przecież niezawodne w takich razach „gdybanie”. Gdyby Orwell żył... Otóż gdyby Orwell żył, Mary McCarthy nie jest pewna czy nie zadeklarowałaby się po stronie wojny w Wietnamie. Po pierwsze jako „wojujący antykomunista”, po drugie dlatego że w modzie jest sprzeciwić wobec wojny w Wietnamie, a wiemy już z jakim obrzydzeniem otrząsała się na wszystko co modne. Jeśli wolno brzydki i nieuczciwy proceder „gdybania” odpłacać innym „gdybaniem”, to wypadałoby powiedzieć raczej tak: gdyby Orwell żył, uznałby za inteligentną i w wielu punktach trafną książkę Mary McCarthy *Vietnam*, a za głupią i miejscami wręcz śmieszną jej drugą książkę *Hanoi*. Miał spore doświadczenie w stawianiu diagnoz wściekłej Lewicy, wystarczy przeczytać co w szkicu o Henry Millerze pisał o przypadku Audena. Po latach rekonwalescencji byli mu wdzięczni. Cyril Conolly: „Orwell był prawdziwym buntownikiem, ja byłem tylko salonowym”. Stephen Spender: „Orwell był naprawdę tym, czym setki innych udawały tylko że są”.

W ostatnich pociągnięciach piórkim portrecistka folguje sobie na całego, nie dbając nawet o zachowanie pozorów. Mowa tu o „bankructwie politycznym” Orwella, gdyż „było bankructwem to że nie pozostawił po sobie płodnych idei”. Socjalizm Orwella? *Sheer rant* — czyste gardłowanie. Wreszcie *coup de grâce* (zważywszy że w każdym szanującym się saloniku literackim Nowej Lewicy patriotyzm uchodził za coś w rodzaju wstydlivej choroby): „Kiedy wybuchła druga wojna światowa, Orwell odkrył w sobie nieoczekiwane patriotę. W ten sposób zamknęło się koło — jego pierwszym drukowanym w prowincjonalnym piśmie utworem był wiersz patriotyczny *Awake, Young Men of England*, datowany 2 października 1914 roku”.

Opisując dyskusję na temat roli pisarza w paryskiej Mutualité,

Mary McCarthy z odcieniem aprobaty cytuje zdanie studenta francuskiego po wystąpieniu Sartre'a: *Ce sont les écrivains réactionnaires de gauche*. Reakcyjny pisarz lewicy! To jest dziś koszmar straszący po nocach, wyrok śmierci, przed tą zabójczą etykietą trzeba się bronić do upadłego, za wszelką cenę. Bodaj za cenę wywiadu, jakiego Sartre udzielił niedawno „ultralewicowej” gazecie paryskiej *L'Idiot International*, przepaszając w nim na klęczkach i ze łzami w oczach że siedzi za biurkiem zamiast na barykadzie, przepaszając prawie że żyje, bijąc się ze skruchą delikatnymi piąstkami w zapadnięte piersi intelektualisty, obiecując rewolucyjną poprawę. Bodaj za cenę bezmyślnego szkicu o Orwellu, najpoważniejszym — obok Camusa, Pasternaka i Solżenicyna — pisarzu powojennego ćwierćwiecza. Trudno o ostrzejszą wściekłą lewicę.

Jednej tylko refleksji Mary McCarthy nie podobna odmówić słuszności: „Gdyby Orwell żył, byłby najszczęśliwszy na wyspie bezludnej, i prawdopodobnie było dlań błogosławieństwem że umarł”. Ale jest więcej niż wątpliwe, czy portrecistka zrozumiała co i kogo w tych kilkunastu słowach odmalowała.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## KWARTALNIK POLITYCZNY

Bieżący numer za III-ci kwartał 1970 roku zawiera m.in. artykuły: R. Piłsudski — *Lepiej, czy gorzej?*; Z. Rapacki — *Podłoże buntu młodych we Francji*; B. Michalski — *Ocena reformy w sprawie bodźców gospodarczych w Polsce*; S. Wąsik — *Jak żyje Europa Zachodnia*; J. Cywiński — *Druga rewolucja przemysłowa*.

Cena numeru 4 F.; 6 szyl.; 1 dol. Do nabycia w księgarniach i kioskach polskich oraz za zamówieniem na adres:

TR Y B U N A, 3 ALEXANDRA RD., LONDON, W.4.

## Emigracja polska po 1967 r.

ANKIETA „KULTURY”

I

W drugiej połowie roku 1969 *Kultura* rozpisała ankietę wśród nowych emigrantów polskich. Adresatami ankiety, zatytułowanej „Emigracja polska po roku 1967”, były osoby, które opuściły Polskę w sytuacji, wytworzonej tam po wojnie izraelsko-arabskiej z czerwca 1967 roku i po wydarzeniach marcowych z 1968 roku. Ankieta nie była ogłoszona w *Kulturze*, lecz rozsyłano ją indywidualnie, po czym zdarzało się często, że rozpowszechniali ją dalej adresaci. W liście towarzyszącym kwestionariuszowi zaznaczono, że odpowiedzi mogą być anonimowe i że można zarówno odpowiadać tylko na część pytań, jak też poruszać sprawy kwestionariuszem nie objęte.

Chodziło o zgromadzenie materiału, ilustrującego jak wyglądają problemy najświeższych emigrantów polskich w *ich własnych* przeświadczeniach i odczuciach: Jak motywują oni decyzję wyjazdu, jak określają źródła, mechanizmy i skutki fali represyjnej i dyskryminacyjnej, która skłoniła ich, bądź też zmusiła do opuszczenia kraju, czego w nowej sytuacji życiowej oczekują, czy i jakie przewidują dla siebie — w bliższej lub w dalszej przyszłości — miejsce polityczne, zdeterminowane z jednej strony ich stosunkiem do tego, co dzieje się w kraju, z drugiej — oceną możliwości działania na emigracji. O masowym exodusie z Polski w latach 1968-1969 — exodusie obejmującym osoby pochodzenia żydowskiego w przytłaczającej większości — pisano już niemało. Tu jednak szło o zdobycie — a raczej może dopiero o zainspirowanie i zapoczątkowanie — pewnej szczególnej formy dokumentacji na temat tego zjawiska: dokumentacji wysnutej z introspekcji.

Sondaż był z założenia ramowy, skrótowy, publicystyczny. Chciano w sposób *względnie* szybki dotrzeć do owych pierwszych

refleksji emigrantów, pobudzając ich do wypowiedzi jeszcze na gorąco — i nie obwarowując się rygorami analizy naukowej, która z natury samej opóźniłaby wydatnie realizację zamierzenia. Oczywiście także w zakresie tak pojętego zamysłu wiele okoliczności działało opóźniająco. Rozproszenie emigrantów, ich szamotanie się wśród pierwszych trudności na obcym gruncie, a co najważniejsze szok psychiczny, pod którego ciśnieniem się znajdowali — wszystko to sprawy nie przyspieszało i nie ułatwiało. Niemniej jednak, napływające do redakcji przez szereg miesięcy kwestionariusze z utrwaloną w rubrykach lub poza nimi różnorodną interpretacją losów, postaw i decyzji ludzkich w obliczu określonego systemu politycznego dowiodły, że inicjatywa *Kultury* spotkała się z bieżącą, i szukającą ujść wyładowania się, potrzebą społeczną.

Sondaż był też oczywiście *par excellence* polityczny. Z samej swej definicji wcale nie zaczynający od zera, wcale nie traktujący świadomości swych adresatów jako *tabula rasa* — lecz właśnie startujący z określonego poziomu wspólnych z potencjalnymi respondentami przeświadczeń, podjęty w określonych warunkach politycznych, zakładający z góry, bez maskowania się i wahania, nadrzędność motywacji politycznych w poglądach i ocenach, o jakie uczestników ankiety zapytywał. Teoretycznie różne być mogą zapewne racje decyzji emigracyjnych. Skoro jednak nagle, na przestrzeni dwóch niespełna lat, ludzie, którzy mogli przecież z mniejszymi lub większymi trudnościami emigrować z Polski w ciągu lat dwudziestu kilku, często niemłodzi i często w przeszłości swojej silnie związani z panującym w Polsce systemem i z jego ideologią — jeśli dnia pewnego tysiące takich ludzi postanawia rozstać się z krajem rozpoczynając ciężką wielokrotnie i gorzką tułaczkę — to chyba przyjęć wolno bez ryzyka pomysłki, że nie czynią tak dlatego, iż Champs-Élysées czy Fifth Avenue wolą od Marszałkowskiej.

Ankieta publicystyczna, usiłująca przedrzeć się przez problemy tak trudne i wielonurtowe ma, rzecz jasna, przyrodzone swoje ograniczenia. Nie dysponuje — niezależnie nawet od ilości odpowiedzi — próbą reprezentacyjną, apelując do sieci respondentów, dobieranych w sposób spontaniczny, mniej lub bardziej przypadkowy. Operuje pytaniami otwartymi, pozwalając traktować je tylko jako sygnały wywoławcze, pomijając wymieniane zagadnienia i poruszać inne, dowolnie zacieśniać względnie rozluźniać naszkicowane kwestionariuszem ramy, przez co uzyskane odpowiedzi niewątpliwie stracić mogą tu i ówdzie walor całkowitej jednoznaczności. Zmierając do możliwie ugruntowanej obiektywizacji zdobytych wyników — w oparciu o jakże przecież subiektywny w swej istocie materiał — zakłada od razu, choć nie bez zmartwienia, iż stopień tej obiektywizacji będzie z konieczności mniejszy, niż przy stosowaniu metod ściślejszych i ostrożniejszych.

A jednak wbrew wszelkim niedostatkom, wbrew organicznej swej nieostrości, sondaż tak zamierzony wywołuje u adresatów odzew szczególny. Pobudza ich refleksję, która z punktu

broniąc się przed skrępowaniem, wybiega na tereny dalsze oraz sygnalizuje związki i zależności między odległymi z pozoru sprawami. Prawda, nie jest to zabieg uściślający. Nie wolno snuć z tej platformy ponętnych uogólnień statystycznych. Ale można niewątpliwie wykrywać tło i podłoże śledzonych zagadnień, osadzać je w głębiej drążonym i przeszukiwanym kontekście otaczającym.

Wobec konkretnej inicjatywy *Kultury* odzew był wielopłaszczyznowy, silny emocjonalnie, a równocześnie w wielu wypadkach energiczny i ekspansywny myślowo. Zabarwiający sądy i oceny nie raz i nie dwa atmosferą szoku bez precedensu — lecz zarazem wyraźnie łaknący trzeźwej penetracji. Najczęściej, i to zarówno wtedy, gdy odpowiedzi poruszały się po torze pytań, jak i wtedy, gdy korygowały je, polemizowały z nimi czy rozsadzały ich szranki — wydawało się, że respondenci nie reagowali obojętnie na sferę potrąconej przez kwestionariusz prowokacji myślowej. W wielu wypadkach natomiast miało się wrażenie, że sfera ta rozszerzała się i dynamizowała jak gdyby samorzutnie w toku odpowiedzi, doprowadzając niekiedy i do sytuacji, w której dzięki respondentowi ankieta przekraczała samą siebie.

Warto więc ciągnąć ją dalej. Najświeższy rzut emigracji polskiej nie przerwał się z chwilą zamknięcia ankiety, skądinąd zaś po pewnym już okresie upływającym od opuszczenia kraju, łatwiej zdobyć się na odpowiedź, niż w ciągu pierwszych chybottliwych miesięcy w nowych miejscach pobytu. Ponadto może ulec ewolucji spojrzenie na te czy inne problemy, może zarysować się szereg różnokierunkowych zjawisk w procesach adaptacyjnych emigrantów do nowych warunków życia, co w sumie wnosi nowe czynniki do formułowania ocen i kształtowania się postaw wobec spraw krajowych i wobec świata otaczającego. Wszystko to wydaje się pobudzające, tak w sensie dyskusji, jak i w sensie ewentualnej analizy porównawczej. Toteż niżej znajdują Czytelnicy poprawioną — na podstawie zebranego do tej pory materiału — wersję kwestionariusza ankiety. Redakcja prosi usilnie o dalsze nadsyłanie odpowiedzi<sup>1</sup>.

Poprawki dotyczą tych fragmentów naszkicowanej w kwestionariuszu problematyki, w których zakresie sugestie, wynikające bezpośrednio lub pośrednio z otrzymanych odpowiedzi narzuciły się — bądź dzięki swej częstotliwości, bądź też dzięki zawartemu w nich napięciu — jako najtrafniejsze i najjaskrawsze. Jeśli więc, dla przykładu, szereg osób wysuwa poczucie braku bezpieczeństwa osobistego — nie wymienione uprzednio w kwestionariuszu — jako dominujący motyw ich decyzji emigracyjnej, to uważano, iż motyw ten powinien znaleźć się bezspornie w poprawionej wersji kwestionariusza. Jeśli inwazja Czechosłowacji — również w kwestionariuszu nie uwzględniona — powraca w odpowiedziach wielokrotnie jako ostateczne ogniwo procesu rozumienia i osądzenia systemu, a także jako decydujący bodziec wyjazdu — to bez-

1. Jak poprzednio, odpowiedzi mogą być anonimowe, można pewne pytania pomijać, jak też poruszać problemy niezasygnalizowane.

spornie inwazja Czechosłowacji powinna (ściślej: powinna była) figurować w odpowiednich pytaniach.

Konieczność tych i innych modyfikacji — zainspirowana przez uczestników ankiety — pozwala odgadnąć z miejsca, iż emigracja polska po roku 1967 była zjawiskiem o wiele szerszym, o wiele różnorodniej i głębiej uwarunkowanym w świadomości emigrantów, niż chcieli wmówić społeczeństwu i światu jej inicjatorzy i promotorzy w kraju.

## II

Na ankietę nadeszło 130 odpowiedzi z kilkunastu krajów, w tym około 1/5 z Izraela. Najczęściej respondenci odpowiadali na większość pytań, pomijając te tylko, które wyraźnie ich nie dotyczyły. Spora ilość odpowiedzi rozrosła się do kilku lub kilkunastu stron. Autorzy podobnych opracowań czy analiz brali poszczególne pytania kwestionariusza za punkt wyjścia, kumulując pewne ich grupy, lub odwrotnie, przeprowadzając dodatkowe podziały problemów i szeroko rozwijając tok refleksji czy dowodzenia. Kilka zaledwie odpowiedzi sklasyfikować by można jako wyraźnie ułomne, z większością rubryk niewypełnionych.

Górują wśród uczestników ankiety mężczyźni: 99 mężczyzn wobec 29 kobiet, 2 osoby nie podały płci. Najsilniej obsadzone są grupy wieku od 30 do 45 lat (41 osób) i od 45 do 60 lat (39 osób). Reszta rozkłada się następująco: od 15 do 18 lat — 1 osoba, od 18 do 25 lat — 22 osoby, od 25 do 30 lat — 11 osób, powyżej 60 lat — 9 osób. W siedmiu wypadkach brak danych.

66 osób ma dzieci, 26 osób dzieci nie ma (dane te dotyczą żonatych mężczyzn, zamężnych kobiet, wdów, wdowców i rozwiedzionych). W kilku wypadkach brak danych.

Wykształcenie wyższe posiadają 83 osoby, niepełne wyższe — 24 osoby, średnie — 16 osób, niższe — 1 osoba, zawodowe techniczne — 1 osoba. W kilku wypadkach brak danych.

W rozkładzie na zawody najliczniejsze grupy stanowią pracownicy naukowi (19 osób), dziennikarze (18 osób), oraz studenci i doktoranci (18 osób). Oto dalsze zawody, reprezentowane przez kilkanaście lub kilka osób, według liczebności: inżynierowie, literaci, reżyserzy i aktorzy, pracownicy filmu i telewizji, nauczyciele, lekarze, ekonomiści, pracownicy wydawnictw, wojskowi, technicy, rzemieślnicy, chemicy i biochemicy, wyżsi urzędnicy administracji, pracownicy umysłowi (ta ostatnia kategoria podana została dwukrotnie bez ściślejszej specyfikacji). Przez jedną tylko osobę reprezentowana jest każda z następujących kategorii: malarz, architekt, filolog, prawnik, księgowy, inspektor handlowy, makler giełdowy. W kilkunastu wypadkach brak danych.

W ankiecie wzięło udział kilkanaście osób nie żydowskiego pochodzenia lub pochodzących z małżeństw mieszanych. Czasem same o tym piszą, charakteryzując na tle określonego kontekstu swoją sytuację. Częściej fakt ten wynika pośrednio z odpowiedzi na niektóre pytania.

Ponieważ — jak wspomniałam na wstępie — niektórzy adresaci przekazywali kwestionariusz dalej — zareagowały spontanicznie na ankietę osoby (w liczbie 10), które wyjechały z Polski przed czerwcem 1967 roku. Zresztą kilka z nich należy, wbrew różnicy w terminie wyjazdu, do tego samego właściwie, co cała reszta, rzutu emigracyjnego. Warto podkreślić, że także spod pióra owych wcześniejszych emigrantów wyszło szereg spostrzeżeń, ostro naświetlających siły napędowe mechanizmów, które tak brutalnie miały się potem przetoczyć przez Polskę.

## III

Kwestionariusz ankiety dzielił się na trzy części. Pierwsza, pt. „Motywacje”, obejmowała pytania, dotyczące podłoża decyzji emigracyjnych respondentów. Druga, pt. „Oczekiwania”, składająca się z dwóch tylko pytań, zmierzała do uzyskania pobieżnego przeglądu postaw nowych emigrantów wobec dokonanego już aktu opuszczenia kraju, a także oczekiwań, jakie młodsze zwłaszcza pokolenia wiążą ze swoim nowym etapem życiowym w nowych miejscach pobytu. Część trzecia, pt. „Emigracja a kraj”, pozwoliła miała na zorientowanie się jak rysują się w oczach uczestników ankiety, z perspektywy już emigracyjnej, zjawiska i wydarzenia, zachodzące w kraju, pewne cechy strukturalne systemu — jak oceniają oni wpływ działań politycznych, podejmowanych z zewnątrz, na sytuację w Polsce, jak określają rolę emigracji politycznej oraz możliwości lub perspektywy własnego w niej udziału.

Poniżej postaram się skategoryzować w skrócie odpowiedzi na poszczególne pytania, zanim — w rozdziale następnym tego omówienia — podejmę próbę charakterystyki problemowej otrzymanego materiału i jego kontekstu.

## MOTYWACJE

1. Czy rozczarowanie stosunkami w Polsce, prowadzące do decyzji emigracyjnej, powstało u Pana(i) w sposób nagły, w sytuacji, jaka wytworzyła się w kraju po wojnie izraelsko-arabskiej z czerwca 1967 roku względnie po wydarzeniach marcowych roku 1968 — czy też ta właśnie sytuacja stała się katalizatorem procesu rozpoczętego już dawniej?<sup>2</sup>

Prawie 3/4 ogółu respondentów odpowiada, że wytworzona sytuacja stała się katalizatorem długich już procesów rozczarowania. Około 1/6 tylko charakteryzuje własne oceny wytworzonego stanu jako nagłe. „Katalizator” przeważa we wszystkich

2. Przypominam, że zgodnie z otwartą i swobodną koncepcją całej ankiety uczestnicy jej nie zawsze odpowiadali na wszystkie pytania. Ponadto niektóre pytania dotyczyły tylko określonych grup wieku. A zatem nawet wtedy, gdy podają poszczególne kategorie odpowiedzi w liczbach, suma ich jest zazwyczaj mniejsza od ogólnej liczby respondentów.

grupach wieku, jakkolwiek od 30 lat w górę przewaga ta jest przytłaczająca, a poniżej lat 30 — nieznaczna. Korelacja całkowicie zrozumiała. Im młodsze pokolenie, tym krótsza perspektywa obserwacyjna, a młodzież z grupy wieku 18-25 lat po prostu nie miała dość czasu na długotrwałe procesy rozczarowania. (Była — jak zobaczymy — o wiele bardziej krytyczna wobec systemu niż starsze pokolenia, co nie jest jednak równoznaczne z przewidywaniem wstrząsów). Tym gwałtowniejsze przeżycie stanowił więc dla niej rozwój wypadków między czerwcem 1967 a marcem 1968 roku i później — z obnażonym już terrorem, masową inwigilacją, aresztami, procesami itd.

Respondenci antycypują często odpowiedzi na pytania następne, wymieniając już w tej rubryce przesłanki procesu rozczarowania. Znamienne, że wielokrotnie występuje w tym kontekście inwazja Czechosłowacji, określana jako akord finalny owego procesu.

Szereg uczestników ankiety uwydatnia w formie niezwykle ostrej element zagrożenia, brak poczucia bezpieczeństwa, jako nadrzędny motyw decyzji emigracyjnej.

„Decyzja emigracji (kogokolwiek spośród znanych mi ludzi) — pisze więc jeden z respondentów — nie była wynikiem 'rozczerowania'. Wprost trudno o wyrażenie bardziej 'nieadekwatne'! Decyzję spowodował przede wszystkim strach. Albowiem po wypadkach marcowych został przekroczony Rubikon. Okazało się, że możliwe jest to, co wydawało się być niemożliwym. Stąd można było wysnuć wniosek, że możliwe jest *wszystko*”.

W dość licznych odpowiedziach (wśród nich również w przytoczonej powyżej — co jednak nie podważa jej merytorycznie, tzn. nie osłabia uwydatnionej w niej roli zagrożenia) uderza pewne przesunięcie znaczeniowe. Niektórzy utożsamili bowiem „katalizator procesu rozczarowania”, procesu, który rozumiany był w pytaniu jako długofalowy i prowadzący dopiero pod naciskiem znanych wydarzeń do decyzji wyjazdowej — z katalizatorem samej decyzji. Wydaje się zresztą, że przesunięcie to nastąpiło również wśród pewnej części respondentów, którzy swój osąd wydarzeń określili jako nagły, jak wreszcie wśród najmłodszych spośród młodzieży, którzy nie podejmując decyzji wyjazdowej samodzielnie, lecz pod wpływem rodziców — mieli niewątpliwie tendencję do odczuwania całej wytworzonej wokół siebie atmosfery jako „nagłej”.

To przesunięcie (na skutek którego w poprawionej wersji kwestionariusza oddzielono „katalizator procesu rozczarowania” od „bezpośrednich motywów emigracji”) następowało niekiedy nieświadomie, co spowodowało w niektórych odpowiedziach pomieszanie decyzji z jej podłożem i przesłankami. Inni respondenci natomiast — świadomi możliwości takiego pomieszania pojęć — stwierdzając, iż podlegali długiemu procesowi rozczarowania, odgraniczają zarazem wyraźnie ów proces od podjęcia decyzji emigracyjnej. „Pomimo rozczarowania nie wyjechałbym nigdy”... gdyby nie marzec, gdyby nie los mego dziecka w tym czasie, gdyby

nie Czechosłowacja — oto najbardziej typowe wśród owych świadomych rozgraniczeń. Albo: „Między rozczarowaniem a decyzją opuszczenia kraju nie ma żadnej współzależności. Gdyby było inaczej — cała ludzkość permanentnie wędrowałaby”.

Skoro zatem w stosunkowo wielu odpowiedziach „nagłość” odnieść należy do decyzji wyjazdu, a nie do rozczarowania — to można chyba proporcję „nagłości” jeszcze zredukować. Z zestawienia wynika więc, że ogromna większość respondentów przeżywała długie procesy rozczarowania. Wydarzenia lat 1967-68 wyznaczały — na tym wytworzonym już podłożu — granicę wytrzymałości psychicznej.

A. Jeżeli proces ten rozpoczął się dawniej jakie były jego przesłanki:

1) Jeżeli odnosił(a) się Pan(i) przychylnie do powojennego ustroju w Polsce, to jakie zjawiska pozwoliły Panu(i) zdać sobie sprawę z rozbieżności pomiędzy Pana(i) poglądami a rzeczywistością polityczną w Polsce?

Połowa uczestników ankiety odpowiada, że odnosiła się do ustroju przychylnie i że dopiero stopniowo zaczął się budzić i narastać krytycyzm przeobrażający się w sprzeciw lub potępienie. Pierwsze wątpliwości odzywały się w różnych okresach: zaraz po wojnie (bardzo rzadko), w roku 1948, po śmierci Stalina, po XX-tym Zjeździe, po klęsce Października, z początkiem lat sześćdziesiątych.

Więcej niż 1/3 osób deklaruje wobec ustroju stanowisko nieprzychylnie lub ostro krytyczne. Jednak wymieniany przez tych respondentów rejestr przesłanek, na których się takie stanowisko opiera, wywodzi się — jak zobaczymy — z tego samego strumienia krytycyzmu, który przeobrażał postawy osób początkowo przychylnych:

„Byłem członkiem ruchu komunistycznego od roku 1933-34 — czytamy w jednej z odpowiedzi. — Mimo to nigdy zdecydowanie przychylnie nie odnosiłem się do PRL. Nigdy nie dopuszczałem możliwości, że stosunki w Polsce mogą odzwierciedlać założone ideały. Traktowałem je jako mniejsze zło od kapitalizmu”.

Trzecia wreszcie grupa (28 osób, często młodych) formułuje poglądy ambiwalentne. Oto jedna z młodych uczestniczek ankiety pisze, że wychowywała się wśród ludzi,

„którzy swą wierność ideałom socjalistycznym potrafili pogodzić ze sceptycznym stosunkiem do aktualnie istniejącego systemu... Owe dualistyczne spojrzenie strzegło przed rozczarowaniem: rozczarowanie bowiem, jako psychologiczny skutek niespełnienia pewnych oczekiwań, poprzedzone być musi okresem wiary i nadziei, my zaś nie mieliśmy złudzeń co do istniejącej sytuacji...”

Inny respondent z tego samego pokolenia odpowiada:

„Nie miałem do powojennego ustroju w Polsce stosunku jednoznacznego. Będąc zwolennikiem jego ogólnych założeń — do wielu rozbieżności z moimi poglądami prowadziła jego realizacja”.

Wśród respondentów, deklarujących nieprzychylnie, ostro krytyczne i ambiwalentne stanowiska wobec ustroju, udział osób do lat 30 jest dwukrotnie wyższy, niż wśród respondentów pierwotnie wobec ustroju przychylnych. Wyraża to pośrednio intensywniejsze nasilenie krytycyzmu wśród młodych uczestników ankiety (mimo że, jak widzieliśmy, wydarzenia lat 1967-68 były dla nich często nagłym ciosem) niż wśród generacji starszej, u której uprzednie związanie z ideologią systemu hamowało w różnym stopniu narastanie trzeźwych ocen.

Najczęściej przez respondentów wymieniane lub też najbardziej charakterystyczne zjawiska, ujawniające od razu czy stopniowo rozbieżność między ich poglądami a rzeczywistością, postaram się zgrupować w kilka kategorii:

a) *Terror intelektualny*. Zakłamanie i półprawdy; demagogia; niewola myśli; negatywny stosunek do inteligencji; wzrost ograniczeń na uniwersytetach; fałszowanie historii; eliminacja ludzi światłych; dławienie wszelkiej krytyki i buntu; stałe ograniczanie marginesu wolności; cenzura; zglajchszaltowanie prasy; ciągłe zmniejszanie możliwości wydawniczych.

Trzeba podkreślić, że zjawiska tej kategorii powtarzają się niezmiernie często i umieszczane są na pierwszych miejscach rejestrów.

b) *Terror policyjny*. Areszty osób bliskich; przebywanie w więzieniu samych respondentów; procesy polityczne; hodowanie donosicieli; brak elementarnych zasad praworządności; penetracja wszystkich dziedzin życia przez MSW.

c) *Cechy właściwe „dyktaturze proletariatu” a sprzeczne z socjalizmem*. Zagubienie humanizmu; prymat polityki państwa nad ideologią; totalitaryzm; niesprawiedliwość społeczna; stalinizm — immanentna cecha dyktatury proletariatu.

d) *Funkcjonowanie aparatu państwowego*. Fałszerstwa wyborów i fikcyjność organów przedstawicielskich; kompletny brak demokracji; powstanie kasty kierowniczej; biurokracja.

e) *Niemoc gospodarcza*. Absurdalne kierowanie ekonomiką; brak perspektyw.

f) *Demoralizacja społeczna*. Karierowiczostwo; korupcja; „sekcja negatywna” na wszystkich szczeblach.

g) *Polityka zagraniczna*. Służalczość wobec Rosji.

2) Jeżeli okres narastania fali październikowej (1954-1956) obudził nadzieje na gruntowną naprawę ustroju, uniemożliwiającą nawrót do stalinizmu — to wskutek jakich okoliczności nadzieje te zaczęły się u Pana(i) załamywać?

Fala październikowa obudziła nadzieje wśród przytłaczającej większości respondentów. Nie licząc młodzieży, u której okres ten przypadł na lata dzieciństwa — tylko 15 osób odpowiada, iż nie żywiły żadnych złudzeń, iż zdawały sobie sprawę także wtedy, że powrót do stalinizmu jest zawsze możliwy i że nie do pomyślenia są stałe zmiany w Polsce bez zmian w Rosji. Kilka osób

widziało możliwość zmian częściowych, a więc nie naprawy, lecz nikłej demokratyzacji, fragmentarycznej liberalizacji ekonomicznej, sytuacji, w której „nieznośne ograniczenia staną się mniej nieznośne”. Cała reszta jednak w Październik uwierzyła, by przekonać się następnie, że i ta wiara była płonna.

A oto znowu kategorie wymienianych przez respondentów okoliczności, wskutek których zaczęły się załamywać nadzieje „październikowe”:

a) *Ponowny terror intelektualny*. Likwidacja *Po Prostu* (bardzo często wymieniana); zaostrzająca się znowu cenzura; zamykanie klubów dyskusyjnych; nagonka na liberalne tygodniki literackie; stosunek do uczonych i pisarzy; reakcja na „List 34-ech”; opanowywanie wszystkich ośrodków myśli i szkół wyższych; usunięcie Kołakowskiego z partii (wymienione kilkakrotnie); zakaz „Dziadów”.

I w odpowiedziach na to pytanie zjawiska tej kategorii wysuwają się na czoło.

b) *Nawrót terroru policyjnego*. Ponowny rozrost aparatu Bezpieczeństwa (wymieniany bardzo często); powracające łamanie praworządności; śmierć Henryka Hollanda; zastraszanie społeczeństwa; proces Kuronia i Modzelewskiego; inne procesy polityczne.

c) *Sprawy ideologiczne*. Ideologiczna „walka na dwa fronty”; uznanie rewizjonizmu za główne niebezpieczeństwo w partii; pojawienie się najbardziej reakcyjnych idei w oficjalnej ideologii; heca antysemicka w latach 1956-57.

d) *Sprawy instytucji*. Brak zmian instytucjonalnych; brak jawności życia politycznego; brak demokracji w Partii.

e) *Sprawy gospodarcze*. Brak zapowiedzianych reform; fiasko samorządów robotniczych; rozwiązanie Rady Ekonomicznej.

f) *Sprawy personalne*. Pierwsze po Październiku posunięcia kadrowe; powrót stalinowców na stanowiska; sojusz z Piaseckim.

g) *Sprawy zewnętrzne*. Narastająca zależność od Rosji; stanowisko wobec powstania na Węgrzech.

Uderza, w porównaniu z odpowiedziami na poprzednie pytanie, że im krótsza odległość czasowa od Października, tym większa konkretność odpowiedzi: mniej ocen ogólnych, więcej określonych faktów i wydarzeń.

3) Gdy był(a) Pan(i) już przeświadczony(a) o bankructwie „polskiego Października”:

a) czy widział(a) Pan(i) szanse uprawiania opozycji przeciw oficjalnej linii politycznej: wewnątrz partii; w innych stronnictwach; w organizacjach społecznych; w organizacjach zawodowych — jeśli tak, to jak wówczas wyobrażał(a) Pan(i) sobie tę działalność?

b) czy też usunął(a) się Pan(i) na margines życia politycznego, uważając się za wewnętrznego emigranta?

Nie wierzyło w żadne szanse opozycji przeciw oficjalnej linii politycznej 45 respondentów, przy czym jedni nie wierzyli nigdy — u innych niewiara narastała stopniowo. Natomiast 59 osób

widziało *jakieś* możliwości opozycji, choć w bardzo różnych zakresach i wymiarach. Kilkanaście osób deklarowało konieczność opozycji we wszystkich organach władzy i we wszystkich wymienionych w pytaniu zakresach, a także w organizacjach studenckich i w stowarzyszeniach twórczych. Reszta charakteryzowała różne formy opozycji w systemie totalitarnym: od „*minimum minimorum* — nie identyfikowania się z linią partii”, poprzez „*małą opozycję*” czyli obronę ludzi na dostępnym sobie terenie, amortyzowanie odgórnych zarządzeń, niemożność milczenia nie z wiary w skuteczność, tylko z szacunku dla samego siebie, wpływanie na otaczające środowiska, a zwłaszcza na młodzież — aż po twórczość artystyczną oraz konceptualizację opozycji w bardzo długiej fali (w sensie, w jakim — przypomina jedna z respondentek — rolę Utopii określa Kołakowski).

„Cały naród uprawia opozycję — pisze ktoś — nawet w szeregach partii”.

Na drugą część pytania brak około 40 odpowiedzi. 55 respondentów twierdzi, że usunęli się całkowicie lub częściowo na margines, uważając się za wewnętrznych emigrantów, lecz rozumiejąc różnie to pojęcie. Szereg osób podkreśla bowiem, że nie należy utożsamiać „wewnętrznej emigracji” z kapitulacją, lecz z biernym oporem, z „odmową uczestniczenia” („To jedyny sposób istnienia dla porządnego człowieka”; „prawie całe społeczeństwo jest na marginesie”). Trzydzieści parę osób odpowiada, że nie uważały się za wewnętrznych emigrantów, przy czym szereg spośród nich pisze o swych działaniach z akcentem auto-ironii („Stałem się pozytywistą dla ubogich”; „uprawiałem mały pozytywizm” itd.). Kilka wreszcie odpowiedzi ma charakter ogólny („Nigdy nie brałem udziału w życiu politycznym”; „nie byłem członkiem partii” itd.).

4) Jeżeli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub studentem szkoły wyższej — jak ewoluowały Pana(i) poglądy na możliwość celowej działalności dla młodych inteligentów w Polsce?

Na pytanie to odpowiadają uczestnicy określonych grup wieku, przy czym zdania są bardzo podzielone. Widziało taką możliwość 13 respondentów w formie bądź bezpośredniej (śmiało wypowiedziane poglądy opozycyjnych, jak w marcu), bądź pośredniej i przygotowawczej (samokształcenie, działalność odczytowa, przygotowywanie programu na wypadek sytuacji węgierskiej lub czeskiej). 19 osób natomiast zapatrywało się na taką możliwość pesymistycznie lub bardzo pesymistycznie („W ramach komunizmu — absurd”; „po załamaniu się Października — żadnej możliwości”). Nie brak też odpowiedzi, że „możliwości nie było — ale walczyć należało”.

Odpowiedzi na to pytanie są wyrazem atmosfery sceptycyzmu, typowej dla psychiki społecznej w okresach „pozywowych”.

5) Kiedy uznał(a) Pan(i) celowość wyjazdu z Polski: a) czy dopiero

ostatnie wydarzenia zmieniły Pana(i) zdanie? b) czy też miał(a) Pan(i) ten zamiar wcześniej, a skłoniły Pana(ią) ostatnio zaistniałe możliwości?

Dopiero ostatnie wydarzenia skłoniły do wyjazdu 65 respondentów, 55 miało taki zamiar wcześniej (były w tej grupie osoby, które — jak wiemy — istotnie wyjechały wcześniej), ale w formie nie ostatecznej, przeobrażonej w decyzję dopiero w okresie ostatnim.

Niektórzy respondenci wymieniają już w odpowiedziach na to pytanie przesłanki, skłaniające ich do wyjazdu. Ci, którzy powzięli decyzję dopiero pod wpływem ostatnich wydarzeń, podkreślają silniej motyw dyskryminacji rasowej, niż ci, którzy z zamiarem wyjazdu nosili się wcześniej („Stałem się obywatelem drugiej klasy”; „odmówiono mi prawa do polskości”). Jednak i w tej rubryce występuje szereg razy inwazja Czechosłowacji jako bezpośredni motyw wyjazdu.

Kilka osób podkreśla, że celowości wyjazdu z Polski nie uznają nigdy. „Nigdy — odpowiada jedna z wcześniejszych emigrantek — dopiero ostatnie wydarzenia przekonały mnie, że słusznie nie opierałam się decyzji męża”. „Nigdy nie uznałem celowości wyjazdu z Polski — pisze jeden ze studentów, aresztowany w marcu, a potem relegowany z uczelni — natomiast po wydarzeniach marcowych uznałem bezcelowość pozostania”. Wreszcie polemiki z pojęciem „celowości wyjazdu” („Wyjechałem nie ze względu na celowość, lecz ze względu na konieczność”; „o jedynym wyjściu nie można mówić, że jest lub nie jest celowe”).

B. Jeżeli źródłem zwątpienia i rozczarowania była sytuacja wytworzona po czerwcu 1967 roku — względnie po marcu 1968 roku — jak określiły Pan(i) bezpośrednie motywy swojej decyzji emigracyjnej:

1 a) Czy wpłynęła na nią ogólna atmosfera polityczna w kraju?

Nie ma tu ani jednej odpowiedzi przeczącej — jest kilka ograniczających, tzn. respondenci piszą, że działała ogólna atmosfera, stwierdzając jednocześnie, że ostatecznym powodem wyjazdu była kampania antysemitka.

Wymieniane wyznaczniki ówczesnej atmosfery politycznej dadzą się znowu zebrać w kilka grup (przytaczam wybrane odpowiedzi dla egzemplifikacji):

a) *Dyskryminacja rasowa*. „Nie mogłam żyć jako 'sublokator', któremu wypowiada się mieszkanie i ojczyznę”; „poculiśmy się jak obcy wśród obcych... nie bito nas, nie lżono, ale czuliśmy się jak trędowaci wśród zdrowych, jak garbaci wśród prostych”.

b) *Poczucie zagrożenia*. Rozpasanie aparatu Bezpieczeństwa; utrata poczucia bezpieczeństwa osobistego; brak elementarnej ochrony prawnej; obawa przed aresztowaniem.

c) *Ogólne określenia atmosfery*. Ogólna atmosfera krystalizująca się z początkiem lat 60-tych lub wcześniej (określenie powtarzane); wydarzenia marcowe były największym szokiem przeżytym po wojnie; poczucie bezsilności; zastraszanie ludzi; histeria.

d) *Elementy charakteryzujące system i niemożność wpływu*

na obecną sytuację. Bankructwo systemu; brak realnych możliwości walki; ostateczne zrozumienie niemożliwości zmiany.

Także w tej rubryce powtarza się szereg razy inwazja Czechosłowacji.

1 b) Czy źródłem decyzji stała się osobista sytuacja Pana(i) lub członków rodziny: fałszywe oskarżenie; dyskryminacja; degradacja; usunięcie z pracy itd.?

(Zakładano, że odpowiedź twierdząca na poprzednie pytanie nie wyklucza odpowiedzi twierdzącej na to).

Połowa osób odpowiadających wymienia jeden lub kilka spośród elementów uszeregowanych w pytaniu, dodając jeszcze czynniki inne, jak np. aresztowanie, groźbę usunięcia z pracy, brak możliwości awansu i bezsens pracy, usunięcie ze studiów. Elementy uwidocznione w pytaniu szeregują się w odpowiedziach według częstotliwości w sposób następujący: dyskryminacja, fałszywe oskarżenie, usunięcie z pracy, degradacja.

22 osoby oświadczają, że żaden z tych elementów nie był bezpośrednio źródłem ich decyzji. W kilkunastu odpowiedziach stwierdzono, że elementy te bądź danej osoby nie dotyczyły, odnosząc się natomiast do całych grup, bądź też występowały w formie niezabsolutyzowanej czy potencjalnej, względnie występowały w połączeniu z innymi czynnikami („To wszystko było, a zarazem nie było”; „wszystko to było, ale nie miało wpływu na decyzję”; „wszystko to było, ale już w 1957 roku”; „wszystko to mogło przyjść w każdej chwili”; „pomimo usunięcia z pracy mogliśmy jednak egzystować”; „chodziło o dyskryminację wszystkich Żydów w Polsce; o usuwanie z pracy przyjaciół i znajomych — Żydów i 'aryjczyków'”).

Wynika zatem z powyższego zestawienia, iż więcej niż jedna czwarta ogółu respondentów przesuwają punkt ciężkości swych decyzji emigracyjnych na sprawy, które w danej chwili indywidualnie ich nie dotyczyły.

2) W jakiej mierze działała na rzecz wyjazdu sytuacja dzieci, a więc brak dla nich perspektyw względnie — jeśli już studiowały — zastosowane wobec nich represje czy ich groźba?

Wśród 50 osób odpowiadających na to pytanie tylko 3 twierdziły, że sytuacja dzieci nie miała znaczenia w podjęciu decyzji wyjazdowej, lub miała znaczenie wtórne. We wszystkich innych odpowiedziach czynnik ten został wyeksponowany bardzo silnie.

Niektórzy respondenci piszą tylko ogólnie o braku perspektywy dla dzieci. Szereg innych za to podkreśla groźbę represji wobec dzieci już studiujących („Ratowałem najprzód dzieci”), względnie rejestruje represje już dokonane (aresztowania i relegacje z uczelni, uniemożliwienie studiów, represje władz szkolnych).

Kilka osób pragnęło zaoszczędzić swym dzieciom doświadczeń i zawodów, jakie były ich własnym udziałem. Znajdujemy również w odpowiedziach protesty przeciw indoktrynacji, przeciw

„przymusowemu wychowywaniu dzieci w duchu ustroju wbrew woli rodziców”. Ktoś odpowiada: „Nie chcę, żeby dzieci wyrosły na ludzi skrzywionych psychicznie, żeby żyły w kraju, w którym są wewnętrznymi emigrantami”.

Szczególne wyodrębnienie wymaga ta grupa motywów, która ilustrując atmosferę panującą w okresie omawianym w Polsce, świadczy zarazem, że do lęków rodziców o losy dzieci wkradły się wyraźne reminiscencje z czasów pogardy: a więc obawa o możliwość dyskryminacji dziecka z powodu pochodzenia ojca, obawa o los „dziecka-mieszkańca” itd. „Żona w ogóle nie chciała — czytamy w jednej z wypowiedzi — żeby nasze dzieci urodziły się w kraju, ponieważ ja jestem Żydem — teraz dopiero urodziło się nasze pierwsze dziecko”.

3) Jeśli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub wyższej — w jakiej mierze wpłynęły na Pana(i) decyzję wydarzenia marcowe?

Z wyjątkiem jednej osoby powyżej lat 30, odpowiadają na to pytanie tylko respondenci z młodszych grup wieku. Zaledwie jeden respondent oświadcza, że wydarzenia marcowe nie miały żadnego wpływu na jego decyzję.

Dla całej reszty marzec miał znaczenie decydujące („Marzec był ostatecznym przejrzeniem”; „gdyby nie marzec — nie wyjechałbym”; „wypadki marcowe potwierdziły słuszność moich przekonań”; „poglądy aresztowanych studentów nie różniły się od moich”; „przechodziłem szykany, przesłuchania, rewizje”).

U dwóch osób wypadki marcowe wzmogły poczucie solidarności z otoczeniem, przy czym element ten — chociaż nie zwyciężył — działał w kierunku odwodzącym od wyjazdu:

„Same wydarzenia marcowe — twierdzi jeden z respondentów — mogły mnie tylko odwieść od decyzji emigracyjnej — zdecydowała heca antysemita potem rozpętana”.

„Wydarzenia marcowe — pisze druga osoba — podziały na mnie dwójako: z jednej strony uświadomiły mi trwałość i niewzruszalność istniejącego w Polsce systemu, z drugiej strony jednak wywołały we mnie paradoksalnie nieco (w tej sytuacji) poczucie więzi z dużą częścią polskiego społeczeństwa. Ponieważ jednak nie umiałem wysunąć żadnych argumentów przeciwko decyzji wyjazdu — szybko skapitulowałam”.

## OCZEKIWANIA

1) Czy wbrew wszelkim trudnościom, jakie niesie z sobą każda emigracja uważa Pan(i) swój wyjazd z Polski za zmianę na lepsze — czy też traktuje Pan(i) emigrację jako porażkę?

Więcej niż 1/3 odpowiadających na to pytanie osób odczuwa emigrację jako porażkę moralną. Kategoria ta obejmuje głównie ludzi związanych dawniej ideowo z systemem. Charakterystyczne, że uważa również emigrację za porażkę szereg osób młodych, których postawa wobec systemu była — jak widzieliśmy — o wiele bardziej krytyczna, niż początkowo wśród pokoleń starszych.



W ocenach tych dominują określenia niezwykle silne emocjonalnie: katastrofa, klęska, klęska człowieka wygnanego, tragedia, katastrofalna porażka, przekreślenie całego życia.

Trochę mniej niż 1/3 osób odpowiadających formułuje sądy ambiwaletne. Kiedy respondenci z tej grupy przypisują emigracji obok skutków negatywnych także pozytywne, są to zawsze (obok wymienianego bardzo często ocalenia dzieci względnie nadziei dla nich) czynniki natury moralnej („Wyrwanie się z osaczenia, z zakłamania”; „ratunek przed śmiercią duchową” itd.). Ci natomiast, którzy konstatują poprawę sytuacji materialnej, czy też osiągnięcia zawodowe, podkreślają jednocześnie porażkę moralną, jaką stanowi oderwanie od kraju, od środowisk zawodowych, przyjacielskich („Mimo osiągnięć zawodowych uczucie degradacji intelektualnej i wyobcowania”; „porażka — choć żyjemy lepiej niż w Polsce” — oceny podobne powtarzają się kilkakrotnie; „mniejsza porażka niż pozostanie w kraju”; „trudno było wyrwać się z Polski — ale zdobyłem swobodę wypowiedzi”; „porażka i ulga zarazem”; „była to konieczność zachowania twarzy”; „smutna zmiana na lepsze”).

8 osób eksponuje tylko ulgę moralną, a więc przede wszystkim uzyskanie wolności („Sytuacja w Polsce skazywała mnie na rezygnację z działalności naukowej oraz ograniczyła do minimum możliwości uprawiania publicystyki”).

25 osób pisze o zmianie na lepsze bez żadnej bliższej specyfikacji. Są to na ogół respondenci z młodszych grup wieku — tylko 2 osoby z grupy wieku 45 do 60 lat, tylko jedna — powyżej lat 60.

2 osoby polemizują z tytułem tej części kwestionariusza i z koncepcją pytania („Uważam pytanie za niestosowne i za wczesne”).

Widzimy zatem, że poglądy respondentów na emigrację kształtują się przeważnie na podstawie kryteriów moralnych i emocjonalnych.

2) Jeśli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub studentem szkoły wyższej, czy ma Pan(i) w kraju, do którego Pan(i) wyemigrował(a) możliwość studiów i zdobycia zawodu?

Odpowiadali tu respondenci z najmłodszych grup wieku — tylko 7 osób w wieku średnim lub starszym (prawdopodobnie rodzice, którzy oceniali perspektywy dzieci).

35 osób odpowiada na to pytanie „tak”, 2 osoby — „nie”. 5 odpowiedzi ma charakter wyczekujący, nie definitywny („Za krótko tu jestem”; „jeszcze się nie zorientowałem”; „w chwili obecnej uczę się języka”).

A zatem perspektywy kształcenia i zdobycia zawodu dla młodzieży przedstawiają się korzystnie.

#### EMIGRACJA A KRAJ

1) Czy antysemicką kampanię dyskryminacyjną w Polsce należy traktować, według Pana(i), jako zjawisko szczególne i wyodrębnione?

Trochę mniej niż 1/4 respondentów określa kampanię antysemicką jako zjawisko szczególne i wyodrębnione. Piszą więc, że było ono szczególne w swych rozmiarach i nasileniu. Przy tym zarysowuje się podział ocen: część respondentów podkreśla z naciskiem, że był to tylko antysemityzm „odgórny”, że „stroną dyskryminującą nie był naród, lecz sfery rządzące”; że nie tylko nie należy obwiniać za kampanię antysemicką społeczeństwa, „ale w ogóle stawianie w ten sposób tej sprawy jest wysoce krzywdzące dla Polaków jako narodu...”. Inni, uważając zjawisko za szczególne, zwracają równocześnie uwagę na „podatny grunt”, na „dalekie tradycje” polskiego antysemityzmu, na fakt, iż używanie Żydów jako „kozła ofiarnego” jest starym chwytem „przewijającym się przez całą historię Polski”.

Natomiast 58 osób odpowiada na to pytanie przecząco. Antycypując odpowiedź na pytanie następne, twierdzą (wielokrotnie), że był to tylko chwyt w walce o władzę, względnie o utrzymanie się przy władzy, chwyt mieszczący się w modelu, przejaw „degeneracji systemu” i zasady „dziel i panuj”, część składowa rozprawy z inteligencją. Ktoś zauważa: „Byli przekonani, że argument chwyci” — wyrażając w ten sposób pogląd, że hasło przyszło z góry.

Kilkunastu respondentów formułują poglądy bardziej złożone. Uważają więc że kampania antysemicka związana była „ze wzrostem roli komunistycznej warstwy średniej i dziedzictwem szowinistycznym, przejętym w spadku po drobnej burżuazji”; że merytorycznie nie było to zjawisko wyodrębnione, ale taktycznie — było; że dla tzw. średniego aktywu „antysemityzm ma powab ideologii”; że wypróbowanie wzorów z okresów najsmutniejszych dla ludzkości „mieści się w systemie, ale posiada specyfikę”, uwarunkowania historyczne itd.

2) Czy nie sądzi Pan(i) raczej, że kampania ta stanowiła kolejny atak ze strony systemu, operującego regularnie represjami wobec różnych grup ludności? Czy zatem osoby pochodzenia żydowskiego nie stały się ofiarami systemu na podobnej zasadzie co kiedyś członkowie Armii Krajowej, a w Związku Sowieckim całe skupiska narodowościowe?

Nierzadko odpowiedzi były twierdzące zarówno na pytanie poprzednie, jak i na to.

51 osób odpowiada twierdząco. Uzasadniając swą odpowiedź szerzej, jeden z respondentów pisze:

„W istocie rzeczy ofiarą tej kampanii jest Polska i jej dobre imię. Jest naszym obowiązkiem uświadomić opinię światową, iż to nie Polacy zorganizowali tę kampanię, ale przywódcy partyjni i funkcjonariusze Bezpieczeństwa”.

28 osób odpowiada na pytanie przecząco, argumentując, że kampania ta natrafiła na inne podłoże, niż ataki przeciw innym grupom i że wobec tego antysemityzm był „najłatwiejszym sposobem skompromitowania opozycji”; że walka z AK była walką z poglądami ogromnej części społeczeństwa, walką z przeciwnikiem politycznym, a nie z grupą etniczną (której zwartość była zresztą

również przez respondentów kwestionowana); że prześladowania za pochodzenie „są najbardziej irracjonalne, najbardziej amoralne i najtragiczniejsze w skutkach”.

30 osób, potwierdzając podobieństwa wymienione w pytaniu, eksponuje zarazem niezmiernie silne różnice:

„Przytoczone represje przeciwko żołnierzom AK — dowodzi jeden z respondentów — były w zasadzie prowadzone wyłącznie przez aparat ucisku, podczas gdy kampania antysemicka prowadzona była przez inspirowanie powszechnej aktywności, co się nawet w wielu wypadkach udawało. Ta różnica jest niezmiernie istotna, niezależnie od nieporównywalnych konsekwencji dla represjonowanych. Innymi słowy akcje przeciwko AK-owcom można było zakończyć poufnym poleceniem, podczas gdy kampania antysemicka pozostawiła trwałe ślady w społecznej mentalności”.

„Na pytanie 2) odpowiadam: tak — czytamy w innej odpowiedzi z tej kategorii. — Ale należy wziąć pod uwagę następujące okoliczności: członków AK, byłych wojskowych itd. spotkały represje znacznie ostrzejsze, niż obecnie osoby pochodzenia żydowskiego — w końcu tamtych zamykano i mordowano, tym natomiast pozwala się wyjechać. Jest jednak kilka „ale”. Człowiek prześladowany za poglądy, postawę itd. jest psychicznie jednak w innej sytuacji, niż ofiara prześladowań rasowych. Poglądów można bronić, bo się za nie odpowiada, poglądy można zataić lub zmienić — przyznając (nie sobie, ale innym ludziom) prawo nawet do mimikry, do oportunistycznego i tchórzostwa, człowiek nie urodził się na to, by być bohaterem, lecz aby żyć. Natomiast nie ma ucieczki od „pochodzenia”. Antysemityzm jest czymś irracjonalnym i nie ma przed nim racjonalnej obrony”.

3 respondentów (z tego jeden w prywatnej ze mną rozmowie) polemizowało z koncepcją pytania, twierdząc że jest zbyt sugerujące. W poprawionej wersji kwestionariusza pytanie to zostało przeformułowane.

Gdy zestawimy liczbę odpowiedzi twierdzących (51) z sumą odpowiedzi przeczących i takich, które ogromnie silnie eksponują różnice między wymienionymi w pytaniu represjami (28+30) — okaże się, że panuje wśród respondentów wyraźny podział poglądów na tę sprawę.

3) Kto według Pana(i) i z jakich powodów był w Polsce zainteresowany w rozpętanu kampanii antysemickiej i czy dała ona oczekiwane rezultaty tym, którzy ją wznieci?

Ścisłe personalne przyporządkowanie zainteresowań w rozpętanu kampanii antysemickiej występuje 39 razy: Z tego 24 razy wskazani są Moczar, moczarowcy i „partyzanci”, 11 razy — i Moczar i Gomułka (względnie ich poplecznicy), 4 razy — Gomułka i gomułkowcy.

Natomiast 58 razy respondenci wymieniają organy lub instytucje, kierujące, ich zdaniem, funkcjonowaniem mechanizmów systemu, a także pewne grupy wyodrębnione na podstawie kryteriów socjologicznych („Pojęcie Moczar jest łatwizną” — czytamy w jednej z wypowiedzi). Oto więc wskazywane zbiorowości: Biuro Polityczne PZPR, KC PZPR, cały aparat partyjny i państwowy,

średni aparat partyjny (wymieniany szereg razy), młodszy aparat partyjny „najwsteczniejszy element kadry partyjnej”; „2 i pół miliona członków partii”; aparat Bezpieczeństwa, aparat biurokratyczny, nowa warstwa drobnomieszczańska, coś w rodzaju „orgii drobnomieszczaństwa”, „partyjna i bezpartyjna ariergarda”, średnia klasa, „nowa klasa eksploatorska”.

12 razy wymieniono Związek Sowiecki jako zainteresowany w kampanii.

Jako powody rozpętanu kampanii respondenci wymieniają najczęściej: chęć odwrócenia uwagi społeczeństwa od najżywotniejszych problemów kraju i kierowania niezadowolenia przeciw „kozłom ofiarnym”; kocietowanie narodu i rachuby na znalezienie w nim sprzymierzeńców; wysiłki przechwycenia władzy przez określone grupy — względnie utrzymania przy władzy niezmiennego ekipy osobowej; chęć rozprawy z inteligencją, pozbycia się Żydów, pozbycia się ludzi niewygodnych.

Na część pytania dotyczącą rezultatów kampanii odpowiedziało 78 osób. Około 50 wśród nich uważa, że kampania dała albo da w przyszłości rezultaty duże lub częściowe („Kampania obezwładniła społeczeństwo”; „odwróciła jego uwagę od istotnych problemów”; „pogłębiła demoralizację”; „rozgromiła resztki liberałów”; „rozbiła środowiska inteligencji i studentów”; „zdobyła rządzącym popularność w pewnych kołach”; „pozwoliła pozbyć się Żydów, a przy tym niewygodnych nie-Żydów”; „była pozytywna dla Moskwy”; „da rezultaty w przyszłości, za kilka lat — zmierza ku temu obecna indoktrynacja w szkołach”).

Kilka osób twierdzi, że kampania była tylko sukcesem pozornym i chwilowym, że zjednano sobie wprawdzie karierowiczów i oportunistów, ale nie pozyskano mas społecznych.

Ponad 20 respondentów uważa natomiast, że kampania żadnych pozytywnych rezultatów jej inicjatorom nie dała („Żadna ze zwalczających się grup nie odniosła sukcesu”; „władza ani aparat nie stały się narodowi miłsze”; „nie zdołano przekonać społeczeństwa o winach oskarżonych”; „absolutna większość społeczeństwa pozostała wolna od antysemityzmu”; „większość narodu nie poparła kampanii, nie była w niej zainteresowana”; „rządzący myśleli, że tą drogą pozyskają sobie społeczeństwo, Polacy zrozumieli jednak, że główne uderzenie wymierzone było przeciw narodowi polskiemu”; „antysemityzm był marginesem walki przeciw narodowi polskiemu”).

4) Czy według Pana(i) zmiana sytuacji w Polsce zależy od zmian osobowych w ekipie rządzącej, czy też konieczne są zmiany instytucjonalne — a jeśli tak to jakiego typu?

86 osób twierdzi, że zmiana sytuacji w Polsce zależy od zmian instytucjonalnych, przy czym wiele dodaje, że jest to w tej chwili nierealne — jako argument występuje szereg razy Czechosłowacja. Niektórzy respondenci sądzą, że określenie „zmiany instytucjonalne” jest zbyt słabe, że konieczne są zmiany strukturalno-ustrojowe

we, zmiana całego systemu. „Chodzi o całkowitą zmianę instytucji — uściśla jeden z uczestników ankiety — a nie o rozluźnienie więzów”. Oto najbardziej znamienne spośród wymienianych elementów tych zmian: demokracja parlamentarna w oparciu o ustrój socjalistyczny, dopuszczenie legalnej opozycji, zmiany typu „dubczekowskiego”, wolność prasy, likwidacja monopartii, zagwarantowanie swobód obywatelskich i praworządności, zmiany w modelu gospodarczym, decentralizacja w zarządzaniu gospodarką, samostanowienie fabryk.

12 respondentów upatruje konieczność zmian osobowych i instytucjonalnych równocześnie, jako że ich zdaniem jednostki o określonych cechach inicjują zmiany instytucjonalne.

Tylko 5 uczestników ankiety widzi konieczność zmian osobowych bez instytucjonalnych.

11 osób natomiast, antycypując odpowiedź na następne pytanie, twierdzi, że bez zmian w Związku Sowieckim względnie w całym bloku żadne zmiany w Polsce nie są możliwe.

Jak widzimy, przytłaczająca większość osób, odpowiadających na to pytanie, widzi konieczność zmian instytucjonalnych — niezależnie od ich realności w obecnej sytuacji.

5) W jakim stopniu wewnętrzna sytuacja Polski zależy według Pana(i) od układu sił zewnętrznych, przede wszystkim w bloku sowieckim i jakiego typu zmiany w tym układzie mogłyby sytuację w Polsce zmienić?

96 respondentów wyraża różnymi słowami pogląd, że klucz do sytuacji Polski leży w zmianach w Związku Sowieckim, w przeobrażeniu jego stosunków z dzisiejszymi państwami satelickimi. Droga prowadząca do tych zmian bywa jednak określana rozmaicie. Niektórzy piszą o stopniowych przemianach w obecnej strukturze bloku sowieckiego, o roli jaką mogłyby odegrać ruchy odśrodkowe w krajach bloku. Kilka osób twierdzi, że bardziej elastyczna polityka Stanów Zjednoczonych i w ogóle Zachodu prowadzić by mogła do pozytywnych zmian w bloku, szereg respondentów wymienia też — jako element w skutkach swych pozytywny — nacisk Chin na Rosję. Ważą nadrzędną miałyby jednak przemiany w samej Rosji: liberalizacja prawdziwa, prowadząca do socjalizmu demokratycznego. Wymieniając te różne warianty, mnóstwo uczestników ankiety zastrzega się zarazem, że obecnie są one nierealne.

Pewna grupa osób nie formułuje nawet ewentualnych wariantów zmian, twierdząc, że siły zewnętrzne pogodziły się ze stanem istniejącym dziś w Polsce i że w ogóle międzynarodowy układ się został zamrożony na wiele lat.

Niektórzy oświadczają, że Polska nie wykorzystuje nawet tego minimalnego marginesu, jaki jej pozostaje mimo zależności. Rumunia i Węgry dowodzą — pisze jeden z respondentów — iż nawet „pod okiem sowieckim można się lepiej urządzić”. Ktoś wreszcie przypomina, że w okresie inwazji Czechosłowacji Polska miała możliwość wykazania większej samodzielności.

6) W jakim stopniu wyjazd Pana(i) był aktem politycznym?

68 osób odpowiada kategorycznie, że wyjazd ich był aktem politycznym. Często spotykamy określenia: „przede wszystkim”, „w 100 procentach”, „wyłącznie”. Inne określenia: „protest przeciw temu, co dzieje się w mojej ojczyźnie”; „jedynie możliwa reakcja”; „masowy wyjazd Żydów z Polski był aktem politycznym, a więc mój też”; „veto wyłącznie z przekonania politycznych — nie jestem Żydem”.

12 osób uważa swój wyjazd za akt polityczny, lecz wysuwa równocześnie cechy ograniczające („Jeśli być obywatelem drugiej klasy, to na obczyźnie”; „szukanie pracy i zapewnienie przyszłości synowi ma też wymowę polityczną”). Charakterystyczne w tej grupie są głosy, przypisujące decyzji wyjazdowej cechy aktu politycznego zależnie od reakcji społeczeństwa („Dla mnie był to akt polityczny, ale u innych nie wywołał takiego oddźwięku”; „wyjazd był traktowany przez społeczeństwo jako akt polityczny — ale nie pochwalany”).

Ponad 20 respondentów nie przypisuje swojej decyzji wyjazdowej cech aktu politycznego. Niektórzy uwydatniają nacisk zewnętrzny: wyjechali pod przymusem, z konieczności, jako wygnancy itd. Inni twierdzą, że wyjazd był aktem rozpaczy.

Na uwagę — ze względu na zabarwienie moralne — zasługuje głos 22-letniego respondenta:

„Gdyby mogli opuszczać kraj prawdziwi — według terminologii MSW — Polacy, mógłby to być (z mojej strony — przyp. K.Ch.) akt protestu”.

7) Jakie widzi Pan(i) możliwości oddziaływania z zewnątrz na sytuację w Polsce?

80 osób podkreśla ogromną rolę informacji („Ludzie w kraju łakną prawdy”; „ludziom trzeba lepszego rozeznania”; „trzeba odkłamywać sprawy polskie”). Równocześnie — według respondentów — kanałami radia i prasy (najczęściej wymieniane kanały to „Wolna Europa” i *Kultura*) powinny docierać do kraju diagnozy oraz próby konstruowania „alternatywnego programu ustrojowo-politycznego, wychodzącego z założeń socjalistycznych”.

16 respondentów akcentuje konieczność informowania opinii światowej o Polsce („Trzeba zainteresować sprawami polskimi społeczeństwa, w których się przebywa”; „doprowadzać prawdę o Polsce do intelektualistów, do takich instytucji, jak Komisja Praw Człowieka ONZ, czy Trybunał Russell'a”).

(Respondenci z obu powyższych grup — liczba ich sięga prawie 100 osób — wyrażają dość często rezerwę co do rozmiarów skuteczności powyższych akcji, niemniej uważają że *jakieś* możliwości istnieją i należy je wykorzystywać).

16 osób wyraża poglądy wysoce sceptyczne, lub wręcz pesymistyczne na możliwości oddziaływania z zewnątrz na sytuację krajową.

8) Czy według Pana(i) ludzie w kraju mają możliwości działania politycznego? Jeżeli tak — to jakie?

Na 115 osób, odpowiadających na to pytanie, 70 widzi możliwości działania, oczywiście w formach przystosowanych do sytuacji w kraju totalitarnym. Gradacje są jednak ogromnie szerokie, od postaw minimalistycznych do postulowania bardzo świadomych przejawów oporu. Grupa ta dzieli się więc dość wyraźnie na dwie podgrupy: poglądy mniej licznej (24 respondentów) wyrażają wyższe nasilenie możliwości oporu, poglądy grupy liczniejszej (46 respondentów) — sytuują się na niższych poziomach skali, zbliżając się niekiedy do granicy minimalizmu.

W grupie pierwszej kilka osób wyraża podziw dla bohaterów, dla młodzieży w marcu itd., dodając, że otwarte formy działania pozostają domeną najodważniejszych, na wszystko zdecydowanych — kilkakrotnie występuje tu również przykład Czechosłowacji. Jednocześnie bardzo często powtarzają się — także tutaj w różnym nasileniu — dwie koncepcje: bierny lub „cichy” opór, oraz różne formy bojkotu czy to określonych ludzi czy też określonych zarządzeń („Bierny opór polityczny”; „opór wewnątrz partii”; „odmowa udziału w niegodziwych akcjach”; „potępienie jednostek aktywnych w owych akcjach”; „stwarzanie presji społecznej zbyt powszechnej, by mogła być zwalczana jedynie środkami policyjnymi lub negliżowana”). Pojawiają się wreszcie postulaty refleksji badawczej poprzez „szukanie myślących podobnie”, samokształcenie, działalność twórców.

Respondenci z drugiej grupy, zastrzegając się że ich zdaniem możliwości działania są bardzo ograniczone lub minimalne, nie rezygnują jednak z ich specyfikacji. Jedna z osób pisze: „Istnieje jednak problem granicy konformizmu”. Także w tej grupie pojawia się „bierny opór”, „bojkot drastycznych zarządzeń”, „osobista ludzka przyzwoitość na własnych odcinkach pracy”, „opór wewnątrz partii”. Niektórzy akcentują rolę inteligencji: powinna ona docierać do klasy robotniczej „wiążąc postulaty w zakresie wolności jednostki ze sprawą warunków bytowych”. Spotykamy również podkreślenia wagi protestów indywidualnych: „Každy protest wybitniejszej osobistości odbija się szerokim echem w kraju”. Wreszcie motyw... „desperacji konstruktywnej” (spotykany zresztą uprzednio w odpowiedziach na inne pytania): „Możliwości żadne — ale coś trzeba robić”.

40 respondentów odpowiada kategorycznie, że absolutnie żadnych możliwości działania ludzie w kraju nie mają, niektórzy ograniczają to czasowo: „teraz”, „w chwili obecnej”. „Nie mają nawet możliwości milczenia” — pisze jedna z respondentek. Społeczeństwo jest zatamizowane — czytamy wielokrotnie — zwłaszcza po marcu i Czechosłowacji. „Lepsza część młodzieży — zdaniem niektórych — jest w istocie osamotniona”. „Niewiele można zdziałać — dodaje ktoś — od zrodzenia się idei do aresztowania”.

Kilka osób pozostałych twierdzi bądź, że ludzie w Polsce mają

możliwości działania, ale ich nie wykorzystują, bądź też przyznaje, że brak im poglądu na tę sprawę: „Nie wiem, co gorzej — nie wiem czy ludzie w kraju to wiedzą”. Albo: „Gdybym umiał odpowiedzieć na to pytanie, może nie byłbym wyjechał”.

9) Jaki jest Pana(i) stosunek do powojennej emigracji politycznej?

Podział 106 odpowiedzi na to pytanie jest liczbowo najbardziej w ankiecie rozdrobniony. Szereguję je w kategorii, przytaczając wybrane odpowiedzi dla egzemplifikacji:

*pozytywny, z pewnymi zastrzeżeniami, podlegający ewolucji.* Pozytywny — bez specyfikacji uzasadnień (szereg razy); „był zawsze negatywny, ale ostatnie przeżycia każą inaczej spojrzeć na sprawę”; pozytywny wobec *Kultury* (szereg razy); „generalnie pozytywny mimo naiwności i uproszczeń”; „pozytywny, ale emigracja powinna wciągać do działania ludzi młodszych”.

*Obserwacyjny.* „Eksploracyjny z lekkim dystansem”; „cenię *Kulturę* ale nie wiem w jakim stopniu jest ona dla emigracji reprezentacyjna”; „nie znam jeszcze emigracji” (zastrzeżenie powtarzane szereg razy).

*Niejednolity zależnie od tendencji politycznej poszczególnych odtamów.* „Sympatyzuję z postępową częścią emigracji”; „z reakcyjną częścią emigracji nie mam nic wspólnego”; „wszelkie skrajności są absurdem, cenię intelekt — nie znoszę ludzi, którzy nie nawidzą”.

*Krytyczny, ambiwalentny z różnymi elementami oceny.* „Brak emigracji rozeznanie w sprawach krajowych” (pogląd formułowany kilkakrotnie); „jest rozbita, zdeorientowana, bezradna”; „niepokoi mnie jej stosunek do sprawy narodowościowej”; „przez rok widziałem skłócone grupy ludzi o nie najwyższym poziomie intelektualnym”; „emigracja za mało działa, za bardzo zasklepia się w sobie, żyjąc przeszłością”.

*Umiarkowanie negatywny.* „Uważam, że ludzie ci w większości sami siebie już za emigrację nie uważają i gdyby była możliwość powrotu do kraju — oczywiście przy zmianie sytuacji o 180 stopni — do Polski na stałe wróciłyby tylko jednostki”; „emigracja polityczna traci możliwość działania w kraju, a nie widzi możliwości działania poza krajem”; „oprócz *Kultury* nie sądzę, by taka emigracja istniała w sposób autentycznie oddziaływający”.

*Zdecydowanie negatywny.* „Obawiam się, że panuje wśród niej duch 'Zbowidu'”; „interesuje ją przede wszystkim pieniądz”.

Kilka osób deklaruje brak poglądu, trudność odpowiedzi.

10) Czy zdaniem Pana(i) powstanie nowa emigracja polityczna? Jeśli tak, to czy zamierza Pan(i) wziąć w niej czynny udział i jakie widział(a)by Pan(i) formy tej emigracji?

Do odpowiedzi na to pytanie niektórzy respondenci włączają elementy przynależne właściwie do sfery treściowej pytania o możliwości wpływu z zewnątrz na sytuację w kraju, względnie

czynnikami wymieniane już w odpowiedziach na pytanie o stosunek do powojennej emigracji.

Rozkład odpowiedzi na pierwszą część pytania przedstawia się następująco:

Ponad 1/3 osób wyraża w różnym stopniu afirmatywny i często obwarowany różnymi zastrzeżeniami pogląd, iż emigracja powstanie („Powstanie głównie z elementów młodzieżowych”; „wezmą w niej udział głównie osoby starsze”; „powstanie — mimo, że „emigranci to rozbitki”; „już powstała”; „jestem za samo-określeniem się tej emigracji”).

10 osób uważa, że nowa emigracja powstanie, jeśli spełnione zostaną określone warunki. „To zależy od wspólnego działania starej i nowej emigracji” (pogląd wyrażany kilkakrotnie); „jeśli chce się pozyskać emigrację tego rzutu, nie można wiesznie roztrząsać problemów sprzed lat 30”; „należy działać wspólnie z emigracją z innych krajów bloku”.

12 osób twierdzi, że nowa emigracja polityczna może i powinna powstać („Powinien powstać szeroki front lewicy demokratycznej”; „powinna być socjalistyczna, ludowa — nie reakcyjna i szowinistyczna”. „Emigracja — pisze jedna z respondentek — może rozwijać polską myśl w sposób nieskrępowany, zachowując jej ciągłość i dając forum tym, którzy w kraju tego czynić nie mogą”).

Jedna piąta respondentów bądź sądzi wręcz, że nowa emigracja polityczna nie powstanie, bądź wyraża bardzo silne wątpliwości. Uzasadnienia są wielopłaszczyznowe („Nie powstanie nic, co mogłoby się liczyć jako siła polityczna”; „zdławi nas walka o byt” (pogląd powtarzany kilkakrotnie); „Polskę opuścili głównie komuniści, którzy przekonali się, że ich idee zbankrutowały — nie sądzę, że to spowoduje chęć walki z zewnątrz”).

Kilkanaście osób uważa pochodzenie żydowskie emigrantów za czynnik przeciwdziałający powstaniu nowej polskiej emigracji politycznej. („Ludzie, którzy wyjechali z Polski z urazem — nie dla niej nie zechcą zrobić”; „Żydzi są straceni dla każdej Polski”; „emigracja powstanie, ale w Europie — tu w Izraelu jesteśmy daleko od spraw polskich”. „Nowa emigracja polityczna — pisze emigrant, który opuścił Polskę kilka lat temu — składa się z Polaków pochodzenia żydowskiego (90%). Z tych chyba co najmniej 80% praktycznie biorąc wygnanych z Polski, choć obciążają nie Polaków, a rząd, przestanie się uważać za Polaków, wobec czego nie mogą być emigracją polską”).

I w tej grupie znajdują się jednak osoby, pragnące utrzymać kontakt z Polską („Chciałbym utrzymać kontakt z polskim językiem i z polską kulturą”; „Żydów wchłonie Izrael, jest jednak ze wszechmiar wskazane, by utrzymali kontakt z Polską, której kochać nie przestali”).

Kilkanaście osób wreszcie odpowiada, iż nie ma poglądu na sprawę.

Należy podkreślić, że w pewnych wypadkach zaszło nieporozumienie co do intencji pytania. Kilkanaście osób zrozumiało mia-

nowicie, że chodzi o stworzenie *oddzielnej organizacji*, skupiającej *wyłącznie* emigrantów najświeższego rzutu — i takiej koncepcji oczywiście się sprzeciwia. Jeden z respondentów pisze: „Niech Bóg broni... na triumf w postaci instytucjonalnego wyodrębnienia emigrantów z paragrafu norymberskiego Moczar doprawdy nie zasłużył”. Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, pytanie zostało w nowej wersji kwestionariusza przeformułowane.

Na drugą część pytania — o gotowość własnego udziału w działalności emigracji politycznej — odpowiada 50 osób.

33 osoby oświadczają, że bądź biorą lub chciałyby wziąć udział w działaniu nowej emigracji, bądź też wezmą w niej udział pod pewnymi warunkami. („Biorę już udział”; „zechcę wziąć czynny udział”; „wziąłbym udział tylko w kierunku, reprezentującym postęp społeczny, pozostając bowiem zwolennikiem lewicy społecznej” (warunek wymieniany szereg razy); „jeśli będą sensowne i realne zadania, nie powinno zabraknąć nikogo, także i mnie. Teraz wiem co jest sensowne, ale nie wiem co jest realne”).

13 osób deklaruje, że nie weźmie udziału w działalności emigracji — choć motywacje i postawy są bardzo różne. („Nie chcę żyć na marginesie społeczeństwa, w którym się znajduję”; „chciałabym się zaktywizować ale nie mogę ze względów osobistych”; „osobiście nie wezmę udziału — ale nowa emigracja polityczna powinna powstać” (odpowiedź powtarzająca się kilkakrotnie); „odpowiada mi wyłącznie rola obserwatora”).

Wreszcie pozostałych kilku respondentów nie ma jeszcze sprecyzowanych zamiarów („Czy potrafię się teraz czynnie zaangażować — nie wiem”).

Często — jak widzimy — odpowiedź negatywna na tę część pytania nie oznacza negatywnej postawy wobec ewentualnej działalności nowej emigracji politycznej w ogóle.

#### IV

Spróbujmy teraz przeciągnąć kilka konturów. Jak scharakteryzować najogólniej materiał otrzymany w odpowiedziach? Jak — postępując śladem jego wątków — naszkicować kontekst przeżyć, których doznawała i procesów, jakim podlegała, wypowiadająca się w ankiecie zbiorowość ludzka?

Widzieliśmy, że jest to zbiorowość drażniona od dawna ostrym procesem rozczarowywania się do systemu. Ani bezpośrednio, w decyzjach emigracyjnych respondentów, ani pośrednio, w motywacjach warunkujących te decyzje, sprawa żydowska nie zajmowała miejsca wyjątkowego. Była często kroplą przelewającą kielich, cezura dzielącą wytrzymywanie od niewytrzymywania, a ostatnio nękającą, wyniszczającą wegetację duchową od poczucia fizycznego zagrożenia. Sprawa żydowska stała się więc jedną z przesłanek osądzania systemu, w którego atmosferze społecznej zawiera się ciągle, gorączkowe niemal tworzenie napięć, mających kierować nagromadzoną agresję psycho-społeczną przeciw upa-

trzonym grupom ludzkim<sup>3</sup>. Jedną z przesłanek — palącą jak ogień i tragiczną, ale *nie jedyną*. Emigracja polska tego rzutu była wątpliwa, podejrziwa, zdesperowana, oburzona, zrozpaczona — znacznie wcześniej, niż sama poczuła się ponad możliwą wytrzymałość bita, dyskryminowana, ugodzona.

Przy zestawianiu czynników, wymienianych przez wielu respondentów jako etapy wykrywania sprężyn systemu, jego osądzenia i odwracania się od niego, uderza częstotliwość i gwałtowność protestów przeciw terrorowi intelektualnemu. Wynika to oczywiście z jednej strony ze struktury społecznej wypowiedającej się w ankiecie zbiorowości: rekrutowała się ona głównie spośród grup szczególnie uczulonych na „zniewalanie umysłów”. Ale obserwując rzecz od strony władzy, wskazującej kierunek ataku, dowód to jeszcze jeden, że walka z „syjonistami” (odczytana przez społeczeństwo od pierwszej chwili ze znamiennej jednomyślnością jako najwycyżniejszy antysemityzm) — zaplanowana została jako *fragment znacznie szerszej walki z wszystkim co myśli i ośmiela się rezultaty myślenia formułować*. Histeryczna żądza oskarżeń i represji, harcująca po Polsce w okresie, o którym mowa — opatrzona zresztą w prasie filuternym mianem „ożywienia politycznego”, a nawet, jeśli dobrze pamiętam, „politycznej wiosny” — wyrażała w istocie ówczesną polską wersję kneblowania ust, polską wersję zakazu myślenia. Nie trzeba przy tym zapominać, iż działo się to na tle potrzeb systemu w całej jego geograficznej rozciągłości. Organy jego dyspozycji, szukając od śmierci Stalina praktyczniejszych sposobów rządzenia niż represja więzienna-obożowa na skalę milionów, potykają się zarazem co chwila o pułapki reglamentowanej przez siebie „liberalizacji”. Ciągły taniec na linie jest rzeczą tym trudniejszą, że okazało się, iż nawet *liberalizacja* w cudzysłowie ośmiela także ową włłamszoną uprzednio w nawyki zaśniedziałej afirmacji myśl ludzką, która zaczyna z kolei przyglądać się bacznie całemu mechanizmowi, by zaatakować wreszcie — często niespodzianie dla samej siebie — podstawy jego funkcjonowania.

W niepoprawnie płaskim przewidywaniu sądzono w Polsce, że uda się zmylić ślady korzystając z okazji, nadarzającej się najprzód na Bliskim Wschodzie, potem zaś na warszawskim Placu Teatralnym. Ze uda się rozładować nagromadzoną gorycz społeczeństwa, aresztując demonstrujących studentów, wyrzucając z uczelni broniących ich i nieprawomyślnych profesorów, usuwając z różnych miejsc pracy pod różnymi pretekstami niewygodnych Żydów — oskarżając wszystkich razem i każdego z osobna o syjonizm, rewizjonizm, antypatriotyzm, przynależność do piątej kolumny i jeszcze kilka zdrad głównych. Ów godny politowania „rozwód po polsku” z utrapionymi skutkami „liberalizacji” nie był i w tym epizodzie niczym innym, niż określonym rozdzia-

3. O działaniu tych mechanizmów i kierowaniu nimi w okresie wydarzeń marcowych. ob. Zygmunt Bauman: *O frustracji i kuglarzach*, *Kultura* nr 12/255, 1968.

tem rozprawy z inteligencją, tej samej jaką prowadzi się w innych krajach bloku metodami zależnymi od chwili.

W Polsce chwila była osobiwa. Prawda to już banalna, że walka z „syjonistami” posłużyła władzy do intensyfikacji zastraszenia, do silniejszego jeszcze zaciśnięcia obręczy terroru wokół całego społeczeństwa. Zbyt szybko jednak banalizują się pewne prawdy, gdy — przyjęte raz do wiadomości — przestają tętnić krwią konkretnych przeżyć. Jedną z wartości ankiety było ponowne przybliżenie owego krwioobiegu, co okazało się zresztą dość łatwe. Ot, wystarczyło dać przemówić tym, którzy odczuli znane zabiegi w postaci niejako zmaterializowanej na własnej skórze. Tym, którzy odbierali razy pałek na plecach lub szli do aresztów. Którzy przypatrywali się osobiście prawdziwemu, rozszerzającemu się niemal co godzinę, zalewowi wyższych uczelni przez konfidentów-delatorów. Którzy przekonywali się w czwartek, że ich słowa wypowiedziane w środę na korytarzu, w miejscu pracy, są wiadome komu trzeba w KW czy w UB. Był to więc — także w świetle ankiety — najszerszy w zasięgu i najgęściej „zmasowany” od czasów stalinowskich atak przemocy policyjnej na społeczeństwo.

W takiej sytuacji łatwiej obezwładnić dalsze ofiary. Kto następny? — pytało szereg respondentów. Rzeczywiście, następnym — po oczyszczeniu kraju z „syjonistów” — aktem natarcia na społeczeństwo był list Biura Politycznego PZPR w sprawie redukcji robotników. List przewidywał 200 tysięcy bezrobotnych i 700 złotych zasiłku. Po drodze wysuwano dodatkowo szereg konstruktywnych pomysłów, dotyczących np. różnych sposobów utrudniania robotnikom zmiany miejsc pracy. Truizmem byłoby dowodzenie, że „po-syjonistyczne” posady i mieszkania nie zdołały poprawić sytuacji gospodarczej kraju, że zwyczajnie nie mogły mieć na nią najmniejszego wpływu. Natomiast szereg znaków na niebie i ziemi wydaje się wskazywać, że na podskakującym z taką brawurą szowinistycznym koniu wyścigowym Polska wjechała głębiej niż kiedykolwiek w ostatnich latach — w kieszeń sowiecką.

Z rubryk ankiety — zarówno w warstwie ocen, jak i przewidywań — odczytywaliśmy przeświadczenie, że wszelkie kanały tłumienia wolności zbiegają się ze sobą. Z długiego rejestru tych kanałów wynikało, że poglądy respondentów wpisują się wyraźnie w szeroko zakreślony krąg inspiracji październikowej. Październik obudził — jak widzieliśmy — głębokie nadzieje przeważnie w grupach wieku średniej i starszej (młodzi byli wtedy dziećmi) — po czym nadzieje te zaczęły się zniwacka lub stopniowo załamywać. Wielokrotne odwoływanie się później do sprawy Czechosłowacji świadczy o tym samym kierunku krystalizujących się procesów diagnozy, oporu i prostetu.

Ankieta stanowi więc w tej części obszerny przegląd różnorodnych przejawów likwidowania Października. I tak potwierdza się teza uprzednio już sformułowana i w analizach krajowych (w książce Władysława Bieńkowskiego) i w *Kulturze*: natarcie na

„syjonistów” mierzyło naprawdę w rewizjonizm. Pozory (i te były już zauważane, lecz przypomnieć je trzeba, gdyż stanowiły znamienne czynniki składowe całego manewru) miały świadczyć o czymś innym. Udawano oto, że gromi się stalinowców, ażeby omamić naiwnych, ażeby ładniej wyglądało przed światem. W tym celu ustawiano sobie przeciwnika w pozycji najwygodniejszej do ataku, podsuwano w prasie odpowiednie nazwiska, tropiono w studenckich demonstracjach dzieci odpowiednich ludzi, wypominano określonym osobom ich poglądy sprzed lat dwudziestu, gdy same one dawno już o mil dwieście od poglądów owych odeszły. W istocie jednak licytowano się w osaczaniu i zaszczuwaniu rewizjonistów i przede wszystkim rewizjonistów. A więc tych, którzy — by posłużyć się prostym skrótem — od dawna już uważali cały system za zły, rodzący i mnożący bezprawie.

Nie tutaj miejsce na semantyczną analizę terminu „rewizjonizm” lub na określanie stopnia jego zasadności w obecnych warunkach politycznych. Warto natomiast podkreślić że odpowiedzi na ankietę ilustrują, a przynajmniej markują, dużą różnorodność w zakresie tempa i etapów krystalizacyjnych procesu krytyki systemu i odchodzenia od niego. Dla jednych stosunki w PRL od początku niemal, z samej swej natury, zakładały rozbieżność z ideałami, socjalizmu czy komunizmu, inni — wśród nich często młodzież, dysponująca siłą rzeczy ograniczoną perspektywą czasową — upatrywali źródło zła w błędnej interpretacji czy realizacji słusznych założeń ideowych. Osoby powracające z ZSSR i wierzące, iż właśnie wiedza o tym, co stało się w Rosji, pomoże im zbudować w Polsce socjalizm inny i ludzki, przekonywały się w różnym trybie, że są to tylko złudzenia. Znaleźli się tacy, co stosunkowo długo pokładali nadzieje w tradycjach PPS; i tacy, którzy czując wbrew głębokim zastrzeżeniom jak gdyby wewnętrzny imperatyw współpracy z władzami PRL w celu odbudowy i rozbudowy kraju, późno dopiero zbilansowali stosunek ceny do zysków w zakresie owych wysiłków.

Ankieta była zbyt ramowa, by wysnuć z niej można szczegółową czy strukturalną krytykę ideologii stojącej u podstaw „dyktatury proletariatu”, choć bez wątplenia pozwala na hipotezę, że przytłaczająca większość respondentów wzięła z nią rozbrat radykalnie. I to odbywało się oczywiście na tysiąc sposobów, co wykryć można w wielu wątkach odpowiedzi. Rozmaite stopnie przywiązania do ideologii, rozmaite nakreślenia wiary czy złudzeń pękały w różnych miejscach, w różnych momentach, przy różnych okazjach. Niektórzy sądzili z początku, że wystarczy zmieścić pewne tylko segmenty budowli i potem dopiero, stopniowo, uświadamiali sobie, że obsuwa im się oto cegła po cegle, piętrowo po piętrowo — aż w końcu runął im cały gmach. Skądinąd wiadomo, że w typologii przemian, jakim podlegali byli komuniści, wariant to bardzo częsty. Inni natomiast przeżyli krach całej budowli błyskawicznie.

Przy tym wszystkim nie załamała się platforma, z jakiej krytykę systemu podejmowano. Przeciwnie, wykazała charakterys-

tyczne cechy stałości. Uczestnicy ankiety nie podważali nigdy podstawowych kryteriów socjalizmu, kojarzonego spontanicznym instynktem ludzkim w toku całej swej ideowej historii, a wbrew wersji „dyktatury proletariatu”, z ludzką wolnością. Odwrotnie, wyrażali aspiracje społeczne, zmierzające do realistycznie, nowocześnie pojmowanego egalitaryzmu społecznego, skutecznie dyskontującego awans warstw upośledzonych. Raz jeszcze sprawdzili się zjawisko, że idee te — w najszerszym swoim znaczeniu — ostały się w ludzkiej świadomości na obszarze dominacji sowieckiej i zaczęły żyć dynamicznym życiem własnym, urastając do groźnego narzędzia protestu przeciw żałosnej swej karykaturze w rzeczywistości.

Atak na system dokonywał się zatem z platformy ideowej socjalizmu. Późniejsze decyzje wyjazdowe dojrzewały zaś na tle coraz gorętszego pragnienia elementarnej ludzkiej swobody. Warto tu może przypomnieć dodatkowy jeszcze wynik ankiety: emigranci polscy z lat 1967-1969 nie wyruszyli po złote runo. Z góry liczyli się z możliwością deklasacji, a nawet w wypadkach, kiedy stwierdzali, że polepszyła się ich sytuacja materialna, to i tak wyjazd swój traktowali ambiwalentnie. Plusy decyzji wyjazdowej, podobnie jak perspektywy dla dzieci — często ważny decyzji tej bodziec — upatrywali przede wszystkim w uniknięciu krańcowej frustracji i degradacji moralnej. Wyzwalali się od dyskryminacji, w której następstwie „wszystko mogło się zdarzyć”, uwalniali się od codziennych, dręczących haraczów konformizmu, od nieodwołalności zatrzęsniętych bram uczelni przed młodzieżą, odważając się socjalizm traktować na serio. Taka i tylko taka była treść wewnętrzna pierwszego ich — po przekroczeniu granicy — westchnienia ulgi.

Czas poruszyć sprawę niezmiernie istotną, a w ankiecie — i nie tylko w ankiecie — kontrowersyjną. Czy kampania antysemityczna była jedynie ogólnie narzucona, czy także oddolnie dobrane widziana? Czy znalazła w społeczeństwie oddźwięk, czy go nie znalazła? Czy traktować ją jako zjawisko swoiste, czy też leżące w rutynie systemu?

Widzieliśmy, że w poglądach na ten problem uczestnicy ankiety wyraźnie się podzielili. Fakt tego podziału podkreślam z naciskiem nie tylko ze względu na kilka wspomnianych wyżej uwag krytycznych o jednym z pytań na ten temat. (Przypominam, że zostało ono w nowej wersji kwestionariusza przeformułowane). Akcentując ów podział, bronie natomiast i respondentów i *Kultura* jako pisma, które ankietę zainicjowało i zorganizowało. Respondenci — jak świadczą układ i treść odpowiedzi — nie czuli się bowiem skrępowani w rozwijaniu argumentów polemicznych wobec wątków wymienionych w pytaniu. *Kultura* zaś — i w ankiecie i poza ankietą — nie krzepi swych czytelników sielskimi malowaniami, które zdejmować by miały ze społeczeństwa wszelki cień podejrzeń o antysemityzm, obciążając nim wyłącznie aparat władzy. Kto uważnie obserwuje, ten dojrzy że nie uprawia się

na tych łamach, także w tym zakresie, cmokania nad narodową nieskazitelnością. Za to przetrząsa się często i dociekliwie tradycje polskiego antysemityzmu, nie obkładając ich żadnym makiżajem — i potępiając.

Jak zatem naprawdę zarysował się w ankiecie ów problem? Przekonaliśmy się wyżej, że trochę mniej niż połowa osób, które na odnośne pytania odpowiedziały, uważała iż *podobieństwo* tej kampanii do innych akcji dyskryminacyjnych i represyjnych *góruje nad różnicami* między nimi, co klasyfikuje sprawę jako jeden z typowych przejawów systemu. Natomiast nieco więcej niż połowa osób uwydatniła *cechy wyróżniające* ostatni atak antysemicki *spośród innych* ataków politycznych w rozmaitych okresach przez władzę podejmowanych. A zatem: antysemityzm tylko odgórny, czy także oddolny? Tylko dekret, czy także poklask?

Że odgórny, proklamowany, podbudowany, brutalnie i agresywnie podsycany, z premedytacją z wysokich pięt aparatu rzucony w tłum w nadziei, iż z iskry buchnie płomień uznania dla władzy względnie dla grup pnących się do władzy, z tym zgadzają się wszyscy. Wizerunek różnicuje się jednak przy dociekanu, co dalej stało się z iskrą. Wydaje się, że rezultaty ankiety nie odbiegają od ogólnego poczucia społecznego, jakie ukształtowało się wtedy w Polsce na tle codziennych doświadczeń. Szeroki płomień nie buchnął. Poklask, rychło przeobrażony w rozwydrzenie, wyszedł przede wszystkim z różnych — w tym także niskich — szczebli aparatu władzy i z jego rozgałęzień, ale w zasadzie w tych granicach się zatrzymał. Natomiast poza tymi kręgami postawy były niezmiernie *różne i* w jakości i w nasileniu.

Rozkładał teraz, by rzecz ocalić od niepamięci, na czynniki pierwsze, konkretne, czyli po prostu na codzienne zdarzenia, to co respondenci umieszczali w rubrykach ankiety w postaci kondensacji pojęciowych. Gdy bowiem czytam wszystko, co zostało przez nich napisane o odporze społeczeństwa, o braku poparcia dla kampanii w szerokich warstwach narodu, myślę o aktach sprzeciwu, buntu, oburzenia, protestu. Przychodzili do domów, wstawali na zebraniach, oświadczali publicznie że się nie zgadzają, przestrzegali, dźwigali ciężar wstydu, przybiegali na dworzec, przeprowadzali klasy gdy byli nauczycielami, by żegnały wyjeżdżających kolegów. *Narażali się*. Pisano już o tym, ale w tym miejscu i z tej okazji trzeba chyba powtórzyć raz jeszcze. Jestem pewna, że nie zniekształcam przeżyć czy doświadczeń, zgęszczonych często w ankiecie za pomocą pojęcia-skrótu. Że nie oparłam się wewnętrznego potrzebie tego zabiegu, zrozumie chyba każdy, kto znał cenę odwagi w tamtym miejscu i w tamtym czasie.

Czy był ich legion — najodważniejszych, świadomych represji, jakie mogły ich spotkać nazajutrz, głośno, publicznie protestujących? Nie. Nie ma nigdy legionu najlepszych w społeczeństwie sterroryzowanym, zwłaszcza w okresach spotęgowanej jeszcze działalności organów przemocy. Rosła tylko społeczna ranga i rozszerzała się zasięg promieniowania „najsprawiedliwszych”. Jednak między nimi a rozpalonym do czerwoności w żądry ofiar i posad

aparatem, rozciągał się szeroki obszar tysiąca możliwych reakcji: od cichej, świadczonej już tylko ukradkiem, ale — podkreślam — w wytworzonej atmosferze także godnej szacunku solidarności czy pomocy, poprzez obojętność, kluczenie ze spuszczoną głową, pokazywanie innej twarzy na użytek prywatny, a innej publicznie — aż po wpadanie w ton, rzucanie się w kierunku fali, załatwianie — na fali — porachunków osobistych, zrazu nieśmiałość, a potem skwapliwe zerkanie w stronę opróżnianych stołków. Jak więc widzieliśmy, wielu respondentów pisało, że niestety kampania chwyciła lub chwyciła częściowo, że odezwały się dawne tradycje, że „antysemityzm poszedł w lud”, ktoś „utracił wiarę we własne społeczeństwo”, ktoś wyraził żal, że nie podniósł się — w tym czy innym środowisku — protest zbiorowy.

I tak otrzymujemy obraz niejednorodny, przemieszany, powikłany, w którym trudno odmierzyć proporcje poszczególnych postaw.

Tylko że wcale nie odmierzenie jest tu sprawą najważniejszą.

Sprawą najważniejszą jest to, że w latach 1967-1968 zaapelowano w Polsce z pełną świadomością do niegodziwej, podłej tradycji, wykazującej od lat tendencję malejącą, skazanej — za jedno, za dwa pokolenia — na naturalne w skali społecznej obumarcie. Sprawą najważniejszą, nieodwracalnie wpisaną na konto obecnych władców Polski, jest fakt, że wywołano z nory i obdarzono funkcją publiczną coś, co w świetle najbardziej baczonej, podejrzliwej wręcz obserwacji widomie się kurczyło i *mogło* w dostępnym przewidywaniu ludzkiemu czasie zbliżyć się do zaniku. Ludzie, ugodzeni najświeższym atakiem antysemityzmu w Polsce, byli Polakami tak samo, jak pozostałe 32 miliony. Każde dodatkowe na ten temat zdanie osłabiłoby jedynie rzecz oczywistą. Charakterystyczne, że nawet wśród tych respondentów ankiety, u których przeżyty wstrząs podważył identyfikację narodową, nawet wśród nich odzywa się niekiedy żądza kontaktu z polskim słowem, z polską kulturą, gdyż łaknienie to — jak piszą — „mają we krwi”. Wymawianie Żydom, iż są „nietutejsi” dlatego, że w czerwcu 1967 roku wielu z nich nie uważało za stosowne ukrywać swej sympatii dla Izraela, okazało się procederem tym bardziej absurdalnym, że — jak dobrze wiadomo w kraju i zagranicą — w owym okresie strumień żywiołowej sympatii dla Izraela ogarnął trzy czwarte Polski.

Wystarczy pobieżnie nawet przejrzeć ankietę, by — bez śladu obaw o uproszczenie — i w jej materiale znaleźć dowody, że przedwojenne determinanty antysemityzmu: gospodarcze, religijne, obyczajowe, przestały istnieć, a więc i działać po wojnie. Ponadto Żydów z hitlerowskiego piekła ocalało, jak wiadomo, mało, co pospołu z aktualizującym się raz jeszcze zjawiskiem, iż idee — wśród nich zaś idea równości ludzi niezależnie od rasy — żyją własnym życiem, określało perspektywę czy prognozę stopniowego wygasania kwestii żydowskiej w Polsce. Nie wykluczało to oczywiście nawrotów choroby, które — w oparciu o praktykowany przez władze w różnych okresach antysemityzm „kadro-



wy" — mogły tempo procesu osłabiać. Osłabiały tempo — lecz nie zmieniały kierunku. Wektory przeciwne były silniejsze. Rzecz znamienna, argument iż w pierwszym dziesięcioleciu powojennym szereg Żydów brało udział w kluczowych ogniwach władzy, a niektórzy z nich w organach Bezpieczeństwa grzeszyli ciężko wspólnie z innymi — nawet to hasło wywoławcze *odpowiedzialności zbiorowej* (chwytności niemal zawsze w sferze nastrojów społecznych), tak skutecznie podsycane w roku 1957 — nie zagrało ze spodziewanym impetem dziesięć lat później. A zwłaszcza już młodzież, dorastająca w ostatnim dziesięcioleciu, coraz bardziej mgliste miała pojęcie o problemie żydowskim, coraz rzadziej wiedziała co to właściwie jest i czym się to je.

W tych okolicznościach podniesienie aktywnego, jawnego antysemityzmu — zwanego antysyjonizmem — do rangi doktryny niemal państwowej nabiera smaku szczególnie pikantnego. Wraz z wyjazdem „syjonistów” nie kończą się zresztą skutki procederu. Zagra bowiem — nawet wobec garstki pozostałych — odruch warunkowy. Przez długie lata nie będzie można w Polsce przyjąć do jakiegokolwiek pracy nikogo, bez uprzedniego posperrania czy kandydat jest czy nie jest Żydem. Przez długie lata — by pozostać przykładowo przy tej tylko dziedzinie życia — będzie dla „personalnych” najniższego nawet szczebla rzeczą niewyobrażalną pomijanie tego czynnika w awansach, przesunięciach itd. „Klucz pochodzeniowy”, do niedawna narzędzie dla wtajemniczonych w wyższych raczej gabinetach, został przekazany do użytku maluczkich. Według najnowszych wieści z Polski nie usuwa się teraz Żydów z pracy, ponoć nawet — w myśl odgórnich zaleceń — przyjmuje się tych, co przez lat kilka byli bezrobotni, wyróżnia się ich i nagradza. Nie trzeba być geniuszem, by dojrzeć w tym próbę alibi. W istocie bowiem nie przestaje się w obecnej Polsce *liczyć* Żydów ani przez sekundę. Tyle, że wnioski z *liczenia* będą zależne od chwilowego pożytku i określonej koniunktury.

Po tym wszystkim należałoby postawić pytanie, czy i w jakiej mierze nowi emigranci nadawali swej decyzji emigracyjnej funkcję normatywną. Czy wyjechali, sądząc że właśnie tak i tylko tak — z punktu widzenia moralnego — uczynić należało? Byłaby to, przynajmniej, w psychospołecznym kontekście tej emigracji postawa nęcająca: zawsze to dobudowana moralistyka dodaje wigoru. Jednak prawie brak w ankiecie takich sformułowań, w każdym razie w postaci skrajnej. Chociaż większość respondentów uważała wyjazd za akt polityczny, różnie to przeświadczenie wyrażając, to równocześnie traktowali oni na ogół tę decyzję jako reakcję jedynie możliwą dla siebie, lecz nie obowiązującą innych. Zresztą i stopień autentycznej własnowolności owej decyzji ujmowany był bardzo różnie, od akcentowania zawartego w niej protestu czy „odmowy uczestniczenia” aż po stwierdzenie, że innego wyjścia nie było lub uznanie się za faktycznego wygnańca.

Ponieważ przy wysokim i — co interesujące — niezależnym od wieku respondenta udziale odpowiedzi, oceniających emigrację

jako klęskę ideową lub po prostu ludzką, wiele osób (często tych samych) podkreślało jednak towarzyszące jej poczucie ulgi — przeto odezwały się tu i ówdzie głosy rozterki: czy przysługiwało mi *wybór* ulgi?, czy byłem do podjęcia go uprawniony? I oto jeden z uczestników ankiety określa możliwość wyjazdową, z której skorzystał, jako „przywilej”, bo przecież nie-Żydzi możliwości takiej nie mieli. W innej wypowiedzi — wyjątkowo skrajnej — czytamy:

„Jestem gotowy wrócić do kraju nawet, jeśli sytuacja zmieni się tylko 'na tyle', że wróci do stanu z 1962-65 roku z tą atmosferą pełzającego rasizmu i pół-faszyzmu. W miarę istniejących możliwości działałbym, jak i wówczas, przeciw tej ohydzie. Nie byłbym wówczas, i nie byłbym w razie zaistnienia takiej ewentualności, żadnym unikatem. Na Wschodzie i na Zachodzie żyją całe grupy ludzi niezadowolone z istniejącego ustroju i nie wybierają dobrowolnej banicji. Nie wybierałbym jej i ja. W Polsce A.D. 1967-69 banicja stała się oficjalną linią polityczną. Szczuto przeciw nielicznej grupie ocalałej z pożogi 1939-1945, po czym uchylono drzwi klatki. Zadziałał instynkt ucieczki...”

Inny wreszcie respondent, znajdujący się na emigracji od lat kilku, pisze wręcz:

„Wcale nie jestem pewien czy jako wieloletni komunista nie powinienem być zostać w Polsce i prowadzić beznadziejną opozycję”.

Rozterki i wątpliwości niewygasające, warte na dobrą sprawę oddzielnego studium, nierozwiązywalne w płaszczyźnie żadnej etyki normatywnej, a zarazem przejmujące w kontynuowaniu historycznego dylematu polskiego: emigracja czy pozostanie.

Z odpowiedzi na pytania o kraj wyłaniają się ostre choć siłą rzeczy tylko naszkicowane zarysy stosunków między jednostką a władzą w systemie totalitarnym. Jakkolwiek naprawdę zmienić sytuację mogą jedynie podstawowe reformy ustrojowe, określone w tej chwili jako nierealne przez wielu respondentów, jakkolwiek nie można sobie wyobrazić żadnych przemian w Polsce bez przemian w Rosji, jakkolwiek władza trawiona ciągłymi kryzysami nie wykorzystuje nawet — jak zauważają niektórzy — tego wąskiego marginesu na jaki zdobywają się niektóre inne państwa w bloku i wzmaga bezustannie nacisk na społeczeństwo, to jednak wbrew powszechnej niemożności odbywa się codzienne tej niemożności przekraczanie. Prawda, o czynnej, otwartej opozycji wobec oficjalnej linii politycznej większość uczestników ankiety pisze, że jest niemożliwa lub zastrzeżona wyłącznie dla bohaterów. A jednak z poza ocen pesymistycznych, sceptycznych, minimalistycznych, wyziera mimo wszystko podskórny, żłobiący sobie drogę ruchem robaczkowym, głuchy opór ogarniający miliony, sięgający od dawna już nie tylko różnych ogniw administracji ale wnętrza partii, rozsadzający konwencjonalne określenia opozycji. Jego gradacje idą długim stokiem od skromnego minimum w górę, a więc od okopania się na *jakiejs* granicy

konformizmu, poprzez różnie rozumiane warianty usuwania się na margines czy emigracji wewnętrznej i jednocześnie różnie stosowane odmiany „pracy organicznej”, aż po zamknięte w alegoriach i metaforach (które stały się gatunkiem) bunty twórcze, po „szukanie podobnie myślących” i pobudzanie refleksji demaskatorskich. Wszystko to są metody tak typowego dla tamtych obszarów wyrąbywania sobie, przynajmniej w dziedzinie działań własnych, najwęższej chociaż ścieżki ocalenia godności i obrony jej możliwym sposobem. Te postawy, te sprzeczności, te trwania, wymykają się w zasadzie represji karnej, jeśli trzymać się oczywiście istniejących ustaw — co nie zawsze, jak wiemy, ma miejsce. Przykładów sądzienia za poglądy widzieliśmy przecież aż nadto. Jednak tak czy owak, dzięki gromadzącym się w opisanym trybie napięciom, kształtuje się owa znamienita dla systemu atmosfera, w której apatia społeczna graniczy o miedzę z potencjalną nawałnicą.

Spółczesność, w którym myślenie musi przejść w konspirację, częściej biernie zamykające uszy na płynące z oficjalnych kanałów fałszywe, niż aktywnie je demaskujące — łaknie zarazem prawdy żywiołowo, niemal fizycznie. Prawdziwa informacja o kraju i świecie, ułatwiająca trzeźwą interpretację faktów posiada — poza swymi zrozumiałymi wartościami realnymi — także walor psychicznego środka rozkurczowego. I jedyne na razie, organicznie koniecznego w ramach tak ukształtowanej psychologii społecznej, środka pomocy. Stąd — znowu wbrew pesymizmowi i minimalizmowi — wyraźna przewaga odpowiedzi w ankiecie, że *jakieś* możliwości wpływania na sytuację w Polsce istnieją: właśnie informacja radiowa, kanał na codzień najskuteczniejszy, publikacje operujące zrozumiałym dla kraju zespołem pojęciowym. Z imienia powtarzają się najczęściej: „Wolna Europa”, *Kultura*.

Widzieliśmy wyżej, że odpowiedzi na pytanie o stosunek do powojennej emigracji polskiej wykazują największe w ankiecie rozdrobnienie liczbowe. Emigracja powojenna stanowi zatem dla respondentów zbiorowość niejednorodną, a wielokrotnie nie dość znaną. Wariantów ocen jest niezmiernie dużo, a selekcja dokonuje się na podstawie pierwszego, pobieżnego czasem rozeznania w prądach i tendencjach. Oceny zdecydowanie negatywne godzą w te grupy, które zasklepiają się — jak piszą niektórzy — w sobie i w przeszłości, które nie oderwały się od przedwojennego kształtu Polski, które operują skostniałą skalą wartości, nie znając w gruncie rzeczy lub też nie chcąc znać społecznych i politycznych układów w kraju i nie umiając określić wynikających stąd postulatów. Często występuje w tych odpowiedziach sceptycyzm co do skuteczności działania emigracji w ogóle, kilkakrotnie też surowa krytyka ugrupowań skłóconych, wyżywających się w lokalnych antagonizmach i małostkowych resentymencie.

Zaufanie wielokrotnie w ankiecie wyrażone kieruje się natomiast ku kręgom, reprezentującym poglądy — według określeń respondentów — światłe i demokratyczne, poglądy osadzone we

współczesności, chwytające jej nurty i otwarte na jej apele. W tym kontekście *Kultura* traktowana jest często nie tylko jako czasopismo, lecz jako platforma polityczna, z którą się sympatyzuje, którą się akceptuje. Przy całym szerokim rozstawie odpowiedzi na to pytanie wyraża się tu znowu — w sposób jawny lub pośredni — afirmacja *socjalizmu o ludzkim obliczu*. Niewątpliwy wspólny mianownik wielu zanotowanych także w tej rubryce refleksji.

Jak była mowa w poprzednim rozdziale, 1/4 spośród ogółu respondentów wyraża gotowość działania politycznego na emigracji, różnie akcentując jej nasilenie: od „marzeń” o działaniu aż po obwarowanie owej gotowości określonymi warunkami politycznymi. Ciekawe, że trudno tu wykryć korelację z wiekiem, jakkolwiek kilka razy spotyka się hipotezę, sformułowaną przez respondentów z grupy wieku 18-25 lat, że tylko starsze pokolenia emigrantów zaangażują się czynnie na rzecz kraju, gdy młodsze wraść będą w społeczeństwa, w których żyją.

Pamiętamy natomiast, że połowa osób, które odpowiedziały na ostatnie pytanie ankiety, twierdzi — z różnym stopniem stanowczości, lub z różnym stopniem nadziei — że nowa emigracja polityczna może wględnie powinna powstać. Najbardziej zdecydowani wyrażają przekonanie, że już powstała, przy czym analizują cechy, predysponujące ją do politycznego działania:

„Po raz pierwszy na Zachodzie (łącznie z Izraelem) — pisze jeden z respondentów — ukazała się tak silna liczebnie i tak znacząca intelektualnie warstwa ludzi, którzy przeszli drogę od przekonanych i nietuzinkowych budowniczych i ideologów systemu socjalistycznego, poprzez zwątpienia i liberalną opozycyjność, do uświadomienia sobie prawdziwego oblicza tego, co własnymi rękami zbudowali i wzięcia pełnego z tym rozbratu. Dotyczy to także przybyłej ostatnio na emigrację młodzieży. Wiedza tych ludzi na temat tzw. socjalizmu w jego, powiedzmy, radziecko-polsko-czeskim wydaniu, jest wyjątkowo obszerna, kwalifikacje intelektualne — wyjątkowo wysokie. Ich doświadczenie, ich wnioski i nurtujące ich myśli nie powinny zostać zaprzepaszczone. Mogą stanowić ogromną wartość w walce przeciwko wspomnianemu systemowi, mogą pomóc w uchronieniu licznych grup wśród współczesnych generacji (zwłaszcza młodzieży) od 'złapania się' na ideowe i inne wędkę współczesnego moskiewskiego lub chińskiego 'socjalizmu', 'rewolucjonizmu'... Możliwości ich wypowiedzenia się są na razie nikłe. Trzeba ich 'skrzyknąć', rozesłać im dalsze 'wici'. Dobrze się stało, że *Kultura* przejawia znaczne zainteresowanie w tym kierunku. Jest ona ogromnie ceniona w tym środowisku i przy jej pomocy można wiele jeszcze dobrego zdziałać. Ale może warto pomyśleć o dalszych inicjatywach? Może warto zwołać jedną czy drugą konferencję 'okrągłego stołu' w tej sprawie i wspólnie zastanowić się nad stworzeniem jakiegoś ośrodka skupienia? Może nie tylko z udziałem przedstawicieli nowej emigracji z Polski, lecz np. również z Czechosłowacji. Jestem jak najbardziej za wykorzystaniem wszystkich dotąd istniejących możliwości oddziaływania na kraj i nie tylko na kraj (prasa, radio), ale sądzę, że należy przy pomocy i poparciu *Kultury* poszukać sposobów nowych, spróbować je stworzyć”.

Przytaczam tak obszernie fragmenty tej wypowiedzi dlatego, że stanowi ona jak gdyby najbardziej wysunięty cypel w formu-

lowanych opiniach respondentów. Afirmatywność przeważającej części ich prognoz czy koncepcji jest i słabsza i mniej konkretna. Toteż charakteryzując zbiorczo poglądy, wyrażone w ostatnich dwóch rubrykach ankiety, trzeba strzec się uważnie przed uproszczeniem obrazu. Ani kategoryzacja obecnych tendencji emigracyjnych i określanie postaw wobec nich, ani sposób w jaki większość uczestników ankiety ujmuje perspektywę powstania emigracji nowej oraz własnego w niej udziału, nie oddadzą wiernie zawartych tu treści, jeśli pominąć wyczuwalny wyraźnie podtekst. Jest to, mimo wszystko, podtekst rezerwy i wyczekiwania.

Pamiętamy, że przy połowie odpowiedzi twierdzących na pytanie czy utworzy się nowa emigracja, około 50 osób wyraziło wątpliwości względnie przewidywania negatywne. Konfrontacja ta świadczy o ostrym podziale opinii i stanowisk.

Ci, którzy na pytanie to odpowiedzieli twierdząco — w najszerszym zresztą, różnie uwarunkowanym sensie — wykazują często powściągliwość w określaniu kształtów czy platform ewentualnego działania. Jak gdyby sądzili — nadając swym refleksjom kadencję znacznie wolniejszą, niż autor rozważań przytoczonych powyżej — że na konkretyzację za wcześnie, że powinna ona przyjść z czasem i z zewnątrz. Ci, którzy uważają, iż ostatni exodus politycznej emigracji nie zasili wcale, uzasadniają swój sceptycyzm zaabsorbowaniem walką o byt i stabilizację, a także urazami wyniesionymi z Polski, nieodwracalnymi, ich zdaniem, i obezwładniającymi. Ale u jednych i drugich uderza najczęściej coś w rodzaju momentu retardacyjnego. Może to pragnienie zaczerpnięcia oddechu w zupełnie nowej sytuacji życiowej. Może dążenie do lepszej orientacji, może potrzeba rozliczenia się ze sobą samym, może — a właściwie na pewno — trwająca ciągle opresja szoku.

Jest to zbiorowość, która w większości nie doznała jeszcze „rozkurczu”, niezmiernie uwrażliwiona na ciśnienia zewnętrzne, zbiorowość jeszcze CZEKAJĄCA. Aktywne krystalizacje w tę czy inną stronę dokonywać się będą powoli, stopniowo, w dłuższym procesie intelektualnego i uczuciowego odzyskiwania równowagi.

## V

W październikowej, a w istocie rzeczy grubo przedpaździernikowej (wszak Październik sięgał daleko w przeszłość) krytyce literatury i prasy, dokonywanej w Polsce przez ludzi parających się piórem, przewijał się wśród innych — o niebo zresztą ważniejszych — motywów atak przeciw „wszystkoizmowi”. Wymóg „wszystkoizmu” pochodził — jak wiadomo — z postulowanej doktrynalnie wszechdoskonałości wszechobejmującej, której ani na sekundę nie wolno zniknąć z pola widzenia czytelnika. Według tego wymogu, sankcjonującego kosmiczną, koszmarną wszechność, wszystko wszędzie musiało być, to znaczy w poemacie o miłości musiało być także o mechanizacji rolnictwa, a w artykule

o restauracjach także o czwartym prawie dialektyki. W ataku na „wszystkoizm” zawierał się również protest przeciw możliwości pogwałcenia każdego utworu czy każdego artykułu na podstawie tego, czego w nim nie ma.

Jeśli pozwalam sobie sięgnąć w tej chwili do tego, czego nie ma (względnie powiedzmy ściślej: czego nie ma najczęściej) w ankiecie, jestem jak najdalej od tropienia niespełnionych serwitutów, od zarzucania komukolwiek, że czegokolwiek nie napisał. Zresztą wbrew swej założonej otwartości kwestionariusz ankiety wskazywał respondentowi mimo wszystko (niektórzy twierdzili, że wskazywał zanadto) jakiś tor, z którego wprawdzie można zejść, od którego można się oddalić, ale przecież każde oddalenie odbywa się także w obrębie *jakichś granic*. W tym wypadku przyjęto za rzecz oczywistą, iż będą to granice stosunkowo najbliższe w czasie, najdoraźniejsze, najdrastyczniejsze, najdotkliwsze, nie powracające już do samego początku. Jeśli zatem wychodzę poza treść ankietowych odpowiedzi, to czynię tak pod presją może i trochę przekornego niepokoju publicysty, któremu powierzono analizę sondażu takiego jak ten. Niepokój namawia do *przekroczenia* owej ankietowej sumy losów i postaw jednostkowych i do podjęcia, na chwilę, refleksji *grupowej, środowiskowej*. Oznacza to z kolei konieczność pociągnięcia wstecz kontekstu ankiety i pobieżnego chociaż uzupełnienia go o jeden z najważniejszych — i przecież nie roztopionych w niebycie — elementów samego początku: o OPÓŹNIENIE.

Była mowa o tym, że duża część zbiorowości, wypowiadającej się w ankiecie — mam na myśli jej uczestników z średnich i starszych grup wieku — a także, jak sądzę, duża część całej emigracji polskiej po roku 1967, to ludzie głęboko dawniej zaangażowani w procesie październikowym. Opadanie łusek z oczu — wszystko jedno czy szybsze czy wolniejsze — i wysnuwanie stąd wniosków było, jak wszyscy pamiętamy, sprawą dramatyczną, oczyszczającą, pobudzającą. Nie wchodzi tu w dyskusję z różnorakimi, często skrajnie wobec siebie sprzecznymi, osądami ówczesnych ludzkich przełomów, które z zewnątrz odbierane bywały przez jednych jako prawda przez innych jako mimikra, czasem jak dramat czasem jak groteska. Jakiegokolwiek były te wyroki, łagodne czy surowe, faktem pozostało, iż owe przełomy ludzkie prowadziły nareszcie do przenikania zła, wprzód we fragmentach, potem w całości. Po likwidacji Października i aż po dzień dzisiejszy w kraju — w atmosferze społecznej beznadziejności — nie ustały, nie ustają, nie ustają codzienne wysiłki najzarliwszych, najbardziej zaciętych, walczenia o co się da, ocalania czego się da. I to nie tylko wbrew uciskowi, ale i wbrew goryczy rozumienia, że w systemie owym, gdy tknąć się, w celu naprawy, rzeczy najmniejszej, trzeba by w końcu zmieniać rzeczy największe, że każdy, najdrobniejszy odcinek „pracy organicznej” zależy od centralnej, generalnej dyspozycji — muru niewzruszonego, o którym sto razy rozbijesz głowę, zanim raz się przedrzesz. To chrońniczne kołatanie głową o mur, i jeszcze, i w kółko, i wciąż od

nowa, zna dobrze wielu dziennikarzy, publicystów. Lecz tak czy inaczej przetykała ten piotun w dawkach ponad miarę cała zbiorowość ludzka, o jakiej mówimy, przeświadczona już dziś na pewno — w ogromnej swojej większości — że los *socializmu o ludzkim obliczu* zależeć będzie od stworzenia całkiem innych struktur i całkiem innych regulatorów społecznego funkcjonowania.

Jednak przed tym czasem dojrzewających przeświadczeń trwał długi, zbyt długi czas, kiedy tylko nieliczni w środowiskach, które nas tu obchodzą, mogli krzyknąć w przyszłość: „Proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”. Więcej tych, co z perspektywy późniejszej dopiero wiedzy, w zwierciadle późniejszego dopiero widzenia, pytali i pytają samych siebie: Dlaczego nie byliśmy przeciw od początku?

Trzeba to OPOŹNIENIE „upodmiotowić”, nie poprzestając na roli ofiary. Nie indoktrynacja bowiem, lecz *auto-indoktrynacja*, nie pranie mózgow z zewnątrz, lecz kaleczenie mózgu własnego, samopogrążanie się w lubym śnie bezwarunkowej afirmacji, było najgroźniejszą zgorą intelektualną tamtej epoki. Dobra wiara, nawet czerpana z wierności dawno wyznawanym ideałom, jest słabą okolicznością łagodzącą i nikłą pociechą, gdy *zastępuje* umysłowe władze spostrzegania co mianowicie dzieje się z tymi ideałami w rzeczywistości, oraz oceniania ile wobec tego były warte. I stąd poczęło się przeciw owo niewidzenie, niesłyszenie, nieczucie tego, co widział, słyszał i czuł każdy przechodzień uliczny. Znane w skutkach, ujawnione i upamiętnione dla ludzkiego pożytku przez widzających wcześniej lub od początku.

A więc z Października owi ludzie określonej kategorii wyszli widząc. Po zmierzchu Października wielu z nich okopało się na mniejszych lub większych obszarach oporu. Lecz później, w próbie czasu, okazało się, że ani przejrzenie, ani opór — nawet najwęższy — nie są dane niezmiennie, nie utrwalają się samorzutnie, siłą inercji. I tym skuteczniejsza stała się obrona przed recydywą bielma na oczach, przed powrotnym, bezwolnym wpełzaniem w zgodę z władzą, im ostrzej i bezwzględniej umiał kto spojrzeć na tamto, zawinione przez siebie, kalectwo własnego intelektu. Im kto dokładniej i trzeźwiej rozliczał się przed samym sobą z każdego roku, z każdego miesiąca OPOŹNIENIA w odrzuceniu skorupy, jaka przywarła wówczas do jego umysłu paraliżując go i deprawując.

I tak zobiektywizowany powyżej niepokój publicysty odsłonił się zarazem jako bodziec subiektywny. W końcu kto wie, może i nie poruszałabym dziś tej sprawy, gdybym nie była kiedyś w OPOŹNIENIE uwikłana sama. Niech mi Czytelnicy i Redakcja wybaczą zamykający akcent osobisty. Nie mogłabym pominąć go w tekście, który w dwa lata przeszło po opuszczeniu Polski, jest moją pierwszą poza krajem publikacją.

Kamila CHYLIŃSKA

## EMIGRACJA POLSKA PO ROKU 1967

### Motywacje

- I. Czy rozczarowanie stosunkami w Polsce i w bloku sowieckim powstało u Pana(i) w sposób nagły, w sytuacji jaka wytworzyła się po wojnie izraelsko-arabskiej z czerwca 1967 roku, po wydarzeniach marcowych w Polsce w roku 1968 i po inwazji Czechosłowacji — czy też ta właśnie sytuacja stała się katalizatorem procesu rozpoczętego już dawniej?
  - A. Jeżeli proces ten rozpoczął się dawniej, jakie były jego przesłanki:
    - 1) Jeżeli odnosił(a) się Pan(i) przychylnie do powojennego ustroju w Polsce, to jakie zjawiska pozwoliły Panu(i) zdać sobie sprawę z rozbieżności pomiędzy Pana(i) poglądami a rzeczywistością polityczną w Polsce?
    - 2) Jeżeli okres narastania fali październikowej (1954-1956) obudził nadzieje na gruntowną naprawę ustroju, uniemożliwiającą nawrót do stalinizmu — to wskutek jakich okoliczności nadzieje te zaczęły się u Pana(i) załamywać?
    - 3) Gdy był(a) Pan(i) już przeświadczony(a) o bankructwie „polskiego Października”:
      - a) czy widział(a) Pan(i) szanse uprawiania opozycji przeciw oficjalnej linii politycznej:
        - wewnątrz partii
        - w innych stronnictwach
        - w organizacjach społecznych
        - w organizacjach zawodowych
        - w stowarzyszeniach twórczych
        - jeśli tak, to jak wówczas wyobrażał(a) Pan(i) sobie tę działalność?
      - b) czy też usunął się Pan(i) na margines życia politycznego uważając się za wewnętrznego emigranta?
    - 4) Jeżeli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub studentem szkoły wyższej — jak ewoluowały Pana(i) poglądy na możliwość celowej działalności dla młodych inteligentów w Polsce?
    - 5) Kiedy uznał(a) Pan(i) celowość względnie konieczność wyjazdu z Polski:
      - a) czy dopiero pod wpływem wydarzeń w latach 1967-1968?
      - b) czy też miał(a) Pan(i) ten zamiar wcześniej, a skłoniły Pana(i) do wyjazdu zaistniałe możliwości?
    - 6) Czy źródłem decyzji stała się osobista sytuacja Pana(i) lub członków rodziny:
      - aresztowanie
      - zagrożenie bezpieczeństwa osobistego
      - fałszywe oskarżenie
      - dyskryminacja
      - degradacja
      - usunięcie z pracy lub jego groźba itd.?
    - 7) W jakiej mierze działała na rzecz wyjazdu sytuacja dzieci, a więc brak dla nich perspektyw, względnie — jeśli już studiowały — zastosowane wobec nich represje, czy ich groźba?

- 8) Jeśli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub studentem szkoły wyższej — w jakiej mierze wpłynęły na Pana(i) decyzję wydarzenia marcowe?
- B. Jeżeli źródłem wstrząsu była sytuacja wytworzona po czerwcu 1967, po marcu 1968 i po inwazji Czechosłowacji — jak określiłby(a) Pan(i) bezpośrednie motywy swojej decyzji emigracyjnej:
- 1) Czy wpłynęła na nią ogólna atmosfera polityczna w kraju?
  - 2) Czy motywem decyzji były również przesłanki wymienione powyżej, w punkcie A pod 6) i 7) — jeśli tak, to które?
  - 3) Jeśli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej lub studentem szkoły wyższej — w jakiej mierze wpłynęły na Pana(i) decyzję wydarzenia marcowe?

#### Oczekiwania

- 1) Czy wbrew wszelkim trudnościom, jakie niesie z sobą każda emigracja, uważa Pan(i) swój wyjazd z Polski za zmianę na lepsze:
  - a) pod względem moralnym?
  - b) pod względem materialnym?
- 2) Czy traktuje Pan(i) emigrację jako porażkę:
  - a) pod względem moralnym?
  - b) pod względem materialnym?
- 3) Czy dopuszcza Pan(i) ewentualność powrotu do kraju, czy też ją Pan(i) wyklucza?
- 4) Jeżeli dopuszcza Pan(i) taką ewentualność, to czy uzależnił(a)by (Pan(i) decyzję powrotu od jakichś warunków — jeśli tak, to od jakich?
- 5) Jeśli był(a) Pan(i) uczniem, absolwentem szkoły średniej, lub studentem szkoły wyższej, czy ma Pan(i) w kraju do którego Pan(i) wyemigrował(a) możliwość studiów i zdobycia zawodu?

#### Emigracja a kraj

- 1) Czy antysemicką kampanię dyskryminacyjną w Polsce należy traktować, według Pana(i), jako zjawisko szczególne i wyodrębnione?
- 2) Czy zgadza się Pan(i) z poglądem, że kampania ta stanowiła kolejny atak ze strony systemu, operującego regularnie represjami wobec różnych grup ludności? Czy zatem osoby pochodzenia żydowskiego stały się ofiarami systemu na podobnej zasadzie co np. kiedyś członkowie Armii Krajowej, a w Związku Sowieckim całe skupiska narodowościowe:
  - a) czy zdaniem Pana(i) zachodzą tu analogie — a jeśli tak, to jakie?
  - b) czy też zachodzą różnice — a jeśli tak, to jakie?
- 3) Kto według Pana(i) i z jakich powodów był w Polsce zainteresowany w rozpętaniu kampanii antysemickiej i czy dała ona oczekiwane rezultaty tym, którzy ją wznieśli?

- 4) Czy według Pana(i) zmiana sytuacji w Polsce zależy od zmian osobowych w ekipie rządzącej, czy też konieczne są zmiany ustrojowe — a jeśli tak, to jakiego typu?
- 5) W jakim stopniu wewnętrzna sytuacja Polski zależy według Pana(i) od układu sił zewnętrznych, przede wszystkim w bloku sowieckim i jakiego typu zmiany w tym układzie mogłyby sytuację w Polsce zmienić?
- 6) W jakim stopniu wyjazd Pana(i) był aktem politycznym?
- 7) Jakie widzi Pan(i) możliwości oddziaływania z zewnątrz na sytuację w Polsce?
- 8) Czy według Pana(i) ludzie w kraju mają możliwości działania politycznego? Jeżeli tak — to jakie?
- 9) Jaki jest Pana(i) stosunek do powojennej emigracji politycznej?
- 10) Czy zdaniem Pana(i) najnowszy rzut emigracyjny zasili określone odłamy emigracji politycznej? Jeśli tak, to czy zamierza Pan(i) wziąć czynny udział w ich działalności i jakie widziałby Pan(i) formy tej działalności?

#### DANE OSOBISTE

PLEĆ: .....

GRUPA WIEKU: (lat 15-18; 18-25; 25-30; 30-45; 45-60; powyżej lat 60) .....

STAN CYWILNY: .....

LICZBA DZIECI I ICH GRUPA WIEKU: (do lat 10; 10-15; 15-18; powyżej lat 18) .....

WYKSZTAŁCENIE: .....

ZAWÓD: .....

MIEJSCE ZAMIESZKANIA W POLSCE: (Warszawa, miasto wojewódzkie, mniejszy ośrodek) .....

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI  
Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Tam gdzie rosną poziomki... (II)

Biedny Szwed tym się różni, jak wiadomo, od zamożnego — że sam myje swoje Volvo. To prawda, Szwecja jest bogata, na trzecim miejscu po USA i Kanadzie; podobno dlatego że dwieście i coś lat nie brała udziału w wojnie. Niech będzie, choć patrząc na Niemcy i Japonię można mieć wątpliwości czy przegrana wojna wywiera ujemny wpływ na zamożność narodu. Faktem jest że jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie było w Szwecji tak wesoło. Żyją przecież dawni biedacy wiejscy, *statarna*, i wspominają lata dwudzieste kiedy na bosaka chodzili i nie mieli co do gęby włożyć. Dla jaśniepańskich Polaków, którzy co jak co, ale chleb codzienny mieli ze swojej żyznej ziemi — kępując jest to gorliwe, wielokrotne dziękowanie za jedzenie, nieodzowne tutaj po każdej wizycie. Widocznie musiało im kiedyś dobrze dać w kość, skoro nad portalem kościoła św. Jakuba w Sztokholmie umieścili sobie taką, pełną realizmu, maksymę: „Najpierw chleba szukamy, a potem Królestwa Bożego”.

To dawne czasy. Teraz — największa w Europie ilość samochodów, telefonów itp. luksusów na łebka, najwyższe zarobki, i... najwyższe podatki. Tak jest, człowiek samotny zarabiający pięć tysięcy koron czyli tysiąc dolarów na miesiąc, płaci z tego ni mniej ni więcej tylko połowę wprost do królewskiego skarbcza. A podatki pośrednie, dolepione cichaczem do każdego towaru? Kto by się tego doliczył, szkoda nerwów! Inna sprawa, że obywatel coś za to ma, królestwo naoliwione pieniędzmi funkcjonuje doskonale. Nie ulega wątpliwości że Szwecja jest dzisiaj jednym z najlepiej zorganizowanych państw na świecie. Co najważniejsze — bieda jest w praktyce zlikwidowana. Prawda, można czasem spotkać w Sztokholmie brudnych i obszarpanych włóczków z powołania, ale tacy nie mają łatwego życia: bez przerwy ktoś chce im pomagać. Wydaje się że szwedzka metoda łatwego dostę-

pu do społecznych pieniędzy dla każdego, bez zbytniej kontroli na co zostaną zużyte — to skuteczny sposób wyeliminowania nędzy. Wielu twierdzi że takie postawienie sprawy zachęca leniuchów i darmożjadów do nieróbstwa; może, ale na pewno nie odstrasza pracowitego od roboty. Nawiasem mówiąc z tej bajecznej rozgałęzionej pomocy socjalnej z największym talentem korzystają obcokrajowcy. Był w Sztokholmie lekarz, Szwed zresztą, który bez badania — a nie drogo, wypisywał zaświadczenia choroby na każdy żądany okres; na podstawie takiego papierka otrzymuje się zasiłek niewiele mniejszy od pensji<sup>1</sup>. Poczekalnie miał ten lekarz zawsze przepełnioną... cudzoziemcami. Kiedyś jeden z moich przyjaciół rodaków objaśniał mnie szczegółowo ile tygodni trzeba pracować, a ile chorować — żeby na tym wyjść jak najlepiej.

Po ukończeniu 67-go roku życia (kobiety 65-go) każdy obywatel, podobno nawet król jegomość — dostaje emeryturę, która wzrasta równoległe do cen. Obecnie wynosi ok. 500 kr. co wystarcza na skromne potrzeby. Emeryt który nie ma innych zarobków otrzymuje dodatek na czynsz, światło i telefon, plus szereg innych ulg i pomocy — jeżeli tylko zechce się o nie postarać. Na dodatek każdy pracujący, również cudzoziemiec, odkłada sobie przymusowo na drugą rentę zależną od wysokości zarobków. Być może to jest powodem że w tym kraju żyje znikomy procent ludzi cierpiących na bezsenność.

Szwecja, podobnie jak nasza PRL, jest krajem socjalistycznym, z tym że poza nazwą nie ma z nią wielu cech wspólnych. Socjaliści siedzą tu przy władzy nieprzerwanie (z wyjątkiem rządu koalicyjnego w czasie wojny) od roku 1932. Przez ten czas urządzili sobie kraj dosłownie tak jak chcieli. Nie ma już po prostu przywilejów których robotnicy mogliby sobie jeszcze zażyczyć. Ale tutaj okazało się że ci bynajmniej nie mają zamiaru forsować upaństwowienia prywatnych przedsiębiorstw — na starej zasadzie kaczki, której się nie zarzyna jeżeli znosi złote jaja. Jasne, że nikt tu nie ma wątpliwości o bezwzględnej przewadze wydajności prywatnego zakładu nad państwowym. Konkretnie: 19 największych szwedzkich przedsiębiorstw państwowych (bez kopalni rudy LKAB) razem z loterią pieniężną, totalizatorem i monopolem spirytusowym, zatrudniają 30 tysięcy ludzi w roku 1967 — zapłaciło 48 milionów koron podatków, akurat tyle co średniej wielkości prywatna fabryka chemiczna Mo & Domsjö z 5.600 pracowników. Takie zakłady jak Volvo z 11.300 ludzi władowały w tymże roku 294 miliony do kasy podatkowej<sup>2</sup>. Zrozumiałe że

1. Nawet nie pracująca zarobkowo pani domu ma prawo do zasiłku chorobowego.

2. Dane z pisma podatników „Sunt förnunft” (zdrowy rozsądek), sierpień 1968.

zdrowy rozsądek nie pozwala podcinać takich złotodajnych żył. Socjalistycznym ekonomistom pozostaje tylko jeden problem do rozwiązania: ile pieniędzy można wydusić z prywatnego przedsiębiorcy żeby jeszcze nie zwinął interesu.

W wyborach do parlamentu w roku 1968 socjaliści uzyskali pierwszy raz od roku 1940 bezwzględną większość — 128 mandatów na 233 istniejące. Przez dwa lata mieli łatwe życie<sup>3</sup>, bo przedtem musieli ciężko walczyć z trzema partiami opozycji. Wygrywali na tym szwedzcy komuniści, których karłowata grupka bywała nie proszonym, choć często decydującym o zwycięstwie socjalistów, głosem w Riksdagu. Komuniści mieli 5 mandatów do roku 1964, kiedy to w wyniku „odmłodzenia kadr” podskoczyli na 8. Jak informowała swoich czytelników zawsze kompetentna i rzeczowa prasa polska (np. *Przekrój*) — „szwedzcy komuniści zwiększyli liczbę swoich mandatów w parlamencie o z górą 50 procent”. Przyszedł rok 1968 i na odmianę (o czym już *Przekrój* nie wspomniał) „komuniści zmniejszyli liczbę mandatów o z górą 50 procent”, bo dostali tylko 3. Winną była inwazja Czechosłowacji która nastąpiła w przeddzień wyborów. Na próżno nowy przywódca tow. Hermansson wił się jak piskorz, wymyślał na Związek Sowiecki ile wlaźło, żeby się jakoś przed rodakami wybielić, jedyny z kierowników partii, który żądał zamrożenia kontaktów z ZSSR. Nic nie pomogło. Wszystko czego się dorobił to ataku w *Izwiestiach*. Nie oszczędzali go sowieccy towarzysze, nawet żonę milionerkę mu wypomnieli, jaki to on bogacz-komunista; a zgoła nie słusznie, bo jak się okazało żona ma wszystkiego raptem 400 tysięcy koron.

Zgodnie z socjalistycznym duchem w rządzie szwedzkim jest kilku ludzi czystego pochodzenia robotniczo-chłopskiego: minister spraw zagranicznych Nilsson — były murarz, minister skarbu Sträng (nomen-omen, sträng znaczy srogi) — były ogrodnik, niedawny minister spraw wewnętrznych Johansson — były piekarz, minister oświaty Lundqvist — były listonosz, minister obrony Andersson — były robotnik budowlany. Oczywiście nie zostali członkami rządu tylko dlatego, że mają szczęście pochodzić z klasy robotniczej — jak to bywa w naszej ojczyźnie ludowej, lecz ponieważ są ludźmi wielkich zalet umysłu i charakteru. Partii, która utrzymuje się przy władzy balansując jak linoskoczek, żeby nie zlecieć przy pierwszej okazji, nie stać na forsowanie teorii kosztem zdrowego rozsądku.

W tym demokratycznym kraju tak długo pod władzą socjalistów, obecność króla, królewicza, księżniczek — wydaje się para-

3. Po wrześniowych wyborach powtórzyła się stara historia: w zreformowanym jednoizbowym parlamencie na 350 mandatów socjaliści zdobyli 166, trzy partie opozycji 167, komuniści aż 17.

doksem. W rzeczywistości istnienie królewskiego dworu jest dowodem wysokiej próby szwedzkiej demokracji. Rzecz w tym że to właśnie lud pragnie mieć monarchę, w płaszczu gronostajowym, z berłem, w koronie — jak z obrazu naszego Matejki. Na pytanie ankiety — kto jest osobą najbardziej nieodrodną dla Szwecji — większość ludzi odpowiada uparcie że król i królewicz. Powiadają niektórzy że ten cyrk trochę że ten cyrk trochę za drogą Szwecję kosztuje; w rzeczy samej — apanaże króla, królewskiego brata, synowej, czterech księżniczek i młodego księcia następcy tronu, plus wydatki na służbę i pałace *cum boris, lasis* etc., — wynoszą pięć milionów koron rocznie. Ale najwidoczniej poddanym nie wydaje się to za dużo, skoro na 80-te urodziny królewskie zebrali dodatkowy milion w podarunku dla swego władcy. Prawda, że księżniczki nie błyszczą urodą ani zaletami umysłu (tylko jednej udało się zdać maturę); natomiast sam Jego Majestat jest bardzo miłym i delikatnym starszym panem, pełnym pobłażania dla nietaktów demokratycznego otoczenia. Byłaby wielka szkoda gdyby ta malownicza instytucja przestała istnieć. Nadzieja narodu spoczywa we wnuku królewicza o znaczącym dla Polaków imieniu, dwudziestoczteroletnim, rosnącym i pięknym Karolu Gustawie.

Jest inna dziedzina na którą Szwecja wydaje dużo pieniędzy, też — zdawałoby się — bez koniecznej potrzeby: to obrona państwa. Na ten cel leci rocznie 125 dolarów od każdego mieszkańca, a to jest trzecie miejsce na świecie po USA (\$ 368), Sowietach (\$ 147) i przed Izraelem (\$ 124). Tak, Szwecja jest zdecydowana bronić swojej neutralności!: przed kim — o tym się nie mówi, ale wszyscy wiedzą że na pewno nie przed Norwegią. W latach 60-tych podczas zaostrzenia stosunków między ZSSR i Finlandią do wszystkich mieszkań w kraju została rozesłana interesująca broszurka pod tytułem „När kriget kommer”, kiedy będzie wojna. Oprócz wskazówek jak się zachować w czasie ataku atomowego, sposobów ewakuacji miast itp., zawierała wezwanie do obrony kraju za wszelką cenę, bez względu na okoliczności, w razie potrzeby „do ostatniego żołnierza”. Mimo że zaraz ktoś dowcipny zapytał ministra obrony — kogo mianowicie miałyby bronić ten ostatni żołnierz — każdy rozumiał powagę intencji. Różne były zdania na temat realnych szans szwedzkiej obrony, ale dzisiaj kiedy się widzi jak jeden z naszych dwóch goliatów nijak nie może powalić wietnamskiego Dawida, można sobie pozwolić na ostrożny optymizm. Zwłaszcza że byłoby czym się bronić: ma się piekielnie szybkie myśliwce „Viggen” wyrabiane przez fabrykę samolotów SAAB, podobno lepsze od amerykańskich Phantomów, ma się rakiety przeciwlotnicze ziemia-powietrze „Bantam” zakupione niedawno przez Szwajcarię (muszą być niezłe), słynny pływający czołg bez wieżycy — i inne tym podobne wynalazki. Nie

trzeba dodawać że ten stan rzeczy nie zachwycił wschodniego sąsiada. W rezultacie co pewien czas wybucha afera szpiegowska. Kilka lat temu kontrwywiad nakrył szwedzkiego dyplomate, pułkownika Wennerströma, który okazał się... sowieckim generałem. Ano, swojacy nie docenili zalet pana pułkownika więc poszedł do tych co się na nim poznali. Przyznał się do wszystkiego — narobił strasznych szkód, całe kompleksy fortyfikacji trzeba było przebudowywać. Dostał dożywocie.

Z wyjątkiem komunistów mało kto protestuje przeciw wydatkom na obronę państwa, zwłaszcza że te koszta — mimo swoich rozmiarów — nie powodują kolejek po chleb jak w kraju zwycięskiego socjalizmu. Jeżeli Szwedzi kiedyś mieli złudzenie do Rosji Sowieckiej — to ta skutecznie postarała się je rozwiać. Zaczęło się od aneksji krajów bałtyckich: uciekinierzy z Litwy, Łotwy i Estonii mieli nie jedno do opowiedzenia o entuzjastycznym przyłączeniu się ich krajów do bratniej rodziny narodów komunistycznych. Potem była głośna sprawa Raoula Wallenberga. Wallenbergowie to stara i potężna rodzina szwedzkich bankierów mająca udziały w wielu przedsiębiorstwach (SAS) i wciąż dużo do powiedzenia w państwowej ekonomii. Przy końcu wojny, kiedy hordy naszych przyjaciół wyzwalały Wschodnią Europę, młody Raoul był akurat na Węgrzech, gdzie targował się z Eichmanem o życie iluś tam tysięcy Żydów. Tam go też nasi ogarnęli. Polski czytelnik wie bez mówienia co się dalej stało: oczywiście Wallenberg zniknął. Jak my to dobrze znamy — człowiek był, człowieka nie ma — i sprawa załatwiona. Ale można rodzina w Szwecji nie chciała na taką logikę przystać, ani o synu zapomnieć. Zaczęły się starania. Przez całe lata przychodziła z Moskwy ta sama odpowiedź: takiego u nas nie ma i nigdy nie było. Dopiero za Nikity sprawa częściowo się wyjaśniła. Owszem, tak, był na Łubiance, tylko już umarł. Na serce. Jednak i tym razem Wallenbergowie nie uwierzyli. Starają się do dzisiaj.

Ogólna recesja ostatnich lat nie oszczędziła Szwecji; ale w roku 1958 kiedy przyjechałem, gospodarka szła na pełnych obrotach i miałem przed sobą co najmniej siedem lat tłustych. Nie dali mi się długo obijać w uciekinierskim obozie. Już parę tygodni po przyjeździe siedziałem za deską rysunkową w Halmstad, małej dziurze nad Kattegattem, z pożyczką od urzędu pracy w kieszeni. Z tego czasu pamiętam najlepiej moją pierwszą pensję; choć w przyszłości miałem zarabiać wiele razy więcej, nigdy nie wydawało mi się że zostałem tak dobrze zapłacony. Po pół roku byłem z powrotem w Sztokholmie, po roku przyjechała Wanda. Ta spryciara mądrze sobie poradziła: zimą namotała w Zakopanem młodego Francuza, zaprosiła go na lato do Sopotu — i w jesieni siedziała w pociągu do Paryża. Zachód witał ją bez entuzjazmu;

na widok komunistycznego paszportu srogi celnik francuski bez ceremonii wysypał z jej torby podróźnej wszystkie szmatki i lichutkie desusy, po czym w poszukiwaniu wymagowanej kontrabandy zaczął w tym grzebać ku wielkiemu wstydowi dziewczyny. Na szczęście szwedzcy celnicy okazali się bardziej wyrozumiali gdy w jakiś czas potem zdążyła do Sztokholmu; co na tę niespodziewaną zmianę frontu powiedział francuski przyjaciel nie do wiedziałem się nigdy.

Warunkiem przyjazdu Wandy było załatwienie dalszego ciągu studiów malarskich w Sztokholmie. Jeszcze na wiosnę przysłała kilka olejnych prac malowanych w gdańskiej PWSSP. Poszedłem z tym do Akademii Królewskiej, chociaż znajomy malarz Szwed nie robił dużych nadziei; powiedział że tam nie ma zwyczaju przyjmować obcokrajowców. Jednak poszło gładko, chociaż rzeczywiście okazało się później że pełnoprawnym studentem może być tylko obywatel szwedzki. Czy to dlatego że nauka jest bezpłatna, czy z obawy konkurencji — cudzoziemscy hospitananci nie mają prawa do udziału w dorocznej wystawie, do korekty profesorskiej, nawet do szafki na farby i płótna. Możesz korzystać bracie i siostrze, z modela, i nic ponadto.

Ale na razie Wanda obładowana blejtramami, szczęśliwa i pełna entuzjazmu biegła do nowej szkoły. Ba — spodziewała się takiej swobodnej atmosfery i koleżeńskiej sitwy jak w gdańskiej Zbrojowni — gdzie szum, ruch, głośne krytyki, zbiorowe korekty, popijanie z profesorami. Gdzie tam; tu cicho, głucho, każdy w skupieniu czyteluje swoje dzieło, nie daj Boże zakłócić natchnienie dźwiękiem skrobanego szpachlą płótna. Nikomu się przez ramię nie zagląda, profesor robi korekty szeptem — żeby nikt uwag nie dosłyszał. Wszystko grzecznie, inteligentnie, z szacunkiem dla Sztuki. A pewnie przydałoby się trochę oddechu i zastrzyk świeżej krwi, bo wyniki tego celebrowania słabiutkie. Jak pisał sztokholmski krytyk: „Na wystawie studentów talent jest rzadkim gościem; jedyne co świadczy o abstrakcyjnej wartości wystawionych prac to wysokie ceny w katalogu”.

W rzeczy samej Szwecja jest prawdziwym eldorado dla handlu obrazami: pieniędzy dużo, artystów mało. W sztokholmskich galeriach wystawiają sami nieomal cudzoziemcy. Nie brak i polskich malarzy, często fuszerów łąsych na korony, rzadziej artystów z prawdziwego zdarzenia. Kilku zostało na stałe, na przykład młody Lech Rzewuski z Wrocławia, obecnie jeden z najbardziej wziętych malarzy. Zaszedł tak daleko że otworzył własne atelier pod Sztokholmem.

Bez żartów — zdobycie własnego kąta w stolicy Szwecji to nie byle jaki wyczyn. Każdy tu się pcha, a lokale są pod kontrolą państwa i amator na legalne mieszkanie musi się zapisać do kolej-



ki i czekać wiele lat. Ale za pobyt w Sztokholmie warto trochę pocierpieć. Przynajmniej ja tak uważałem, kiedy przez pierwsze dwa lata mieszkaliśmy z Wandą w nędznie umeblowanym i wielkim jak stodoła pokoju. Zimno było jak nieszczęście — piecyk naftowy zamiast ciepła dawał tylko kupę smrodu, na dodatek gospodarz miał zwyczaj odwiedzać nas w najbardziej niestosownych porach nie bawiąc się w żadne pukanie. Wreszcie los się do nas uśmiechnął: za marne trzy tysiące dostaliśmy mieszkanie od rodaków wyjeżdżających do USA. Był to stary domek w zapuszczonym, pełnym malinowych krzaków ogrodzie, własność rzeńskiej, 90-cioletniej babci. Czy warto tłumaczyć czym było dla mnie pierwsze — po blisko czterdziestu latach — własne mieszkanie? Przyjemne to były czasy; wielu różnych tam u nas mieszkało, czasem przez kilka dni, czasem przez wiele miesięcy.

Najdłużej chyba mieszkał Piotr. Był to lekarz ginekolog z Krakowa, gorący katolik. Piotr uciekł z Polski bo nie mógł się pogodzić z koniecznością robienia skrobanek. Co drugi miesiąc wpadał na niego skrobankowy dyżur i musiał odwalić średnio ponad trzysta zabiegów. Wreszcie miał dosyć i odmówił. Na to w szpitalu poradzono mu żeby sobie obrał inną specjalność, skoro taki wrażliwy, a najlepiej inny zawód. Trudno, nie było w Polsce miejsca dla Piotra. Załatwił sobie wyjazd turystyczny do Finlandii, urwał się w Helsinkach i wsiadł na pociąg do Tornio przy szwedzkiej granicy. Ze stacji pomaszzerował z walizką w rękę do granicznej rzeki, z zimną krwią minął zaciekawionych celników i przeszedł most do szwedzkiej Haparandy. Nikt go nie zatrzymywał. Z uzyskaniem azylu nie miał trudności, choć Szwedzi w zasadzie nie przyjmują uciekinierów przybyłych przez inne kraje wolnego świata. Finlandia jest wyjątkiem ze względu na bezpośrednie przykre sąsiedztwo.

Później był u nas inny lekarz, też z Finlandii, tylko ten się daleko sprytniej urządził. Mianowicie skorzystał z tego że Niemcy (jak twierdził) honorują jego dyplom uzyskany we Wrocławiu jak własny, ponieważ Wrocław jest tylko *zurzeit unter polnische Verwaltung*<sup>4</sup>. Najspokojniej w świecie zgłosił się do niemieckiej ambasady w Helsinkach — pokazał dyplom i zażądał pomocy. Wiadomo, na Niemcach można polegać: wyrazi uznania dla ziomka poparł darmowy bilet na samolot do Sztokholmu.

Ten wrocławianin był człowiekiem bardzo dowcipnym: nie powiedział żonie ani słowa o zamiarze pozostania za granicą żeby jej potem sprawić niespodziankę. Od nas z domu telefonował do Polski. Załatwiamy połączenie — po chwili zgłasza się żona. Czekamy na pierwsze dramatyczne słowa, a facet tak zaczyna:

4. Chwilowo pod polskim zarządem. Oznaczenie polskich Ziemi Zachodnich na mapach niemieckich i szwajcarskich.

— Haluszka, zgadnij, kto do ciebie dzwoni?

Widocznie zgadła, bo pyta dalej:

— A skąd ja dzwonię? Itd.

Oprócz poczucia humoru miał nasz lokator, jak mogliśmy się przekonać, wielkie zamiłowanie do muzyki. Kiedy nie mógł spać w nocy włączał radio na cały regulator; rano tłumaczył nam że cichy odbiór to dla niego żadna przyjemność. Na szczęście wyprowadził się po dwóch tygodniach.

Waldemar z kolegą zamelinowali się w ładowni statku płynącego z Polski daleko na północ, do Lulea. Mieli sporo miejsca, więc dla rozprostowania kości wychodzili czasem ze swojego kąta. Pech chciał, że któryś z marynarzy zszedł do ładowni i usłyszał szmery. Schowali się, ale było za późno. Oczywiście cała ucieczka wzięła w łeb; zaraz przyszło kilku i zaczęli wołać:

— No, wyłazić, wyłazić! Żebyśmy lepiej nie musieli sami wyciągać. Prędkiej!

Nie było rady. Najpierw wyszedł kolega, potem Waldemar z ciężkim sercem zabierał się do wyjścia z kryjówki. Ale w ostatniej chwili coś go tknęło — postanowił zaczekać; a może? Wstrzymał oddech — jakoś nikt nie zgłaszał się po niego. Dobry kumpel nie puścił pary z gęby. Do końca podróży Waldemar nie śmiał wytknąć nosa ze swojej dziury. Dopiero kiedy statek przybił do mola i na dobre wyłączył maszyny — poczekał na stosowny moment, szybko wyskoczył na pokład i nie oglądając się zbiegł na ląd po trapie. Nikt go nie wołał. Co prędzej zgłosił się na policję w Lulea i zawiadomił Szwedów o położeniu towarzysza. Policja portowa weszła na statek — ale uciekiniera nie było! Oto co zaszło: po znalezieniu nieproszonego pasażera kapitan statku nawiązał kontakt radiowy z Polską i na polecenie naszych przewidyjących władz przesadził zbiega po drodze na inny polski statek wracający do ojczyzny.

Zenek był mechanikiem samochodowym. Wynajął się do pracy w porcie gdyńskim z myślą o ucieczce. Kiedy ładował transport ceramicznych rzutków strzeleckich dla Szwecji na statek „Kapitan Ziółkowski”, wcisnął się między paki w ostatnim momencie przed zamknięciem ładowni. Miał tak mało miejsca że nie mógł się wyprostować. Statek płynął długo i Zenek prawie tracił przytomność ze zmęczenia i przeraźliwego zimna. Kiedy w Sztokholmie otwarto lukę i szwedzcy dokerzy wyładowali pierwszą partię rzutków — nie miał nawet siły się ruszyć tylko patrzył na nich z przerażeniem. Szwedzi skapowali co się dzieje, dwóch wzięło Zenka pod pachy i mimo protestów *bosman*'a sprowadzili na ląd. Potem jeden zadzwonił na policję z budki na molo i sprawa została facho-wo załatwiona.

Nie tylko uciekinierzy u nas mieszkali. Kazimierz na przykład,

inżynier mechanik i znany polski tenisista, przyjechał zarobić na kupno własnego mieszkania, bo u teściowej jego małżeństwo zaczęło się rozlatywać. Ponieważ nie miał zamiaru prosić o azyl — musiał udawać turystę i nie miał prawa do pracy w Szwecji. Ale o roznosicielu gazet jest tu tak trudno że w *Dagens Nybeter* przymknęli oczy na jego status. Wstawał Kazimierz — cichutko, żeby nas nie budzić — przed czwartą, i zapychał do „redakcji” na rowerze kupionym w komisariacie policji. Tak, kupił za pięć koron trzy zdezelowane, zabrane z ulicy, rowery i z zawodową wprawą zmontował sobie jeden dobry. O siódmej kończył roznoszenie i pędził do restauracji; nie na śniadanie niestety — tylko do mycia garów. Życzliwy rodak dał mu tę robotę wbrew przepisom i za to ryzyko płacił mniej niż innym. Po paru miesiącach harówki Kazimierz miał dosyć pieniędzy na swoje mieszkanie — wrócił do Polski i zamienił korony na złote. Miał pecha — akurat wyszło nowe zarządzenie i sprzedaż mieszkań za złote skasowano. Trzeba mu było zostać dłużej w Szwecji i kupić za twardą walutę. Teraz było za późno; zbyt długo siedział za granicą i o następnym wyjeździe nie mogło być mowy. Słyszeliśmy że podobno pogodził się z teściową.

Ostatnimi naszymi lokatorami w starym domku była para, malarka i matematyk. Przyjechali starym samochodzikiem, legalnie, z zamiarem pozostania i zamieszkali w namiocie na placu kampingowym. Wszystko byłoby dobrze, tylko śnieg zaczął im zasypywać wejście do namiotu...

W parę miesięcy później rozpoczęto budowę autostrady wyznaczanej tak blisko, że nasz dom musiał być rozebrany. Trzeba było się pożegnać z malinowym ogrodem, starym mieszkaniem — i ruszyć na nowe pielesze.

Andrzej LUBELSKI

## Aleksander Sołżenicyn

Aleksander Sołżenicyn urodził się 11 grudnia 1918 roku w Kisłowodsku. Ojciec jego, oficer artylerii, poległ na froncie, na krótko przed urodzeniem syna. Lata młodości spędził przyszły pisarz na południu Rosji. W 1941 roku, tuż przed wybuchem wojny, ukończył z wyróżnieniem studia na wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetu w Rostowie nad Donem. Miał też za sobą wówczas dwa lata studiów zaocznych na wydziale filologicznym Instytutu Historii, Filozofii i Literatury w Moskwie. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej walczył początkowo jako zwykły żołnierz w kawalerii, przeszedł specjalne wyszkolenie, po czym został w 1942 roku przeniesiony do artylerii polowej, gdzie dowodził baterią i dosłużył się stopnia kapitana. Za zasługi bojowe został odznaczony orderami Wojny Ojczyźnianej i Gwiazdy Czerwonej. W lutym 1945 roku, podczas ofensywy wojsk sowieckich w Prusach Wschodnich, został aresztowany i skazany na osiem lat przymusowych robót w obozach. Podstawą do oskarżenia był jego list do przyjaciela, oraz fragmenty dziennika, w których krytykował kult jednostki Stalina, zresztą z pozycji marksizmu-leninizmu.

W czasie odbywania kary w łagrach karagandyjskich, gdzie pracował jako murarz (tam też powstał zamysł powieści „Jeden dzień Iwana Denisowicza”), zachorował na raka gardła. Z obawy przed groźącymi jego żonie (chemiczkę Natalii Reszetowskiej) represjami nalegał i skłonił ją do rozwodu. Po odbyciu wyroku został w lutym 1953 roku wywieziony na wieczne zesłanie do Kazachstanu. Mieszkał i pracował w aule Kok-Teren w obwodzie dżambulskim. Stamtąd jeździł na leczenie do szpitala w Taszkencie. Na podstawie tych przeżyć powstała powieść „Pawilon chorych na raka” i opowiadanie „Prawa ręka”. Na zesłaniu powstało też opowiadanie „Zagroda Matryony”.

W 1956 roku, po XX Zjeździe Partii, zwolniono Sołżenicyna spod nadzoru i pozwolono osiąść w Riazaniu, dokąd przyjechała też jego na nowo poślubiona żona. Tam też otrzymał pracę wykładowcy fizyki w starszych klasach szkoły średniej.

6 lutego 1957 roku został zrehabilitowany. Wojskowemu kolegium Sądu Najwyższego odczytał na głos powieść „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, którą udało mu się opublikować w miesięczniku *Nowyj mir* dopiero w 1962 roku, dzięki usilnym staraniom poety Twardowskiego i interwencji samego Chruszczowa. W roku następnym były również opublikowane w tym samym miesięczniku opowiadania „Zdarzenie na stacji Kreczetowka”, „Zagroda Matryony” i „Dla dobra sprawy”. Następnie, po długiej przerwie, *Nowyj mir*

wydrukował w 1966 roku opowiadanie „Zachar-Kalita”. Powieść „Pawilon chorych na raka” i „Krag pierwszy” były omawiane w 1966 i 1967 roku na posiedzeniu Sekretariatu Związku Pisarzy Sowieckich i dyskusji w sekcji prozy, ale, podobnie jak sztuki teatralne i scenariusz filmowy Sołżenicyna, nigdy nie były opublikowane w Związku Sowieckim. Od pierwszej publikacji po dzień dzisiejszy koła neostalinowskie prowadzą zajadłą kampanię przeciw pisarzowi, nie przebierając w środkach, aby go zdyskredytować w opinii publicznej. Sukcesy książek Sołżenicyna wydawanych w wielu językach na Zachodzie ściągały na niego ataki ze strony partii i kierownictwa Związku Pisarzy. 12 listopada 1969 roku został on pozbawiony członkostwa tego Związku.

10 marca 1970 roku Aleksander Sołżenicyn upoważnił szwajcarskiego adwokata do zajmowania się jego sprawami wydawniczymi na Zachodzie; chciał w ten sposób zapobiec drukowaniu swoich utworów bez autoryzacji, gdyż miał podstawy do podejrzeń, że KGB organizowało kolportaż niektórych jego utworów za granicą, aby mieć powód do nowych represji i nagonki przeciw niemu.

W Polsce nie wydano ani jednej książki Sołżenicyna. „Jeden dzień Iwana Denisowicza” był drukowany w odcinkach w *Polityce*; „Zdarzenie na stacji Kreczetowka” weszło do zbiorowego tomu opowiadań „Słoneczna dolina”; opowiadania „Dla dobra sprawy” i „Zachar-Kalita” były drukowane w czasopismach literackich.

„Malutkie opowiadania czyli wiersze prozą”, jak je nazwał sam autor, wyraźnie nawiązujące nie tylko w tytule do tradycji turgeniewowskiej, powstały w 1963 roku i szybko rozeszły się po Związku Sowieckim dzięki „Samizdatowi”.

## WIERSZE PROZĄ

### *O d d e c h*

Nocą spadł deszcz, a teraz ciągną po niebie chmury i czasem nieco pokrapia.

Stoję pod jabłonią, która już przekwitła — i oddycham.

Nie tylko jabłoń, ale i trawa wokół ocieka wodą i brak mi nazwy dla owego słodkiego zapachu, którym przepojone jest powietrze. Głęboko wciągam je w płuca, pełną piersią, czuję aromat i oddycham, oddycham raz z otwartymi oczami, raz z zamkniętymi — nie wiem, jak jest lepiej.

Oto jest wolność — ta jedyna, ale najdroższa, której pozbawia nas więzienie: oddychajcie tak, oddychajcie tu. Żadna potrawa na świecie, żadne wino ani nawet pocałunek kobiety nie są mi słodsze od owego powietrza, owego powietrza, pełnego kwitnienia, wilgoci i świeżości.

Niech będzie nawet to — tylko malutki ogródek ściśnięty zwierzęcymi klatkami czteropiętrowych domów.

Nie słyszę już hałasu motocykli, wycia adapterów i trajkotu megafonów. Półki można jeszcze oddychać po deszczu pod jabłonią — można jeszcze i żyć.

### *Jezioro Segden*

O tym jeziorze nie pisze się i nie mówi głośno. Zagrodzone są wszystkie drogi wiodące do niego, niczym do zaczarowanego zamku — nad wszystkimi drogami wisi znak zakazu, prosta niema krecha.

Człowiek czy zwierz dziki, który tę krechę nad swoją drogą dostrzeże — niechaj zawraca! Władza ziemską ją postawiła. Ta krecha oznacza: jechać nie wolno i przelatywać nie wolno, chodzić nie wolno i czołgać się nie wolno.

A w pobliżu dróg, w gąszczach sosnowych, czają się straże zbrojne w rusznice i pistolety.

Krążysz po milczącym lesie, krążysz i szukasz, którędy przelknąć by do jeziora — nie znajdziesz, i nie ma kogo zapytać: wystraszonego ludzi i nikt w tym lesie nie bywa. I tylko w ślad za głuchą krowią kołatką przekradniesz się ścieżyną bydlęcą w samo południe, w dzień deszczowy. Zaledwie zabłyśnie ci ono, olbrzymie, między pniami, jeszcześ nie dobiegł do niego, a już wiesz: to miejsce na ziemi umiłujesz do końca dni swoich.

Jezioro Segdeńskie — okrągłe, jakby cyrklem nakreślone. Jeśli krzykniesz z jednego brzegu (ale się nie ośmielisz, żeby cię nie zauważono) — do drugiego brzegu echo dojdzie rozmyte.

Daleko. Las przybrzeżny jezioro okala. Równy las, jednej wielkości drzewa, pień pniu nie ustąpi. Gdy nad wodę wyjdiesz, widoczny ci cały obwód zamkniętego brzegu: tu żółte pasmo piasku, tam szare sitowie się jeży, a tam zielona murawa zaległa. Powierzchnia wody gładka, bez żadnej zmarszczki, miejscami w rzęsie przy brzegu, przezroczyście biała — i dno ma białe.

Zamknięta woda. Zamknięty las. Jezioro w niebie się przegląda, niebo — w jeziorze. I nie wiadomo, czy jeszcze coś na świecie istnieje, bo poprzez las — nie widać. A jeśli istnieje — nie potrzebne tu jest i zbędne.

Tu chciałoby się zamieszkać na zawsze... Tutaj dusza jak rozedrgane powietrze unosiłaby się między wodą i niebem, i płynęłyby myśli czyste i głębokie.

Nie wolno. Książę okrutny, łotr krzywooki, zagarnął jezioro: oto jego willa, jego kąpielisko. Łotrząta ryby łowią, z łódki polują na kaczki. Najpierw niebieskawy dymek nad jeziorem, później — huk wystrzału.

Tam, za lasami, gnie kark pod jarzmem i haruje cała okolica. A tutaj, żeby nikt nie przeszkadzał — zamknięte drogi, tu dla nich specjalnie hoduje się ryby i dziczyznę. Oto ślady: ktoś rozpałał ognisko, najpierw zgasili, a potem wygnali.

Pustynne jezioro. Miłe sercu jezioro.  
Ojczyzna...

### *Prochy poety*

Obecnie wieś Lgowo, a dawniej prastary gród Olgow, który stał na wysokim urwistym brzegu Oki: Rosjanie w wiekach onych upatrywali sobie miejsca nie tylko bogate w wodę, ale i w piękno.

Ingwar syn Igora, cudem uszedłszy z życiem od noży braci swoich, przez wdzięczność za ocalenie wznosił tu monaster Wniebowzięcia.

Ponad żuławy i zalewy w pogodny dzień daleko widać, a trzydzieści pięć wiorst stąd, na takiej samej stromiźnie, wznosi się wysoka dzwonnica monasteru Jana Apostoła. Oszczędził je przesydny Batu-chan.

Umiłował te strony jako swoje jedyne poeta Jakub Piotrowicz Połonski i tu pochować się kazał. Zawsze nam się zdaje, że duch nasz nad grobem unosić się będzie i spozierać na ciche przestrzenie.

Ale — nie ma kopuł ani cerkwi, została tylko połowa muru, do którego przystawiono parkan drewniany z drutem kolczastym, a nad tą całą starodawnością — wieże strażnicze, straszdyła ohydne, tak dobrze mi znane... tak dobrze mi znane... w bramie zaś klasztornej — WARTA. Plakat: „O pokój między narodami!” — rosyjski robotnik trzyma na ręku Murzyniątko.

A my — jak gdyby nic nie rozumiemy. I między barakami dozorców jakiś wolny od służby strażnik objaśnia nam:

— Klasztor tu był, drugi na świecie. Pierwszy, zdaje mi się, w Rzymie, a w Moskwie — tylko już trzeci. Kiedy mieściła się tutaj kolonia dla dzieci, chłopaki, nic nie rozumiejąc, zapaskudzili wszystkie ściany, połamali ikony. Potem kołchoz kupił obie cerkwie za czterdzieści tysięcy rubli — na cegły, chciano oborę w sześć rzędów zbudować. Najmowałem się i ja do tej pracy: opłacono po pięćdziesiąt kopiejek za całą cegłę, po dwadzieścia za połówkę. Tylko trudno było cegły rozdzielić; jedynie grudy z cementem. Pod cerkwią odkryto kryptę, archijerej tam leżał, został z niego tylko czerep, a mantia cała. We dwójkę rwaliśmy tę mantię i nie mogliśmy rozerwać...

— A proszę powiedzieć, tu według mapy powinien się znajdować grób Połonskiego, poety. Gdzie on jest?

— Do Połonskiego nie wolno. On — w obozie. Do niego nie wolno. Co tam oglądać? Obdrapany nagrobek? Chociaż, zaczekajcie — strażnik zwraca się do żony — Połonskiego, zdaje się, wykopali?

— Aha. Wywieźli do Riazania — kiwa żona z ganeczka, gryząc pestki.

Strażnik jest nawet tym rozbawiony:

— Wyszedł na wolność, że tak powiem...

### *Kaczątka*

Małe żółte kaczątka, śmiesznie powłócząc po mokrej trawie białawym brzuszkiem i omal nie opadając na cienkich swych łapkach, biega przede mną i piszczy: „gdzie moja mama? gdzie wszyscy moi?”

A mamy wcale nie ma, jest tylko kura: podłożono jej jaja kaczce, które wysiedziała wraz ze swoimi, równomiernie grzejąc wszystkie.

Teraz przed deszczem ich domek — przewrócony koszyk bez dna — przeniesiono pod daszek i nakryto płachtą z worka. Wszystkie tam są, tylko to jedno się zgubiło. Cip, cip, malutki, chodź tu do mnie w ręce.

I w czym tylko życie tu się trzyma? Nic nie waży, oczki czarne — jak paciorki, łapki — jak u wróbla, lekko nacisnąć — i już go nie ma. A jednak — ciepłutki. I jego dzióbek bladoróżowy, jakby manicurowany, jest już szeroko spłaszczony. Nóżki ma już błotniaste, żółtą puszystość i skrzydełka już mu wystają. I nawet od braci wyróżnia się charakterem.

A my — my wkrótce polecimy na Wenus. My teraz, jeśli wszyscy się zgodnie połączymy — w ciągu dwudziestu minut możemy świat przewrócić do góry nogami.

Ale nigdy, nigdy jednak, przy całej naszej atomowej potędze, nie stworzymy w próbowce, nawet jeśli będziemy mieli pierze i kości — nie zmontujemy tego nic nie ważącego, malutkiego żałosnego, żółtego kaczątka...

### *Odbicie w wodzie*

Na powierzchni wartkiego potoku niesposób jest odróżnić ni bliskich, ni dalekich odbić: nawet gdy nie jest mętny, nawet gdy jest wolny od piany — w ciągłych załamaniach niespokojnej wody odbicia są fałszywe, niewyraźne i niezrozumiałe.

Dopiero gdy potok poprzez różne rzeki dopłynie do szerokiego

i spokojnego ujścia, do nieruchomej łąchy albo jeziora, gdzie nie drgnie żadna fala — tylko tam ujrzyś w lustrzanej gładzi każdy listek przybrzeżnego drzewa, każde piórko wiotkiego obłoku i soczysty błękit głębi nieba. Tak jest z tobą, tak jest i ze mną. Jeżeli dotychczas w żaden sposób nie widzimy i ani trochę nie odzwierciedlamy nieśmiertelnej, dobitnej prawdy — czy nie dlatego, snadź, że jeszcze dokądś zdążamy? Jeszcze żyjemy?...

### *Gród nad Newą*

Pochyleni aniołowie z pochodniami okrążają bizantyjską kopułę Isaaka.

Trzy złote graniaste iglice nawołują się poprzez Newą i Mojkę. Lwy, gryfy i sfinksy na każdym kroku strzegą skarbów albo sobie drzemią. Rwie z kopyta szóstka Zwycięstwa nad perwersyjnie wygiętym łukiem Rossiego. Setki portyków, tysiące kolumn, dęba stojące konie, zapierające się byki...

Jakie szczęście, że nie wolno już tutaj więcej budować! Nikt nie śmie wcisnąć cukiernianego wysokościowca w Newski ani spartolić czteropiętrowego pudła nad Kanałem Gribojedowa. Żaden najbardziej zbiurokratyzowany i niezdarny architekt, nawet przy użyciu wszystkich swoich wpływów, nie otrzyma miejsca pod budowę bliżej Czarnej Rzeczki albo Ochty.

Obce nam są nasze najślawniejsze wspaniałości! Tak przyjemnie jest spacerować po tych ulicach! Ale z zaciśniętymi zębami, gniąc w ponurych błotach, z przekleństwem na ustach budowali Rosjanie to piękno. Sprasowane kości naszych przodków roztopiły się i skamieniały w pałace — żółte, brunatne, czekoladowe i zielone.

Aż strach pomyśleć — tak samo nasze nieudatne i beznadziejne życia, wszystkie wybuchy naszego sprzeciwu, jęki rozstrzelanych i żyż żon — to wszystko również może ulec zapomnieniu, do cna. Ale czy to wszystko stworzy również tak wiecznie idealne piękno?

### *Ognisko i mrówki*

Dorzuciłem polano do ogniska i nie dostrzegłem, że było wewnątrz gęsto wypełnione mrówkami.

Zatrzeszczało drzewo, wysypały się mrówki i zaczęły biec rozpaczliwie. Biegły po wierzchu polana i skręcając się, ginęły w ogniu. Zaczepiłem polano i pociągnąłem je na kraj. Teraz dużo mrówek mogło się uratować — zbiegały na piasek, na igliwie sosnowe.

Ale dziwna rzecz: nie uciekały precz od ogniska.

Zaledwie strach swój przewyciężyły, wracały i krążyły wokół — jakaś przemożna siła ciągnęła je z powrotem, do porzuconej Ojczyzny! I było wiele takich, które znowu wbiegały na płonące polano i tam ginęły.

### *Zaczynając dzień*

O wschodzie słońca wybiegło trzydziestu młodych na polanę, ustawili się w rozsypkę, wszyscy twarzą do słońca i jęli się przysiągać, przysiądać, kłaniać, padać na twarz, wyciągać ramiona i odrzucać się do tyłu na kolanach. I trwało to — ćwierć godziny.

Z daleka można było sądzić, że się modlą.

Nikogo nie dziwi w naszych czasach, że człowiek codziennie służy cierpliwie i starannie swemu ciału.

Ale poczytano by za zniewagę, gdyby tak samo służył swojej duszy.

Nie, to nie jest modlitwa. To tylko — gimnastyka.

### *Burza w górach*

Złapała nas w nieprzejrzaną noc przed przełęczą. Wypełziliśmy z namiotów i — przyczailiśmy się.

Nadciągała ku nam zza Grzbietu Góry.

Wszystko było — cma, ni góry, ni dołu, ni horyzontu. Ale błyskawica pruć niebo i mrok oddzielał się od światła, wyłaniały się gigantyczne góry — Biełotakaja i Dżuguturluczat, a tuż obok nas niebosiężne sosny równe górcom. Tylko przez chwilę zdawało się nam, że jesteśmy już na twardej ziemi — i oto znowu wszystko jest mrokiem i przepaścią.

Rozbłyśki były coraz to bliższe, blask i ciemność następowały po sobie, oślepiła światłość biała, różowa i fioletowa, i niezmiennie w tym samym miejscu pojawiały się góry i sosny, porażając nas swoim ogromem, a kiedy znikwały, nie chciało się wierzyć, że istnieją.

Huk gromu zapełnił wąwozy i zagłuszył nieustanny ryk potoków. Strzałami Pana Zastępów były błyskawice w Grzbiet Góry, rozdrabniały się na wężyki i strużki, jak gdyby rozbryzgując się o skały albo rażąc i rozpryskując tam coś żywego.

A my... zapomnieliśmy o strachu przed błyskawicami, piorunami i ulewą — jak kropla morska, która nie obawia się huraganu. Staliśmy się znikomą, przepojoną wdzięcznością drobną cząstką tego świata. Tego świata, tworzącego się dzisiaj po raz pierwszy — na naszych oczach.

*Kloc wiązu*

Rznięliśmy drwa, wzięliśmy kloc wiązu — i krzyknęliśmy: od czasu, gdy w roku ubiegłym pień ścięto, ciągnięto traktorem, porznięto na części, ładowano na barki i na ciężarówki, układano w sęgi i zrzucano na ziemię — kloc wiązu się nie poddał!

Puścił świeży kiełek — w przyszłość cały wiąz albo szumno-głośna gałąź.

Już położyliśmy kloc na kobyłki, jak na szafot, ale nie śmieliśmy piłą wciąć się w szyję: jak można go rznąć? Przecież on również chce żyć! Przecież tak pragnie żyć — silniej niż my!

*S z a r i k*

W naszym podwórku pewien chłopiec trzyma na łańcuchu psa Szarika — uwiązał go, gdy ten był jeszcze szczenięciem.

Przyniosłem mu kiedyś kości kurzych, jeszcze ciepłych i pachnących a w tym czasie chłopiec spuścił go z łańcucha, żeby sobie pobiegał po podwórku. Śnieg leżał wysoki i puszysty. Szarik sadzi susami jak zając, to na tylne nogi, to na przednie, z kąta w kąt po całym podwórku, a mordę ma śniegiem utyłaną.

Podbiegł do mnie, kudłaty, obskakał mnie, poniuchał kości — i znowu w skok, brzuchem po śniegu!

Jak gdyby: nie trzeba mi waszych kości — dajcie mi tylko wolność!

*W ojczystych stronach Jesienina*

Cztery wioski jedna za drugą ciągną się beznadziejnie wzdłuż drogi. Ogrodów nie widać. Nie ma też blisko lasu. Kiepskie płoty. Tu i ówdzie wulgarnie jaskrawe futryny. Wielopudowa majestatyczna świnia czochra się o studnię po środku ulicy. Sznur gęsi odwraca się równocześnie za migającym cieniem roweru i rzuca mu w ślad solidarny okrzyk wojenny. Skrzętne kury rozgrzebuują ziemię w poszukiwaniu pokarmu.

Budka sklepowa w wiosce Konstantinowo przypomina lichy kurnik. Śledzie. Wszystkich gatunków. Cukierki — zlepione poduszeczki, których już od piętnastu lat nigdzie nie jedzą. Bryły czarnych bochnów, dwukrotnie cięższych niż w mieście — nie nóż a siekiera im podoła.

W chacie Jesieninów — ubogie przepierzenia nie sięgające powały, komórki, klateczki, z których ani jednej nie można nazwać pokojem. W ogrodzie stoi mała ślepa szopa, kiedyś była jeszcze

łaźnia, w której mroku zaszywał się Sergiusz i układał swe pierwsze wiersze. Za przęsłami — zwyczajne poletko.

Idę po wsi, jakich wiele, gdzie i teraz wszyscy mieszkańcy pochłonięci są zbożem, zbijaniem grosza i puszeniem się przed sąsiadami — i ogarnia mnie niepokój: ogień niebiański opalił niegdyś tę okolicę i jeszcze dzisiaj parzy mnie w policzki. Wychodzę na pochyły brzeg Oki, patrzę w dal i dziwię się: czyżby o tej dalekiej ciemnej smużce chrustowego lasu można było tak zagadkowo powiedzieć: „A w borze głuchonie płaczą kurantami...”, a o tych łąkowych pętłach spokojnej Oki: „Sterty słońca w wodach łonnych”?

Jaką złotą sztabkę talentu cisnął Stwórca tutaj, do tej chaty, w to serce wioskowego zabijaki, aby ten, wstrząśnięty, tak wiele materiału dla piękna znalazł — w piecu, w chlewie, na gumnie, w okolicy — piękna, które tysiąc lat tratuja i którego nie dostzegają?...

*Kotchozowy plecak*

Kiedy w podmiejskim autobusie dotkliwie uciska was w pierś lub w bok jego twardy, wystający kant — nie wszczynajcie kłótni, ale obejrzyjcie sobie dokładnie ten łubiany pleciony kosz na szerokim rozkudłanym pasie parcianym. Do miasta wozi się w nim mleko, twaróg, pomidory, nie tylko własne, ale i dwóch sąsiadek, z miasta zaś pięćdziesiąt bułek paryskich dla trzech rodzin.

Jest pojemny, wytrzymały i tani ów babi plecak, z którym nie można porównać jego różnobarwnych sportowych braci z kieszonkami i lśniącymi sprzączkami. Taki ciężar w nim się mieści, iż nawet przez waciak nie wytrzymaże ucisku pasa nawykłe chłopskie ramię.

Dlatego też baby wprowadziły modę: kosz zarzucają sobie na plecy, a pasem ochomacają się przez głowę. Ciężar rozkłada się wówczas równomiernie na oba ramiona i piersi.

Bracia po piórze! Nie mówię wam: spróbujcie wziąć taki kosz na swoje plecy. Ale jeśli was potracono — korzystajcie z taksówek.

*Bo my nie umrzemy*

Najwięcej zaczęliśmy się obawiać zmarłych i śmierci.

Kiedy śmierć nawiedzi jakąś rodzinę, staramy się do niej nie pisać i nie chodzić: co mamy mówić o śmierci, nie wiemy... Utańło

się nawet, by nie traktować cmentarza poważnie. Nikt w pracy nie powie: „Nie mogę w niedzielę popracować dobrowolnie, bo muszę m o i c h odwiedzić na cmentarzu”. Bo czyż jest r z e c z a p o w a ż n a — odwiedzanie tych, którzy jeść nie proszą?

Przewóz zmarłego z miasta do miasta — cóż to za nonsens, nikt dla tego celu nie da wagonu. I nie noszą ich teraz przez całe miasto z orkiestrą, jeśli to szaraczek, a przewożą szybko na ciężarówce.

Niegdyś na naszych cmentarzach przechadzano się w niedzielę między grobami, śpiewano rzewnie i palono wonne kadzidła. Serce godziło się z losem, nie skuwał go boleśnie strach przed nieuniknioną śmiercią. Nieboszczycy spod zielonej darniny jak gdyby uśmiechali się do nas: „To nic!... To nic!...”

A obecnie, jeśli cmentarz się utrzymał, to ogłoszenie: „Właściciele grobów! Pod groźbą kary poleca się uprzątnąć zeszlóroczne śmiecie!”. Ale najczęściej utłaczają je i niwelują spychaczami — pod stadiony i parki kultury.

A byli jeszcze tacy, którzy oddali życie za ojczyznę — co może jeszcze ciebie i mnie spotkać. Dla nich to nasza cerkiew wyznaczała ongiś dzień — Dzień Zaduszny ku czci poległych na polu bitwy wojowników. Anglia czci ich pamięć w Dzień Maków.

Wszystkie narody mają taki dzień poświęcony tym, którzy zginęli dla nas. A z a n a s — za nas zginęło najwięcej, ale dnia takiego nie mamy.

Jeśli oglądać się na wszystkich, którzy zginęli — to kto będzie kłaść cegły? W trzech wojnach traciliśmy mężów, synów, narzeczonych — a kysz, natręty, przepadnijcie pod drewnianymi, na czerwono malowanymi postumentami, nie przeszkadzajcie nam żyć!

Bo my, bo my przecież nigdy nie umrzemy!

TO JEST WŁAŚNIE SZCZYT FILOZOFII XX WIEKU.

*Wędrując wzdłuż Oki*

Wędrując po drogach polnych Rosji Środkowej, zaczyna się rozumieć, w czym tkwi sedno kojącego pejzażu rosyjskiego.

Ono jest w cerkwiach. Cerkwie wbiegły na pagórki, wspięły się na wzgórze, niczym piękne białe królowny schodzą ku szerokim rzekom, wielu smukłymi i rzeźbionymi dzwonicami górują ponad słomianą i drewnianą powszedniością — i z bardzo daleka wznosząc się do tego samego nieba kiwają do siebie z porozrzucanych ukrytych przed okiem wsi. I gdzieby się nie brodziło, w polu czy po łąkach, z dala od siedzib ludzkich — nigdy nie odczu-

wa się samotności: ponad ścianą lasu, ponad narzuconymi stogami i wypukłością ziemi zawsze mamy nas makówka dzwonnicy bądź to z Górek Łowieckich, bądź to z Lubiczy albo też z Gawryłowskiego.

Człowiek wchodzi do wsi i stwierdza, że pozdrawiały go z daleka nie żywe cerkwie, ale martwe. Krzyże dawno rozbite lub skrzywione; odrapana kopuła straszy szkieletem rdzawych żeber, zielsko rośnie na dachach i w rozpadlinach ścian; rzadko zachował się jeszcze cmentarz wokół cerkwi, jego krzyże obalone, groby rozgrzebane; freski zaołtarzowe zmyte deszczami dziesięcioleci, pokryte są sprośnymi napisami.

W kruchcie — beczki z mazutem, podjeżdża do nich tyłem traktor. Albo ciężarówka wjechała pudłem swoim w drzwi przytworu cerkwi i zabiera worki. W innej cerkwi podrygują obrabiarki. Tamta — po prostu zamknięta, milcząca. A w jeszcze innych — kluby. „Osiągniemy wysokie udoje!”. „Poemat o pokaju”. „Wielki wyczyn”.

Zawsze ludzie byli chciwi, a często niedobrzy. Ale rozlegał się dzwon wieczorny i płynął nad siołem, nad polem i nad lasem.

Przypominał, że należy odejść od drobnych ziemskich spraw, poświęcić godzinę i zwrócić myśli ku wieczności. Ten dzwon, który zachował się jeszcze tylko w pewnej starej pieśni, podnosił ludzi by nie upodobnili się do zwierząt.

W owe kamienie, w owe dzwonnice przodkowie nasi włożyli wszystko, co było w nich najlepsze, całe swoje zrozumienie życia.

Łam, Wit'ka, krusz, nie żałuj!

Kino o szóstej, tańce o ósmej...

*Aleksander SOŁŻENICYN*

*(Przełożył Ignacy Szenfeld)*

TOM 187 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

## KRĄG PIERWSZY

Głośna powieść laureata Nobla. Tłumaczył z rosyjskiego

*Michał Kaniowski. Całość w dwóch tomach.*

T. I. str. 400.

T. II. str. 304.

Cena I/II F. 60 (dol. 12; £.6)

## Obserwatorium

### Ponad dogmatem <sup>(1)</sup>

Podkreślanie związłego piękna stylu lub wyrafinowanej przenikliwości myśli Kołakowskiego byłoby dzisiaj powtarzaniem starych stwierdzeń o tym, co u tego pisarza jest najbardziej wpadające w oczy i niezaprzeczalne. Podobnie można by mówić o roli Kołakowskiego w wyzwalaniu współczesnego społeczeństwa polskiego z leninowsko-stalinowskich mitów i dogmatów oraz o wytrwałości, z jaką to czynił nie tylko w czasie „polskiego Października”, ponieważ — co jest ważniejsze i wymaga większego męstwa — ów Październik zawiódł (pokładane w nim) nadzieje, przestawiwszy się na ugruntowanie „ustawowych” autonomicznych praw biurokracji partyjnej w ramach państwa polskiego.

Nie zatrzymywałbym się nad tymi wartościami Kołakowskiego, nawet gdyby nie zostały one ocenione wcześniej i gdybym był krytykiem literackim albo filozofem lub historykiem. Wydaje mi się bowiem, że te cechy Kołakowskiego — choć bezsporne i wybitne — nie są tym, co go najbardziej wyróżnia wśród pisarzy i myślicieli, którzy w komunizmie krytykują komunistyczny dogmatyzm i sprzeczność między komunistycznymi ideałami a przywilejami i brakiem skrupułów partyjnej biurokracji.

Określenie tej przede wszystkim cechy jest dziś ważne i potrzebne zarówno dla pełniejszej oceny Kołakowskiego, jak i dlatego, że właśnie ona czyni go żywym i obecnym we współczesnych prądach myślowych, zwłaszcza zaś w komunizmie.

Kołakowski przeszedł wszystkie fazy, typowe dla „heretyków” komunizmu: zachłyśnięcie się „stalinizmem”, moralna rewolta przeciwko kłamstwom i potwornościom „stalinizmu”, zwrot ku źródłowemu marksizmowi w stronę „młodego Marksa”, którego też Kołakowski, jako jeden z pierwszych, „odkrył”. Jakkolwiek ten kierunek rozwoju jest na pozór typowy, to w nim właśnie należałoby szukać tego, co, zarówno dla osobowości Kołakow-

1. W związku z książkami Leszka Kołakowskiego: *Marxism and beyond*, Pall Mall Press, London, 1969 i *Filozofski eseje*, Nolit, Beograd, 1964. Artykuł napisany specjalnie dla „Kultury”.

skiego, jak i dla niego jako myśliciela, bierze swój początek w komunizmie i w innych strukturach.

Przedtem wszakże należałoby wyjaśnić rzeczywisty sens określeń: „stalinowiec” i „stalinizm”, nadawanego *każdemu* byłemu komuniście, bez względu na to czy był z tych lub innych powodów zwolennikiem Stalina i jego metod... Jest dla mnie rzeczą niezbytą, że owe określenia, powstałe w dobie zimnowojennych napięć i uproszczeń, przekształciły się w stereotypowe formuły, które teraz hamują demokratyczne przemiany w komunizmie i utrudniają w nim otrzeźwienie, a zatem sprzyjają partyjnym wielmożom w hamowaniu poprzez „destalinizację” i „restalinizację” wszelkiej istotnej krytyki i realnych przemian...

„Stalinizm” jest mitomańską formułą, której uchwycili się współcześni komuniści, nie tylko oni zresztą, tak samo jak w swoim czasie „stalinowcy” uchwycili się „leninizmu”. „Stalinizm” nie jest bowiem „błędem”, lecz ostateczną konsekwencją marksizmu. Już przez sam fakt, że marksizm, czyli komunizm, wierzy w swoją naukowość, nie jest możliwa jakakolwiek przemiana marksizmu w jakiś inny komunizm, który by w takim czy innym stopniu, w ten lub inny sposób nie był również „stalinizmem”. I odwrotnie: rozpad „stalinizmu” jest rozpadem marksizmu jako ideologii i komunistycznego „socjalizmu” jako systemu społecznego. Natomiast różnicowanie czy ktoś był zwolennikiem Stalina z jednych, a ktoś inny z innych pobudek, ma znaczenie nie tylko dla oceny postaw moralnych, ale — co jest najistotniejsze — dla badania przeróżnych tendencji i możliwości. Jest bowiem wielką różnicą, czy ktoś był „stalinowcem”, ponieważ *wierzył*, iż Stalin jest realizatorem i kontynuatorem Marksa, czy też był zrośnięty ze stalinowską władzą i metodami. W pierwszym przypadku chodzi o rewolucjonistów i idealistów, w drugim — o biurokratów i politycznych karierowiczów, którzy rozpad stalinowskich form wykorzystują do wznoszenia własnych monopolii. Nie chcą jednak przez to powiedzieć, że jeśli ktoś jest rewolucjonistą, to pozbawiony jest wad, albo że idealizm w polityce nie może stać się dla ludzi i narodów okrutny i to w stopniu większym od najbardziej egoistycznego i krótkozwrotnego realizmu. Nie należy jednak przy tym gubić z pola widzenia faktu, że „stalinowcy” idealisci i rewolucjoniści mogą zapoczątkować — w rzeczywistości dawno już zapoczątkowali — *krytykę od wewnątrz* „stalinizmu”, a więc marksizmu i komunistycznych stosunków, podczas gdy partyjna „reformatorska” i „liberalna” biurokracja reaguje na to dalszym monopolizowaniem władzy... Nie jest to zjawiskiem nowym w historii, jest jednak czymś nowym w komunizmie: jeśli heretycy nie odnoszą korzyści z przemian, a może właśnie dlatego, że ich nie odnoszą — oni są ich inspiratorami.

„Neostalinowcy” i „antystalinowcy” biurokraci mają bez wątpienia silniejszą pozycję w „realnej” polityce, której celem jest utrzymanie się przy władzy. Nie do nich jednak należy przyszołość: w najlepszym przypadku mogą przygotować zmianę rzeczywistości, którą usiłują zachować poprzez „przystosowanie się”. Wew-



nętrzną krytyka odziera rzeczywistość z mistycznego, idealizowanego blasku, podważając tym samym wszystkie inne jej podstawy i wytwarzając nowe drogi. Gdyż nie jest to krytyka płynąca z obcego, zewnętrznego świata, lecz zrodzona ze zła i samookłamania samego komunizmu. Biurokraci mogą tę krytykę przytłumiać, ale nie są w stanie jej wytrzebić, gdyż bierze ona źródło właśnie z komunizmu, z jego trwania... Sowieccy biurokraci mogli zakrzywić na „nie” filozofa Bierdiajewa, ale nie są w stanie uczynić tego z pisarzem Sołżenicynem, choć nie ma w nim Bierdiajewowskiej głębi i prawd: pierwszy był im przeciwny już od samego ich pojawienia się, podczas gdy drugiego zrodził ich własny system...

Zbędne jest podkreślenie, że Kołakowski zalicza się do ideowej warstwy byłych „stalinowców”. Należą do niej również najwybitniejsi teoretycy współczesnego marksizmu: György Lukács, Herbert Marcuse, R. Garaudy i inni. Wszystkich tych myślicieli, podobnie jak Kołakowskiego, kremlowscy cenzorzy marksizmu uważają za rewizjonistów i odstępców... Ale kremlowscy biurokraci są właśnie tym, czym są, albowiem pozbawieni są zmysłu odczuwania niuansów: wszystko, co w czymkolwiek odbiega od ich własnych pojęć jest dla nich jednorodne... Wymienieni, i inni podobni teoretycy marksizmu, różnią się między sobą, mają swój ciężar gatunkowy i wartości w ramach marksistowskiej literatury i ruchu komunistycznego.

Między nimi a Leszkiem Kołakowskim istnieje wszakże zasadnicza i istotna różnica. Wszyscy oni sprowadzali i wciąż jeszcze sprowadzają „stalinizm” do wypaczenia „dobrego” Lenina i „nieskalanego” Marksa. Nikt z nich nie zdobył się na rzeczywiste samodzielne myślenie, tj. myślenie bez oglądania się na przejęte w dziedzictwie marksistowskie „kanony” lub na określone warunki. Jestem daleki od tego, aby zarzucać tym teoretykom, iż nie „dostrzegli” zesterzenia się i utopijności marksowskich formuł. Nie mam też zamiaru stawiać im zarzutu, że nie „wyrzekli się” marksizmu. Chodzi o coś innego: jako marksiści, tj. pozostając w ramach marksizmu — o ile mi wiadomo, Kołakowski, zanim nie został zmuszony do opuszczenia w 1968 roku Polski, pozostawał również w tych ramach — nie postępują oni jako badacze prawdy, lecz jako wyznawcy odziedziczonego i niezłomnego dogmatu. Dlatego nikt z nich nie był zdolny nie tylko do przewidywania, ale zgoła do dostrzeżenia marksowskich, a już na pewno leninowskich korzeni „stalinizmu” — korzeni ważnych zarówno dla mocy i sensu „stalinizmu”, jak i dla zrozumienia dzisiejszych prądów w ruchu komunistycznym. Z tego powodu ich krytyka stalinowskich wypaczeń — albowiem wypaczenia takie niewątpliwie zaszły — pozostała jałowa. Wszyscy oni żywią nadzieje — zamiast tego, by analizować; zamiast samouświadomienia są rozgoryczeni. Ich prawdy pozostały półprawdami. Analizują i zauważają, ale nikt z nich nie ośmielił się zburzyć otrzymanego w spadku, wygodnego własnego świata. Dlatego nikt z nich nie jest prawdziwym twórcą. Poza tym nikt z nich nawet nie pragnie niczego więcej, niż „kontynuować” i „dalej rozwijać” źródłowy dogmat.

Kołakowski natomiast nie zatrzymał się przed żadną z uświęconych prawd. Wszystko przemyślał samodzielnie i — dzięki temu — twórczo. Dlatego też nie miał potrzeby „wyrzeczenia się” marksizmu” czy też „dostrzeżenia” jego nierealności. Kierował się własnym sumieniem i swoim — o ile mi wiadomo, niezbyt bogatym artystycznym. Zamiast usprawiedliwiania i ratowania odziedziczonych nauk, badał je. Dogmat, w którego ramach rozwijał swoje myśli i w którym żył, rozpadając się w jego świadomości, mógł dać mu jedynie nowe twórcze podniety. Ponieważ w jego świadomości i dla jego świadomości dogmat stał się twierdzą i okowami, dogmat ten zmuszał go do nowych wysiłków myślowych i nowych moralnych napięć. Jest namiętny, ale nie nienawidzi. Jego teksty są omroczone zrezygnowaną ironią, ale nigdy rozgoryczeniem. Jego krytyka, jakkolwiek inspirowana przez rzeczywiste zjawiska — „błędy”, „wypaczenia”, „odstępstwa” — zawsze ogarnia istotę rzeczy — dogmatyzm i związaną z nim przymoc jako fenomeny ludzkie, w odniesieniu zaś do kultury europejskiej — fenomeny zgubne dla współczesnego człowieka i współczesnej technologii. W gruncie rzeczy nie jest on nawet „rewizjonistą”, zaś jako o reformiście można o nim mówić tylko w nawiązaniu do jego działalności politycznej i społecznej. Kołakowski jest po prostu myślicielem, który właściwego dogmatu nie „odrzucił”, ale przeszedł ponad nim swoją twórczością.

Cechą charakterystyczną dla Kołakowskiego jest właśnie to, że nie krytykował marksizmu, lecz wbrew niemu, a najczęściej równoległe z nim lub wręcz w samym jego układzie rozwijał nowe idee i pojęcia. Odkrył tematy i motywów ciągłość między średniowieczną scholastyką a współczesnymi dogmatami, i to z taką oczywistością, że nikt zgoła nie może wątpić, iż odnosi się to w pierwszym rzędzie do marksizmu. Wielu autorów już wcześniej od niego dostrzegło scholastyczną stronę marksizmu, a tym samym „leninizmu” i „stalinizmu”. Ale dopiero Kołakowski wykazał, że chodzi tu w istocie o coś trwałego i ciągłego — o jedną z cech europejskiej myśli społecznej i filozoficznej.

Właśnie dlatego Kołakowski nie powstrzymał się przed żadną z uświęconych i niezachwianych prawd marksizmu. Burząca siła jego logiki i przenikliwości nie ma, jak się wydaje, granic. W taki sposób, pozostając w marksizmie i właśnie z niego rozwijając wiele swoich tez, niweczy jego podstawy — naukę o prymacie materii<sup>2</sup> i o prawidłowości rozwoju historycznego<sup>3</sup>. Z marksistowskiej dogmatyki i „socjalistycznej” rzeczywistości Polski i Wschodniej Europy przez Kołakowskiego przemówiły nowe prawdy. Kołakowski potwierdza tym samego siebie i — na nowy sposób — stare, pradowe przeświadczenie ludzkości o niemocy i nieskuteczności wszelkiego dogmatu przy zderzeniu się ze swo-

2. „Gdyż również nasze myśli o rzeczywistości są również częścią rzeczywistości, nie mniej ważną od innych” (*Marxism and beyond*, str. 56).

3. Patrz: „Odpowiedzialność a historia” w *Marxism and beyond* i „Cogito, historyczny materializm a ekspresywna interpretacja jednostki” w *Filozofski eseji*.

bodnym, twórczym duchem. Przez umiejscowienie zaś współczesnych dogmatów w ramach europejskiej granicy historycznej i warunków ludzkich i wykazanie ich niezdatności do współczesnego ludzkiego istnienia — Kołakowski utwierdził się jako myśliciel należący nie tylko do Polski, Wschodniej Europy i marksistowskiej „herezji”, ale do współczesnej myśli jako całości.

To prawda, że Kołakowski swoimi, niekiedy nierealnymi, rozważaniami nad praktycznym wyjściem ze ślepej uliczki „wszechwiedzy” i wszechmocy partyjnej biurokracji, mógł dać podłoże do tego, aby „nowi lewicowcy” oparli się również na nim. Ale to, co najistotniejsze w jego myśleniu — a jest nim niezaprzeczalność wolności duchowej i osobistej — nigdy nie należał i nie może należeć do „nowych” uszczęśliwaczy rodzaju ludzkiego, posługujących się starymi, wypróbowanymi metodami gwałtu. Albowiem odważne i krytyczne poszukiwania — a to jest właśnie głównym, wewnętrznym motywem dzieła Kołakowskiego — jest rodzaj wolności, podczas gdy nikt z obecnych uczonych lub dorosłych rewolucjonistów nie oferuje narodom nic takiego, co by już nie zostało wypróbowane przez szereg narodów i potwierdzone jako niemożliwe do zrealizowania, krwawa i wsteczna utopia, której chętnie wyrzekliby się nawet jej własni protagoniści, gdyby tylko mieli na to dość rozumu i godności.

Zwrócono uwagę, że Kołakowski nie jest współczesnym filozofem w wąskim znaczeniu tego słowa. Nikt jednak nie może zaprzeczyć, że jest on nowy i oryginalny w ramach i warunkach, w jakich tworzył. Co więcej, w tym pojęciu jest on może najoryginalniejszym zjawiskiem filozoficznym „socjalistycznej” Wschodniej Europy.

Moje krytyczne myślenie rozwijało się podobnie, jak Kołakowskiego, przeważnie jednak z politycznego doświadczenia i poprzez obrazy literackie. Marksistowska filozofia nie przeszła jeszcze jednak przez ogień twórczej krytyki, tj. krytyki wyrosłej z rzeczywistości i jej struktury. Kołakowski wniósł do tego najważniejszy wkład, ale dzieło jego nie jest doprowadzone do końca. We Wschodniej Europie, ani nawet w świecie, nie objawił się jeszcze nikt zdolny to uczynić — może nim będzie Kołakowski? Myśl ta była jednym z porywów mojego wzbudzonego podziwu, kiedy w więzieniu po raz pierwszy zapoznałem się z jego dziełem. Ale i tak byłem gotów schylić czoło przed jego talentem i niezależnością. Albowiem Kołakowski odkrywa i darowuje światu nowe odczucia i nowe wartości ludzkie. Jestem przekonany i spodziewam się, że jest on jednym z niestrudzonych, chociaż tragicznych protagonistów przyszłych zwycięstw i przyszłych prawd o człowieku — z mroku gwałtu i dogmatycznych więzów lodowych.

Milovan DŽILAS

(Przełożył Jan Kligert)

Kraj

## Katechizm rolniczy

### KRÓTKI PRZEGLĄD SPRAW ROLNICTWA I WSI

(Katechizm w pytaniach i odpowiedziach)

1. *Czy prawda, że gospodarstwo chłopskie jest pozostałością po kapitalizmie?*

— Nieprawda. Rodzinne gospodarstwo chłopskie jest tak stare jak ludzkość. Powstało w zamierzchłych czasach i istniało we wszystkich ustrojach — w starożytności, w feudalnym średniowieczu, w kapitalizmie. Gospodarstwo chłopskie przystosowuje się do każdego ustroju, zarówno do prymitywnej gospodarki wielu krajów afrykańskich jak i do super technicznego kapitalizmu Stanów Zjednoczonych.

2. *Czy kapitalizm sprzyjał rozwojowi gospodarstw chłopskich?*

— Gospodarstwa chłopskie zawsze podlegały prawom istniejącego ustroju. Kapitalizm aż do początków naszego stulecia rozkładał ich rodzinny charakter, pogłębiał różnicowanie wśród chłopów. Bogatsi chłopci — jak mówił Lenin — stawali się jeszcze bogatszymi, a biedni jeszcze biedniejszymi. Bogatsze gospodarstwa chłopskie traciły rodzinny charakter, w znacznym stopniu opierały się na wyzysku pracy najemnej, której dostarczała chłopska biedota. Dopiero w naszych czasach kraje kapitalistyczne wracają do rodzinnych gospodarstw chłopskich.

3. *Czy obecnie rozwój gospodarstw chłopskich zależy od zastosowania pracy najemnej?*

— Nie. Wyzysk biednych i bezrolnych chłopów przez bogat-

szych wynikał z braku odpływu nadmiaru ludności wiejskiej do miast. Kiedy w naszych czasach możliwości odpływu otworzyły się we wszystkich rozwiniętych krajach, kiedy stosunkowo łatwo dostać pracę poza rolnictwem — praca najemna w rolnictwie zaczęła zanikać również w krajach kapitalistycznych.

#### 4. *Dlaczego?*

— Ponieważ przestała się opłacać. Praca w rolnictwie jest znacznie mniej wydajna niż we współczesnym przemyśle, toteż i gospodarstwo rolne nie może konkurować z przemysłem w opłaceniu pracy najemnej. W tych warunkach konieczny był powrót do rodzinnego charakteru gospodarstwa chłopskiego, to znaczy oparcie go o pracę właściciela i członków jego rodziny.

#### 5. *Jeżeli w rolnictwie nie opłaca się praca najemna, to w jaki sposób opłaca się właścicielowi?*

— W tym tkwi cała tajemnica gospodarstwa chłopskiego. Chłop-rolnik zawsze wkładał więcej pracy, więcej czasu poświęcał gospodarstwu niż robotnik najemny. Ta dodatkowa praca chłopa decyduje o opłacalności jego gospodarstwa.

#### 6. *Czy mechanizacja rolnictwa uwolni chłopa od konieczności pracy dodatkowej?*

— Trudno przepowiedzieć daleką przyszłość. Tymczasem wyścigu z przemysłem rolnictwo wygrać nie może. Tam mechanizacja i automatyzacja może być nieograniczona. W rolnictwie zawsze konieczny będzie udział żywej pracy człowieka, a ponadto wydajność pracy ograniczają prawa biologii — niewiele można skrócić czas wzrostu roślin i zwierząt.

#### 7. *Czy zespołowe gospodarstwa — spółdzielnie produkcyjne — mogą uwolnić chłopa od dodatkowej pracy?*

— Jak dotąd nie uwolniły i jeszcze dość długo nie uwolnią. W spółdzielniach produkcyjnych i kołchozach dodatkową pracę wkłada chłop w swoją działkę przyzagrodową, z której otrzymuje znaczną część swego dochodu. Dzięki tej dodatkowej pracy małe działki odgrywają poważną rolę w produkcji gospodarstw zespołowych.

#### 8. *Czy zatem można uznać, że spółdzielnie produkcyjne są gospodarstwami socjalistycznymi?*

— Niezupełnie. Spółdzielnie produkcyjne nie zlikwidowały

indywidualnych gospodarstw chłopskich, lecz ograniczyły je do małych rozmiarów. Są połączeniem gospodarki zespołowej z gospodarstwami indywidualnymi. Na tym połączeniu oba typy gospodarstw źle wychodzą — gospodarstwo zespołowe cierpi, bo spółdzielcy dużo uwagi i pracy wkładają w swoją działkę, źle wychodzi na tym i indywidualne gospodarstwo, ponieważ nie ma możliwości rozwoju, a praca na małej działce jest mało wydajna.

#### 9. *Dlaczego tedy spółdzielnie produkcyjne nie zlikwidują działek przyzagrodowych i nie poświęcą całej uwagi gospodarstwom zespołowym?*

— Jak wykazało doświadczenie dodatkowa praca wkładana w działkę przyzagrodową jest niezbędna zarówno dla rolnika-spółdzielcy jak i dla produkcji rolnej. Próby zniesienia działek przyzagrodowych dokonane np. w Czechosłowacji dały złe rezultaty.

#### 10. *Czy zniesienie dodatkowej pracy rolnika jest w ogóle niemożliwe?*

— Owszem jest możliwe, pod dwoma warunkami. Wymaga to wysokiego poziomu mechanizacji, to znaczy dużych nakładów kapitału, po drugie dopłat do rolnictwa ze strony państwa. Obecnie kraje zachodnie mimo wysokiego poziomu kultury rolnej dopłacają do rolnictwa.

#### 11. *A Państwowe Gospodarstwa Rolne?*

— Właśnie PGRy są przykładem, że uspołeczniona produkcja wymaga dużych nakładów kapitałowych. Obliczono, że w PGR na każdy ha było w 1964 roku środków trwałych za 55 tys. zł., a w gospodarstwie chłopskim za 17 tys. zł. W PGR na każde 100 zł. produktu było 58 zł. środków obrotowych, a w gospodarstwie chłopskim tylko za 19 zł. czyli że produkcja chłopska jest trzykrotnie tańsza.

#### 12. *Czy indywidualne gospodarstwo chłopskie jest sprzeczne z socjalizmem?*

— Jako gospodarstwo rodzinne, oparte na pracy właściciela i jego rodziny nie zawiera żadnych elementów sprzecznych z socjalizmem.

#### 13. *A czy nie może przekształcić się w gospodarstwo kapitalistyczne wyzyskujące cudzą pracę?*

— Praca najemna w rolnictwie jako mniej wydajna niż w prze-

myśle nie opłaca się. Obliczono, że chłop w Polsce zatrudniający robotnika najemnego często dopłaca do niego.

14. *Dlaczego więc czasami go zatrudnia?*

— Aby nie stracić jeszcze więcej, ponieważ wiele prac rolnych musi być wykonanych w porę.

15. *Czy gospodarstwo chłopskie może się dostosować do socjalistycznej gospodarki lepiej niż do kapitalistycznej?*

— W Polsce już sześć lat temu wybitny ekonomista Oskar Lange zwrócił uwagę, że gospodarstwa chłopskie stały się elementem socjalistycznej gospodarki w niemniejszym, a pod pewnymi względami w większym stopniu niż niektóre gospodarstwa kolektywne.

16. *Na czym polega dostosowanie gospodarstw chłopskich do gospodarki socjalistycznej?*

— Na powiązaniu gospodarstw chłopskich z całym systemem socjalistycznej gospodarki kraju. Chłop wszystkie środki produkcji zakupuje od państwa; państwu sprzedaje prawie całość swego produktu. Realizuje zamówienia państwowe w różnych formach kontraktacji; państwo ustala ceny na produkty rolne. W ten sposób gospodarstwo chłopskie podlega ogólnym planom gospodarczym i ogólnej polityce państwa.

17. *Czy zatem socjalizm na wsi może polegać na rozwoju indywidualnych gospodarstw chłopskich?*

— Tak, aż do czasu, kiedy same gospodarstwa odczują, że są za mało opłacalne i dla podniesienia wydajności własnej pracy i nakładów zaczynają się wiązać w różne formy współdziałania.

18. *Kiedy to może nastąpić?*

— Kiedy rolnictwo nasze będzie w wysokim stopniu zmechanizowane, kiedy podniesie się poziom agrotechniki i rozwiną się usługi dla rolnictwa — a zarazem wydatnie zmniejszy się ilość ludności rolniczej. Innymi słowy wtedy, kiedy małe gospodarstwo chłopskie dojdzie do granicy możliwości rozwoju produkcji i wzrostu wydajności.

19. *Czy zjawisko nieopłacalności gospodarstw chłopskich istnieje już dzisiaj?*

— Oczywiście. Wiele gospodarstw drobnych i nawet śred-

nich można już dziś uznać za nieopłacalne. Utrzymują się w warunkach ogólnego zacofania rolnictwa i wspomagają się dodatkowymi dochodami z pracy poza rolnictwem.

20. *Co trzeba zrobić aby utrzymać i podnosić opłacalność gospodarstw chłopskich?*

— W XIX wieku, kiedy wszystkie prace wykonywane były ręcznie i prymitywnymi narzędziami, rodzina chłopska mogła bez pracy najemnej uprawiać około 5 ha. W miarę wzrostu mechanizacji i doskonalenia maszyn i narzędzi obszar ten rósł. Dziś już przy wysokim poziomie uzbrojenia technicznego rodzina chłopska może przy gospodarce intensywnej uprawiać 20 i więcej ha, a przy ekstensywnej (jak w USA) więcej niż 100 ha. Rzecz prosta iż wraz z rozwojem techniki rolniczej winna wzrastać wielkość gospodarstwa chłopskiego, gdyż tylko wtedy opłacalne będą nakłady i możliwy wzrost wydajności pracy rolnika.

21. *Czy taka ewolucja rolnictwa jest możliwa?*

— Jest to najtrudniejszy problem gospodarczy i społeczny wsi, ponieważ rzeczywisty rozwój szedł w przeciwnym kierunku. Na większości obszarów gospodarstwa chłopskie się rozdrabniały. Rozdrobnione gospodarstwa mogły się utrzymać przy ogólnym niskim poziomie gospodarki. Już dziś drobne gospodarstwa mogą się utrzymać tylko dzięki temu, że część rodziny zatrudniona jest poza rolnictwem.

22. *Czy nie rozwiąże tej sprawy odpływ ludności ze wsi?*

— Ze wsi odpływają przeważnie ci, którzy i tak nie znaleźliby tam zatrudnienia. Odpływ ten w zasadzie nie pociąga za sobą zmniejszenia się ilości gospodarstw.

23. *A przecież mówi się wiele o opuszczaniu gospodarstw, o gospodarstwach bez następców?*

— Istotnie pewna ilość gospodarstw zostaje bez następców. Jest to zjawisko normalne wobec faktu, że dochód z rolnictwa jest niższy niż z pracy w innych zawodach. W Polsce ma to niewielkie rozmiary, a mówi się o tym wiele, ponieważ nie wiemy co z opuszczonymi gospodarstwami zrobić.

24. *Czy jest dobrym rozwiązaniem przejmowanie opuszczonych gospodarstw przez PGRy?*

— Uzasadnione jest przejmowanie przez PGRy tych gruntów

opuszczonych, które sąsiadują z pegeerowskimi. W stosunku do innych jest to całkowicie nieuzasadnione.

### 25. *Dlaczego?*

— Ponieważ zagospodarowanie tych gruntów przez PGRy jest bardzo kosztowne. Obliczono, że znacznie przekracza rynkową ocenę tej ziemi. Po drugie jest niewykonalne z powodu rozrzucenia tych gruntów. Po trzecie PGRy bez tego borykają się z dużymi trudnościami.

### 26. *Co należy robić z opuszczonymi gruntami?*

— Przede wszystkim należy je przeznaczyć na upełnorolnienie gospodarstw chłopskich oraz na tworzenie na nich gospodarstw wzorowych. Zagospodarowanie tych gruntów przez chłopów jest najprostszym, najszybszym i najtańszym dla państwa wyjściem. Pomoc okazana chłopom w ich zagospodarowaniu wyniesie jedną czwartą kosztu zagospodarowania przez państwo.

### 27. *Czy znajdują się chłopci chętni do przejmowania opuszczonych gospodarstw?*

— Na pewno. Mamy w Polsce blisko 2 miliony gospodarstw poniżej 5 ha. Na tym polega nieporozumienie, że mówi się bardzo dużo o paru tysiącach gospodarstw opuszczonych, a nie mówi się o setkach tysięcy, które potrzebują ziemi, aby móc racjonalnie gospodarzyć.

### 28. *Czy przejmowanie przez państwo opuszczonych gruntów chłopskich, których, jak się oblicza, będzie coraz więcej, może być drogą do stopniowej przebudowy struktury rolnej?*

— Jest to koncepcja nierozsądna, a nawet wysoce niebezpieczna. Mówiliśmy, że jest bardzo kosztowna i trudna do wykonania. Ale grozi ponadto, że nasza polityka będzie stwarzała takie warunki, aby zachęcić chłopów do opuszczania gospodarstw zamiast zachęcić ich do gospodarowania i podnoszenia poziomu naszego rolnictwa. Już zapowiedziane przeprowadzenie komasacji dla wydzielenia gruntów dla PFZ wywołało w wielu okolicach niepokój. Polityka taka oznaczałaby, iż do „pegeeryzacji” chcemy dojść przez stopniową ruinę rolnictwa.

### 29. *Jakie winny być główne kierunki naszej polityki rolnej?*

— W znacznej części słuszny kierunek został wytyczony przez IV Zjazd Partii w 1964 roku. Wskazał on na konieczność stwo-

wienia warunków dla szybkiego rozwoju i intensyfikacji gospodarki chłopskiej, na konieczność mechanizacji oraz tworzenia rozgałęzionego systemu spółdzielczej obsługi rolnictwa w dziedzinie zaopatrzenia, zbytu, przetwórstwa i zadań specjalnych, takich jak remonty i naprawy, budownictwo wiejskie itd. Główną rolę miały w tym programie odegrać kółka rolnicze.

### 30. *Czy ten program był wystarczający?*

— Niewystarczający. Należy go uzupełnić stworzeniem możliwości rozwoju gospodarstw chłopskich, ponieważ gospodarowanie na paru hektarach będzie się stawało coraz mniej opłacalne. Jeśli rzeczywiście myślimy o podnoszeniu poziomu rolnictwa, musimy stworzyć możliwości upełnorolnienia gospodarstw chłopskich. Na te cele winny być przeznaczone grunty opuszczone, grunty PFZ. Winna istnieć możliwość zakupu ziemi przez chłopów oraz państwo winno wykupywać upadające gospodarstwa, przeznaczając te grunty na tworzenie wzorowych gospodarstw chłopskich.

### 31. *Czy w ten sposób nie będziemy tworzyć wiejskich bogaczy?*

— Musimy się zdecydować co nam grozi, czy ucieczka chłopów od gospodarstw i małe zainteresowanie rolnictwem wobec jego niskiej opłacalności, czy też nadmierne bogacenie się chłopów. Byłoby wielkim sukcesem naszej polityki, gdybyśmy wykazali, że dobre gospodarstwo chłopskie może dawać dochody zbliżone do zarobków poza rolnictwem.

### 32. *Skąd się biorą legendy o nadmiernych zyskach z rolnictwa?*

— Duże i niekiedy nadmierne zyski powstają w rolnictwie, lecz w uprawach specjalnych, takich jak ogrodnictwo czy kwalifikowane sadownictwo. Wynika to z niedostatecznego rozwoju tych dziedzin. Jedynym środkiem zaradczym może być tylko upowszechnienie tych upraw, co automatycznie zmniejszy nadmierne zyski.

### 33. *Czy dla podniesienia rolnictwa potrzebne jest podniesienie rangi zawodu rolnika?*

— Upośledzenie zawodu rolnika ma wiele przyczyn. Oprócz ekonomicznych działają również przyczyny polityczne. Chłopa gospodarującego indywidualnie uważa się za pozostałość po okresie kapitalizmu. Wielu jeszcze uważa, że chłop przystosuje się do socjalizmu dopiero wtedy, kiedy będzie gospodarował zespołowo. Mamy w kraju wiele tysięcy dobrych wykwalifikowanych rolni-

ków, często chwalimy ich, czasem nawet nagradzamy, ale zawsze pada na nich cień, że są kandydatami na kapitalistów.

34. *Co robić, aby podnieść rangę zawodu rolnika?*

Przede wszystkim szanować i wykorzystać dobrych rolników, którzy w praktyce wykazali się wiedzą i umiejętnością organizacji gospodarstwa. Należy w kraju stworzyć sieć chłopskich „gospodarstw wzorowych” o różnych profilach produkcyjnych. Gospodarstwa te nie tylko będą promieniowały przykładem, ale staną się również podstawą praktycznego szkolenia. Szkolenie rolnicze, pogadanki i propaganda postępu w rolnictwie tracą sens, jeśli nie możemy tego oprzeć na realnych przykładach i praktyce. Gospodarstwa wzorowe miałyby prawo przyjmowania praktykantów po szkołach rolniczych.

35. *Czy istnieje w Polsce możliwość stworzenia „gospodarstw wzorowych”?*

— Tak. Ostatnio mówi o tym nawet nasza administracja rolna. Mamy w kraju wiele setek gospodarstw, które już dziś mogą być uznane za wzorowe, a po okazaniu pewnych ułatwień w uzupełnieniu braków może ich być kilka tysięcy. Byłyby to gospodarstwa różnej wielkości (w granicach dopuszczonych ustawą). Ważnym również posunięciem byłoby obsadzanie wolnych gospodarstw, na dogodnych warunkach, drogą konkursu: tymi, którzy wykażą się najlepszymi wynikami. Jeśli chcemy rolnictwo traktować poważnie, musimy do dobrego rolnika mieć taki sam stosunek jak do dobrego inżyniera, naukowca, czy dobrego działacza partyjnego.

36. *W jakiej dziedzinie nasze rolnictwo jest najbardziej zacofane?*

— Nasze zacofanie jest najbardziej widoczne w dziedzinie usług dla rolnictwa. Chłop, aby zdobyć kwintal nawozu, odstawić żywiec, zboże, czy inne płody rolne na punkt skupu, za każdym razem traci przynajmniej dzień wraz ze sprzężajem. Podobnie jest z załatwieniem jakiegokolwiek sprawy w urzędzie czy placówce gospodarczej. Obliczono, że w ciągu ostatnich pięciu lat czas stracony przez chłopą na załatwienie spraw wzrósł trzykrotnie. Nie ma u nas usługowych placówek w dziedzinie remontów i napraw, bardzo źle stoją sprawy budownictwa wiejskiego itd. W krajach o wysoko rozwiniętym rolnictwie większość ludzi zatrudnionych w tym dziele gospodarki pracuje w placówkach usługowych. My w dziedzinie usług dla rolnictwa jesteśmy na poziomie takich zacofanych krajów, jak Grecja i Hiszpania.

37. *Jakie są przyczyny tego zacofania?*

— Zacofanie to odziedziczyliśmy po okresie przedwojennym. W Polsce Ludowej nic prawie nie zrobiliśmy w tej dziedzinie, ponieważ polityka nasza szła w przeciwnym kierunku — sądziliśmy, że wszystko rozwiąże przejście do zespolowego gospodarowania. Ponadto jest u nas brak zrozumienia tej potrzeby i brak doświadczenia w dziedzinie organizowania usług.

38. *Jaką rolę mają do spełnienia kółka rolnicze?*

— Kółka rolnicze były trafnym pomysłem podjętym przez kierownictwo Partii w 1957 roku. Nawiązywały one do formy, która na naszej wsi miała już długą tradycję. Kółka rolnicze miały skupić wieś wokół głównych zadań — podniesienia poziomu gospodarki rolnej, miały zrealizować zespolowo to, czego nie można zrobić w pojedynczym gospodarstwie, jak zakup traktorów i większych maszyn. Kółka miały się stać organizatorami produkcji rolnej — czynnikiem łączącym wieś z ogólnym planem gospodarczym. Kółka miały również aktywizować gospodarkę przez organizowanie przetwórstwa, magazynowanie produktów i innych usług rolniczych.

39. *Dlaczego chłopci przez długi czas nieufnie odnosili się do Kółek rolniczych?*

— Idea Kółek od początku została wypaczona poglądem, że ich głównym zadaniem jest doprowadzenie wsi do spółdzielni produkcyjnych. Od początku organizatorzy Kółek ten cel wysuwali na plan pierwszy. Chłopi po doświadczeniach minionego okresu obawiali się, że wstąpienie do Kółka rolniczego zostanie potraktowane jako wstąpienie do spółdzielni.

40. *Czy ten pogląd na cel Kółek był powszechny?*

— Wśród aktywu politycznego niestety tak. Wyraźna zmiana zaznaczyła się dopiero w 1964 roku, kiedy Zjazd Partii przedstawił szeroki program zadań stojących przed Kółkami. W praktyce terenowej jednak zmiana dokonywała się powoli. Ciągle — i do dnia dzisiejszego — nie bardzo wiadomo jaką drogą prowadzić wieś do socjalizmu i czy popieranie indywidualnych gospodarstw nie jest odejściem od tej drogi.

41. *Czy Kółka rolnicze spełniają swoje zadania?*

— Pierwsze lata zostały dla rozwoju Kółek całkowicie zmarowane. Kółka rozwijały się opornie i przystępowała do nich nie-

wielka część chłopów. Kółka, które istniały, nie bardzo wiedziały co mają robić. Wysunięcie jako głównego zadania mechanizację rolnictwa, tylko częściowo rozwiązywało sprawę, ponieważ liczba traktorów rosła powoli, ponadto wspólne wykorzystywanie traktorów nie było jedynym i nie zawsze było najważniejszym zadaniem stojącym przed wsią.

42. *Czy organizacja Kółek rolniczych i formy ich pracy zostały już ustalone?*

— Niestety ciągle nie. Ciągle nie wiadomo czy Kółko jest tylko zrzeszeniem rolników, czy też ma być przedsiębiorstwem organizującym usługi, spółdzielnią budującą i prowadzącą takie przedsiębiorstwa jak przetwórnice i podobne. Wytyczone w 1964 roku zadania trudno było realizować ponieważ centralistyczne nawyki całego naszego aparatu nie zostawiały inicjatywy samym Kółkom. A to jest koniecznym warunkiem ich rozwoju i spełnienia przez nich zadań. Zadania Kółek nie dadzą się z góry ściśle określić ponieważ nie ma dwóch wsi, które znajdowałyby się w takiej samej sytuacji i miały takie same potrzeby i możliwości.

43. *Czy mechanizacja rolnictwa jest najważniejszym zadaniem?*

— Niewątpliwie tak. Bez mechanizacji nie może być rozwiniętego, stojącego na wysokim poziomie rolnictwa. Mechanizacja jest konieczna nie tylko po to aby ulżyć pracy rolnika, zmniejszyć ilość wykonywanych ręcznie, ale i po to aby podnieść wydajność jego pracy, to znaczy zwiększyć jego dochód. Jesteśmy ciągle w mechanizacji zacofani i szybki wzrost ilości traktorów oraz maszyn do upraw, pielęgnacji i zbioru jest zadaniem ważnym i pilnym. Tym bardziej, że w wielu rejonach kraju już daje się odczuwać brak rąk w rolnictwie.

44. *Czy mechanizacja oznacza tylko większą ilość traktorów?*

— Nie tylko. Nasze zacofanie widać również w zastosowaniu energii elektrycznej. Elektryfikacja wsi, która zrobiła duże postępy, ciągle oznacza głównie żarówkę do oświetlenia (ewentualnie radio czy telewizor). Bardzo słabe jest jeszcze zastosowanie energii elektrycznej w gospodarstwie — toteż użycie energii elektrycznej na naszej wsi wynosi ok. 99 kWh na głowę, podczas, gdy w Anglii — 146, a w NRF — 256.

45. *Czy wszędzie mechanizacja przy pomocy traktora jest najważniejsza? Jakie mogą być pilniejsze?*

— Nie wszędzie. W rejonach o rozdrobnionych gospodar-

stwa i stosunkowo znacznych nadwyżkach ludności rolniczej (a takich jest w Polsce wiele), na pewno nie traktor jest najpilniejszą potrzebą. Często do takiej zacofanej wsi trzeba najpierw przeprowadzić drogę, której nie ma, bywa jeszcze, że najpilniejsza jest elektryfikacja, w niektórych najpilniejsze jest doprowadzenie wody, bywa często, że najpilniejsza jest pomoc budowlana itd. Podnoszenie gospodarczego poziomu wsi jest procesem „organicznym” i wymaga równoczesnego zaspokojenia wielu potrzeb. Zaspokojenie tylko jednej nie daje najczęściej rezultatu i jest marnowaniem pieniędzy. Dla przykładu: państwo łoży wielkie sumy na meliorację gruntów. Ale jest wiele przypadków melioracji we wsiach, które tej inwestycji nie mogą wykorzystać — wsiach, do których nie ma drogi, jeszcze nie zelektryfikowanych, wsiach, które mają potrzeby o wiele pilniejsze, aby się wydźwignąć z zacofania pomijając, że wiele melioracji jest źle przeprowadzonych. Takie melioracje nic wsi nie pomogą, a wyłożone pieniądze można uważać za zmarnowane.

46. *Czy słuszne było przesunięcie traktorów z Kółek do baz międzykółkowych?*

— Przesunięcie traktorów do baz międzykółkowych zostało spowodowane głównie słabością organizacyjną Kółek, które źle sobie radziły z administrowaniem posiadanym sprzętem. W zasadzie jednak było to posunięcie niesłuszne, ponieważ traktor winien być jak najbliższe gospodarstwu. W miarę rozwoju mechanizacji rolnictwa nie osobny traktorzysta, ale większość rolników musi się umieć posługiwać traktorem. Ponadto traktor w posiadaniu Kółka winien służyć nie tylko do uprawy ziemi i do sprzętu, ale również być środkiem transportu, który pomógłby rozwiązać wiele spraw związanych z zaopatrzeniem wsi i zbytem produktów.

47. *Jakie znaczenie ma Fundusz Rozwoju Rolnictwa?*

— F.R.R. powstał ze zwrotu chłopom różnicy między ceną dostaw obowiązkowych a ceną rynkową. Stworzenie tego funduszu było pomysłem bardzo dobrym. Jest to forma przymusowych oszczędności, które wieś wykorzystuje dla zaspokojenia swoich ogólnych potrzeb.

48. *Jak należy wykorzystać F.R.R.?*

— Użytkowanie F.R.R. pojęte zostało zbyt jednostronnie — tylko, czy głównie na mechanizację. Tymczasem, jak wiadomo, nie wszędzie mechanizacja jest pierwszą i najpilniejszą potrzebą, a nigdy nie jest potrzebą jedyną. To wąskie i sztywne zapozowanie

F.R.R. spowodowało, że nie odegrał on dotychczas takiej roli, jaką mógł odegrać. Przepisy o korzystaniu z F.R.R. zmieniono dopiero po długich sporach. Fundusz ten winien być użyty na potrzeby, które dla danej wsi z uwagi na jej ogólną sytuację są najważniejsze. W dużej mierze winien być użyty na te cele, które wiążą się z produkcją, jak budowa przetwórci, magazynów oraz na organizowanie usług dla rolnictwa. Szersze zastosowanie F.R.R. niewątpliwie przyczyni się do ożywienia działalności kółek rolniczych.

49. *Jaki model gospodarstwa chłopskiego można uznać za najwłaściwszy?*

— W naszych warunkach nie może być jednego modelu. Rozwój rolnictwa musi wyjść od istniejącej struktury, która wyznacza trzy główne typy gospodarstw: gospodarstwa małe, z zasady niesamodzielne, które większą lub mniejszą część dochodów czerpią z pracy poza rolnictwem; samodzielne gospodarstwa chłopskie oraz wielkoobszarowe gospodarstwa państwowe — PGRy.

50. *Czy nie ma sprzeczności interesów między tymi gospodarstwami?*

— Przeciwnie, każdy z tych typów gospodarstw winien spełniać odrębne zadania a wzajemna współpraca służyć winna podnoszeniu poziomu naszego rolnictwa. Wykazuje to rola, jaką w stosunku do gospodarstw chłopskich już dziś odgrywają PGRy jako bazy nasienne, hodowla zarodowa itd.

51. *Czy gospodarstwa małe, niesamodzielne, mają szanse istnienia?*

— Zjawisko chłopo-robotników czy robotników-chłopów, jak wykazuje doświadczenie również krajów wysoko rozwiniętych, nie jest bynajmniej przejściowe, lecz ma tendencje rozwoju. Takie niesamodzielne gospodarstwa, w miarę posiadania siły roboczej, specjalizują się w dziedzinach pracochłonnych np. w pobliżu ośrodków miejskich w warzywnictwie i podobnych dziedzinach. W hodowli i uprawach specjalnych nawet małe gospodarstwa mogą się usamodzielniać.

52. *Czy istnieją jeszcze niewykorzystane możliwości zwiększenia dochodów wsi?*

— Na wielu obszarach kraju istnieją. Takim niewykorzystanym źródłem — np. dla najbiedniejszych rejonów podgórskich

— jest turystyka i wczasy. Istnieje w tej dziedzinie rosnące zapotrzebowanie. Niestety obecne warunki mieszkaniowe w tych rejonach uniemożliwiają wsi spełnianie tych zadań.

53. *Jaki jest najważniejszy warunek rozwoju gospodarstw chłopskich?*

— Aby poziom naszego rolnictwa mógł się podnieść a gospodarstwa chłopskie rozwijać, musi być spełniony jeden naczelnny warunek: trzeba jasno wytyczyć drogę, po której idziemy, aby chłop-rolnik miał pewność, że nowy zwrot naszej polityki nie obróci w niwecz jego wysiłków i nakładów, aby młodzież wiejska mogła widzieć dla siebie perspektywę nie tylko w ucieczce do miasta, ale również widziała dla siebie miejsce w nowoczesnie zorganizowanej wsi.

54. *Jaka jest perspektywa indywidualnych gospodarstw chłopskich?*

— W dalszym rozwoju, kiedy mechanizacja naszego rolnictwa przybierze szersze rozmiary, najpewniej chłopci sami poczują konieczność przechodzenia do różnych form gospodarowania zespołowego.

55. *Dlaczego?*

— Ponieważ jedno gospodarstwo, nawet większe nie udźwignie ciężaru nakładów, jakich wymaga nowoczesne rolnictwo. W jednych przypadkach może to przybierać formę rozszerzenia usług kółka rolniczego, w innych może prowadzić do tworzenia zespołów kilku gospodarstw, jak robią to obecnie chłopci duńscy czy francuscy.

56. *Gdy kilku chłopów chce wspólnie gospodarzyć, np. wspólnie zakupić i użytkować maszyny — czy takie inicjatywy są słuszne?*

— Inicjatywy takie należy popierać. Droga do wspólnego gospodarowania prowadzi przez różne próby i formy częściowe. Chłopi-rolnicy muszą się nauczyć trudniej sztuki wspólnego gospodarowania, muszą przezwyciężyć nieufność, muszą spojrzeć na to gospodarskimi oczyma.

57. *Jakich błędów należy unikać przy wszelkich próbach zespołowego gospodarowania?*

— Doświadczenie wskazuje, że dwa błędy są najniebezpiecz-



niejsze. Główny błąd polegał na tym, że przejście do spółdzielni produkcyjnych traktowano jako posunięcie polityczne zamiast jako próbę organizowania gospodarki rolnej. Organizowanie gospodarki musi się liczyć z istniejącym stanem, przechodzić przez fazy pośrednie i przystosować formy organizacyjne do możliwości i potrzeb tej gospodarki, a nie do wymyślonych przy biurku statutów.

#### 58. Na czym polegał drugi błąd?

— Gospodarowanie zespołowe nie może polegać na tym, że rolnicy czują się na wspólnej gospodarce jak robotnicy najemni, w gruncie rzeczy nie ponoszący za nią odpowiedzialności. Nie może być rozdziału na „wspólne” i „własne” (na działce przyzagradowej). Tylko takie formy zespołowego gospodarowania będą skuteczne, w których niezbędna praca dodatkowa rolnika i jego osobista troska będą miały zastosowanie w całej gospodarce a nie tylko na własnej działce. Taką formę mają chłopskie zespoły w Danii, zbliżone do tego formy istnieją w NRD i one właśnie dają dobre rezultaty.

#### 59. Czego jeszcze należy unikać przy organizowaniu gospodarstwa zespołowego?

— Przymusu. To jest grzech pierworodny naszej spółdzielczości, przed którym tak bardzo ostrzegają Lenin.

Fragment książki Władysława Bienkowskiego pt. „Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?”, która właśnie ukazała się w serii „Dokumenty” jako tom 193 „Biblioteki Kultury”.

## Sąsiedzi

### Notatnik z podróży po Czechach

Droga szła pod górę, motor ciężarówki wyl unisono, pracując ze wszystkich sił. Wiedziałem, bo zdążyłem to zauważyć, stacja na której nas wyładowano nosiła nazwę Weimar. Lecz teraz, ściśnionemu do ostateczności między kilkudziesięciu innymi więźniami, nie udawało mi się odwrócić głowy bym mógł cokolwiek zobaczyć z tego miasta, słynnego imieniem Goethe.

Na szczycie wzgórza, dokąd nas zawieziono, stała rozłożysta, zamknięta brama z napisem *JEDEM DAS SEINE*, wpłcionym w żelazny ornament. Otworzono ją i, gdyśmy przechodzili przez próg obozu, esesman liczył nas tak, jak liczy się trzodę prowadzoną do rzeźni.

Ten transport, z Polski, obsługiwany był głównie przez Czechów, ze względu na ułatwienie kontaktów językowych. W kąpie, przy strzyżeniu, przy wydawaniu bielizny i łachmanów-ubrań, pasków z numerami, wreszcie przy zapisach w tak zwanych *Häftlingpersonnellkartach* w *Politische Abteilung* — wszędzie panował język czeski i niemiecki.

Tam gdzie był Czech nie było wrzasku. Nie było popychania, nie było bicia. Czech który pilnował wejścia do łaźni, mruknął do mnie gdym przechodził: — Nie pij wody. — W pełni oceniłem tę wskazówkę, widząc później wokół mnie chorych, tych którzy po siedmiodniowej, niemal bez pożywienia wędrówce, nie umieli powstrzymać się od picia surowej wody. Czech, który spisywał moje dane personalne, w kilku ostrożnych, przyciszonych słowach dał mi również praktyczne rady jak należy się zachowywać i co robić aby nie „podpaść” pod kij esesmana czy kapo.

Dopiero później zorientowałem się że dwa bloki zamieszkałe przez Czechów emanowały inną atmosferą od panującej w obozie.

Mieszkali w nich głównie intelektualści, tuż przed wojną aresztowani przez Niemców i wywiezieni do Buchenwaldu.



Te pierwsze kontakty, proste i z konieczności prymitywne, ale na tle obozu jakże podnoszące na duchu, rozszerzyły się od chwili gdy zacząłem pracować w komandzie *Politische Abteilung*, którego kapo był Polakiem z Niemiec (Kowalski — obywatel niemiecki, dziennikarz, pod koniec wojny powołany z obozu do wojska) a *Vorarbeiterami* właśnie Czesi, przez których to *Kommando* głównie było obsadzone. Spokój i opanowanie, naturalny podszyty lekką ironią humor, łagodność i rozsądek w odnoszeniu się do ludzi, znajomość języków, zdolność radzenia sobie, wreszcie jak gdyby spontaniczna życzliwość — wszystkie te cechy poznałem w miarę upływu czasu i pozwalały mi one stworzyć sobie obraz narodowego charakteru Czechów. Kontakty moje z Czechami stały się przyjacielskie, oparte o wzajemne zaufanie. Pomimo zasadniczych różnic w przekonaniach politycznych. Moje były, pożałujcie Boże, bardziej niż proste. Ot, demokratyzm podszyty humanizmem, podparty atawistyczną niechęcią do Rosjan jako politycznej konstrukcji, do Niemców — z równie zrozumiałych powodów. Może jednak ów brak bezpośredniego zaangażowania w polityce pozwolił mi patrzeć jasno, już przed wojną, na sprawę Zaolzia czy Litwy. Może również ów brak zaangażowania pozwalał mi ze współczuciem i zrozumieniem przysłuchiwać się rozmowom Czechów, kalkulujących wyraźnie na „braterstwo” Rosji. Ciągoty Czechów, bardzo komunizujących w swej kalkulacji na ekonomiczną współpracę z ZSSR, pojmowałem również, wiedząc zarazem do jakiego stopnia są one iluzoryczne. Nie mogłem natomiast pojąć przesłanek logicznych, ciągle żywej nadziei, pozytywizmu politycznego, realizmu życiowego, ugodowości, rezygnacji Czechów. Wszyscy oni stawiali na Rosję. Ja nie mogłem.

Po wojnie jeden z mych czeskich przyjaciół został ministrem. Drugi ogłoszeniami w gazetach szukał mnie po świcie (przebywałem w Niemczech), prosząc bym zgłosił się do ambasady czeskiej w Warszawie. Innych przyjaciół chciałem odwiedzić w Czechach...

Upłynęło 25 lat. I oto teraz, poprzez zamożnością i porządkiem kwitnące Niemcy Zachodnie, jechałem do Czech, do mych przyjaciół.



Krótki, bo zaledwie miesięczny, pobyt w Czechach nie pozwo-

lił na nawiązanie ściślejszych stosunków z dawnymi towarzyszami. Dość specjalne warunki mego pobytu i warunki życia w Czechach, nie sprzyjały nawiązywaniu kontaktów. Jak wszędzie w krajach komunistycznych panowała największa ostrożność, której nie usiłowałem przełamać, by nie wprowadzać ludzi w trudną sytuację. Niesłuchanie rzadko spotykałem się ze spontanicznym odruchem, głośniejszym słowem oceny, z uśmiechem. Łatwo poznawalny jako obcokrajowiec, czułem się zawsze poza kręgiem społecznego życia, które tu jest określane tysiącem nie pisanych praw, zmierzających do zmniejszenia niebezpieczeństwa, grożącego człowiekowi ze strony państwa.

Najbardziej zwykłą postawą przechodnia jest jego doskonała niewrażliwość na to co go otacza. Przechodzący ulicą obcokrajowca nie widzi. Drugą cechą jest przyciszenie rozmów, rodzaj powściągniętej konspiracji wszystkich przeciw wszystkim. (To samo zauważyłem już w Polsce). Nатыkałem się w Czechach na grupy turystów rosyjskich. Mieli oni taką samą postawę, taki sam szyfr szeptanego wtajemniczenia, taką samą pełną obawy lakoniczność, zdawkowość, takie samo milczenie. Mimo ich dawnej, „szerokiej, ruskiej natury”. Gdy zdawało im się, że ktoś zwraca na nich uwagę, milkli. Zarazem Rosjanie stanowili wyspy otaczane wokół pustką przestrzeni bez ludzi, wyspy żałobne na skutek, z zasady, czarnych lub ciemnych ubrań marynarkowych bez jakiegokolwiek fantazji u mężczyzn jak również u kobiet, z reguły nijakich w wyglądzie.



Przekroczenie granicy czesko-niemieckiej wykazuje natychmiastowy spadek zamożności po stronie czeskiej. Tak jak po przekroczeniu granicy francusko-hispańskiej — niższy poziom życia u Hiszpanów, jak po przekroczeniu granicy francusko-niemieckiej — wyższy poziom życia u Niemców. Formalności graniczne są dość skomplikowane i przewlekłe. Ale ton rozmów ludzki.

Nawierzchnia dróg psuje się wyraźnie. Po fantastycznej gładziźnie *Auto-bahn* niemieckich, zaczyna się podskakiwanie na wybojach, kocie łby, katastrofalna nierówność na kolejowych przejazdach. Z zasady drogi są wąskie, co przy mocno sfalowanym terenie stanowi dodatkową, poważną przeszkodę w rozwijaniu szybkości.

Pytałem wielokrotnie dlaczego drogi są tak źle utrzymane. Zawsze otrzymywałem odpowiedź, że winne temu są gąsienice sowieckich czołgów, które przed dwoma laty dosłownie przeorały całą Czechosłowację. I że powoli sytuacja będzie się poprawiała.

Dwoje trzymających się za ręce dzieci wyszło mi naprzeciw, gdy wolnym krokiem zmierzałem po pustej ulicy do hotelu. Chłopiec miał może lat osiem, dziewczynka była o rok młodsza. Oboje bardzo schludnie ale zarazem ubogo ubrani. Chłopiec wyciągnął rękę.

— Może pan kupi? — spytał.

Spojrzałem. Był to prospekt-reklama, rozdawana darmo przez agencje. Miałem ją w samochodzie. Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

— To się może panu przydać — nastawał chłopiec.

— Ja już mam taki prospekt — rzekłem.

— To nic — upierał się chłopiec. — Gdyby pan zgubił, będzie drugi.

Wzięłem do ręki lekko wygniecioną ulotkę.

— A ile chcesz za nią? — spytałem.

Uczynił nieokreślony ruch dłońmi.

Patrzyłem na kartkę, patrzyłem na dzieci. To nie byli zawodowi żebracy. Zachowanie obojga, mimo nastawania, posiadało zasób kultury i godności osobistej. Forma zwracania się mówiła o inteligencji. Nie rozumiałem sytuacji. Pozostawało wyjąć portmonetkę i dać pieniądze. Co też uczyniłem.

I od razu nasunęło mi się bolesne porównanie z kilkorgiem dzieci z Gniezna, które, usmolone i obdarte, otoczyły mnie na ulicy wołając natarczywie o franki. I te, z Tczewa, gdzie zespół wyszkolonych wyrostków starał się drogą szantażu i groźby wymusić na mnie pieniądze.

— Kryzys ekonomiczny istnieje wszędzie — powiedział mi mój przyjaciel. — Ponad 100.000 ludzi, przeważnie inteligencja, wyjechało z kraju w ciągu ostatnich dwu lat. Na jej miejsce weszli oportuniści. Ci którzy stawiali na komunizm, na rządy partii, na schematyzm, ponieważ w żadnym innym porządku społecznym nie zdołaliby się utrzymać na powierzchni. Rosja zniszczyła nas najazdem oraz ustanowieniem hierarchii niezdolnej do rządzenia, ale za to ślepo wiernej dyrektywom z Moskwy. Jak manny z nieba potrzebujemy dewiz. Bez nich nie możemy otrzymać surowców. A bez surowców nie możemy wykonać zamówień od dawna opóźnionych. Istne błędne koło.

Postawiłem auto w końcu długiego szeregu wozów. Gdy wysiadłem podeszła do mnie ubogo ubrana kobieta, w średnim wieku.

— Pan z Francji? — spytała czystą francuszczyzną.

Skinąłem głową.

— Nie ma pan przy sobie dzienników lub periodyków francuskich już panu niepotrzebnych?

— Niestety. Nie przywoziłem ze sobą gazet.

— Jaka szkoda. Od tak dawna pozbawiona jestem dobrej lektury.

Pierwsze minuty wahania. Badanie się oczyma. U mnie obawa prowokacji. Nie, kobieta wzbudzała zaufanie.

Rozpytywałem. Kobieta była Czeszką, która lata młodości spędziła we Francji. Ongiś posiadała obywatelstwo francuskie, stracone na skutek wyjścia za mąż za Czecha. Razem przyjechali do Pragi. Poprosiłem ją o adres, obiecując w przyszłości wysłać prasę z Francji.

— Niech pan nie wysyła pism poważnych jak np. *Le Monde* i *Figaro*. Tego nie przepuszczą na granicy. Może uda mi się otrzymać *Match*, *Elle*...

Rozgadała się. — Życie tu jest nie do zniesienia — mówiła. — Nadzór panuje na każdym kroku. Podejrzliwość. Gdybym zdołała powrócić do Francji... Ale nie pozwolą...

Przygodnie rozmawiałem z lekarką w M. — Koszmar — powiedziała mi krótko. — Kraj Kafki.

*Union des Artistes* — wywieszka nad sklepem. W witrynach dużo obrazów o poziomie przewyższającym przeciętność. Należało skorzystać ze sposobności i porozmawiać z kolegami po fachu. Wszedłem do swego rodzaju galerii pełnej eksponatów. Sprzedawczyni rozmawiała z klientami, trojgiem osób zainteresowanych abstrakcyjną rzeźbą. Po chwili zwróciła się do mnie:

— Ja nie jestem klientem — rzekłem po francusku. — Chciałbym porozmawiać z kimś kompetentnym w sprawie nawiązania kontaktu z plastykami. Jestem malarzem, przyjechałem z Paryża.

— To będzie dość trudne w tej chwili — zmieszanie na twarzy sprzedawczyni było wyraźne.

— Dlaczego? Musi przecież istnieć jakieś biuro, godziny urzędowania...

— Jest tu sekretarz...

— Chciałbym z nim pomówić.

— Ale on o niczym nie wie...

— Proszę pani — rzekłem — nie ma w tym nic nadzwyczajnego że malarz chce pogadać o sprawach zawodowych z kolegami.

Do kogo mam się zwrócić w tej sprawie?

— To będzie trudne.

— To już słyszałem. Dlaczego?

— Z powodu lata. Ludzie powyjeżdżali...

— Wszyscy?

— Jest tu co prawda profesor... — wymieniła nazwisko.

— Niech będzie profesor.

— Ale on choruje...

— Więc może ktoś inny?

— Nie, nie widzę możliwości... — rozłożyła bezradnie ręce.

Cały czas trójka kupujących rzeźbę przysłuchiwała się w milczeniu lecz uważnie i ze zrozumieniem owemu dialogowi głuchego ze ślepym.

— Niech pani mi da jakąś radę — naciskałem, już dla zasady.

— Jest tu, o sto metrów dalej, galeria. Niech pan tam idzie.

Tam pana lepiej poinformują — wskazała ręką kierunek.

— *Gracias, señora. Es Usted muy amable* — z wściekłości przeszedłem na hiszpański. — Nie będę więcej zabierał czasu. *Hasta luego*.

— *Hasta luego* — niespodziewanie i z szerokim uśmiechem odpowiedział milczący dotychczas starszy mężczyzna, interesujący się abstrakcyjną rzeźbą. — *Y arriba España* — wziął mnie widać za Hiszpana.

Ni sto ni dwieście metrów nie doprowadziło mnie do galerii.

Przed Hradczynem w niedzielę. Orkiestra. Tłum siedzi i stoi milczący, zasłuchany. Widać wyraźnie reakcję na twarzach. Muzyka płynie jak miód... Wiem że nigdzie na świecie, tam nawet gdzie są wielkie tradycje, muzyka nie jest dawana i otrzymywana z taką emocją i jednocześnie z takim rygorem. Widzę wokół siebie publiczność skupioną i pełną respektu. Zarazem wykonanie utworu jest zdumiewającej czystości. Obok mnie stoi młody wysportowany człowiek. Jest skamieniały. Jedyne muskuł na twarzy drga mu bez przerwy. Smetana. Szmer Wełtawy w głosach skrzypiec. Ktoś starszy ociera oczy. Myślę że ta muzyka to już jedyna forma wolności. Złote trąby grające larum są teraz krzykiem płaczu. Szczęśliwa pieśń w której głosach wyzwala się gorycz. Koniec utworu znaczy się dyskretną falą aplauzu.

Znajomy mój, krawiec. Płakał wspominając straszne dni najazdu sprzed dwu laty. — Żle jest — mówił. — Nasza kłęska

jest stanem chronicznym. „Jak w Polsce” — pomyślałem. — Nie mogąc wyżyć z pracy — kontynuował — robotnicy szukają zajęcia ubocznego. Kwitnie czarny rynek. Kwitnie bumelanctwo. Ucieczki w godzinach pracy. Kierownicy tolerują taki stan rzeczy, pełni obawy przed presją z dołu, nawołującą do nieróbstwa.

Prywatne mieszkanie w jakim się znalazłem miało charakter robotniczy. Meble jak z Galeries Lafayette. Radio. Straszne fotografie-portrety. Złote gipsowe ramy. Landszaft jeden, drugi. Sztuczne kwiaty. Gospodarz wyraża niechęć do Dubczeka. — Nie powinien był zaczynać nie będąc pewnym wygranej, nie będąc politykiem — mówi. Wszedłem do salonu i usiadłem na pluszowej kanapie. Coś błysnęło. Dyskretnie przy pomocy szpilki wpiętej w obłę kształty mebla, portrecik człowieka pełnego skromności, o uśmiechu niemal kobiecym. Dubczek. — *Le gentil preux* — pomyślałem — z Bratysławy przychodzący do Pragi celem pokonania smoka Novotnego.

— Będzie miał proces? — pytam krawca.

— Po co? — odpowiada. — Jest chory. I bez znaczenia. Niepotrzebny wysiłek.

Felczer w szpitalu, który robi mi zastrzyk, opowiada: W czasie najazdu sprzed dwu laty jeden z rosyjskich żołnierzy zachorował na ślepą kiszkę. Dostał się do czeskiego szpitala. Tam okazało się że nie zdaje sobie sprawy z całokształtu sytuacji. Siostry, lekarze, w ciągu kilku dni uświadomili go całkowicie. Chłopak płakał ze wstydu. Po tygodniu przyszło NKWD. Zabrało rekonwalescenta. I bez sądu, w krótkiej drodze, rozstrzelało w najbliższym lesie.

Ktoś ze złym błyskiem w oczach opowiada mi fakt sprzed dwu lat: Cztery tanki rosyjskie stoją przed mostem. Dowódca ich, zdezorientowany podobno napisem 5 t. (pięć ton), poleca im przejechać most. Pod ciężarem tanków most załamuje się, tanki wpadają do wody, załoga tonie.

— Rozumiesz, to nie jest opowieść. To mnie się zdarzyło, mnie osobiście — mówi mój stary znajomy. — Jechałem autem z fabryki do domu. Był wieczór, śpieszyłem się. Ale musiałem się

zatrzymać. Lotny, rosyjski patrol zaczął przeszukiwać wóz. Szukano, wywracano wszystko. Wreszcie polecono mi jechać. Lecz w ostatniej chwili ponownie zażądano klucza od bagażnika. Dałem, nie ruszając się już od kierownicy. Otworzono z tyłu bagażnik, coś tam robiono, wreszcie z powrotem oddano mi klucz.

— *Uchadi!* — krzyknęto.

Pojechałem. Lecz po stu metrach zatrzymałem się. Po co mi majstrowano w bagażniku? — myślałem z niepokojem. Wysiadłem, otworzyłem i zobaczyłem worek z nowiusieńką bronią. Na worku napisy niemieckie. Stemple. Zastanowiłem się co robić. Zdecydowałem się wyrzucić worek z bronią do rowu. Gdy ujechałem kilometr, znowu mnie zatrzymano. Drugi lotny patrol rosyjski. Zażądano klucza. I wprost do bagażnika. Długą chwilę ocierałem pot z czoła.

— Prowokacja?

— Ano. Za wszelką cenę starano się wtedy zdobyć namacalne „dowody” mające wykazać słuszność pogwałcenia czeskich granic. Szukano dróg usprawiedliwiających zamierzaną masakrę. Szczęście myśmy zastosowali postawę Szwejka.



— Ze wszystkich państw wschodniego bloku Czesi byli najbardziej przekonani komunistami, patrzyli na Rosję z podziwem i przyjaźnią — mówi do mnie Frantisek. — Dziś są jej nieubłaganymi wrogami. I umieją czekać. Raz już tak czekali. Ponad dwieście lat. Od czasu Białej Góry. Cierpliwość jest naszą narodową cechą.



Ogromny hotel zamieszkały głównie przez Rosjan. Błądzą po korytarzach, piętach, chcąc własnym przemysłem trafić do właściwych drzwi. Nie udaje mi się to. Natomiast przez dłuższy czas przyglądam się luksusowi urządzenia wewnątrz, podziwiam jakość obrazów na ścianach, puszystość chodników i dywanów. Wreszcie niecierpliwie się. Z daleka dostrzegam czekającą na windę pokojówkę. Zbliżam się do niej szybko. Obrócona do mnie tyłem nie słyszy mych kroków stłumionych dywanem. Zaczynam mówić.

Odwraca się gwałtownie. Już nie strach a przerażenie w oczach. Usta półotwarte do krzyku.

— *Wy gawaritie...?* — pyta mnie po rosyjsku.

— *Ja nie gawariu pa ruski* — odpowiadam mimowoli szorstko. — Możecie do mnie mówić po francusku, po niemiecku, po czesku wreszcie, jak chcecie...

Strach mija. Twarz rozjaśnia się, różowieje. Jest to zupełnie

ktos inny. Chętnie udziela mi informacji. Jest mi za coś głęboko wdzięczna.



Plomba której niespodziewanie brak w zębie. Czekam chwilę w poczekalni. Dentysta który mnie przyjmuje jest człowiekiem starym. Robi wrażenie wypranego z życia, z zainteresowania tym co robi. By nie stwarzać utrudnień natury, powiedzmy, psychologicznej (niechęć do Polaków), mówię po francusku. Porozumiewamy się z dużym trudem. Dentysta nie zdradza żadnej ochoty do wyjścia mi naprzeciw. Przypadkiem w mą francuszczyznę wplątałem słowo hiszpańskie. Dentysta ożywia się. Staje się nagle ludzki.

— *Señor habla español?*

— Tak, trochę.

— Możemy mówić w tym języku.

Jestem oszołomiony. Ale, oczywiście, trudno mi pytać o szczegóły gdy mam usta zablokowane błyszczącymi stałą przedmiotami. Po chwili jednak dialog rozwija się. Podaję kilka szczegółów z mego życia. Dentysta opowiada o wojnie domowej w Hiszpanii. Brał w niej udział. Był na froncie. Na wszelki wypadek nie pytam po której stronie. Wywołujemy obrazy miast Hiszpanii. Rozstajemy się po przyjacielsku, podając sobie ręce. Z całą stanowczością odmawia wzięcia pieniędzy za usługę.

— Spotykałem się z Hemingway'em — mówi na pożegnanie. — I później, po latach odwiedziłem jego dom, na Kubie.



W piwiarni, w Pilźnie, siedzieliśmy w kilkoro przy długim stole, naprzeciw nas trzech Czechów. Taki tam jest demokratyczny obyczaj. Rozmawialiśmy. Reakcja Czechów zastanawiała mnie. Jakby nie słyszeli. Zupełny brak zainteresowania obcokrajowcami był przeciwny memu doświadczeniu turysty. Czegoś podobnego nie uświadczysz w Niemczech, we Francji, w Hiszpanii, nawet w dzisiejszej Polsce. Trzej Czesi, z rzadka szeptem przerzucając się słowami, pili piwo.



Ważnym jest powiedzieć o czarnym rynku stanowiącym rodzaj wentyla, bez którego dla wielu ludzi życie byłoby nie do pomyślenia. Do Czech paczek wysyłać nie można ze względu na prohibicyjne cło. Takie samo prohibicyjne cło płaci się od paczek wysyłanych z Czech. Ponadto od lat Czechy ograbiane są przez pewną kategorię turystów. Korzystając z różnicy kursu turyści

wykupują dosłownie wszystko. Pierwszym pytaniem celnika na granicy gdy wyjeżdżałem było: — *Les antiquités?* — Pokazałem mu smakołyk z Karlovych Varów — opłatki z czekoladą.



W szkole podstawowej nauczycielka zapytuje:

— Kto z was powie mi co ważnego stało się dwa lata temu, 20 sierpnia 1968 roku?

Chwila wahania. Po czym jeden z uczniów podnosi rękę.

— Tego dnia nasi okupanci nas uwolnili.



Fakt. Czterdziestu wzorowych studentów, w nagrodę za doskonałą całoroczną pracę, otrzymało możliwość wyjechania autobusem za granicę. W Wiedniu wszyscy poprosili o azyl. Autobus z szoferem odesłali. Z kartką: „Praca się opłaciła”.



— Cóż to jest partia komunistyczna dzisiaj? — mówi z goryczą stary robotnik. — Grupa która panuje nad krajem, tworząc się przyciągająca, wciąż atrakcyjniejszą dla egoistów żądnych władzy, dla tchórzów żerujących na podobieństwo hien i dla tych co mają ciemną przeszłość.



Na drogach czeskich, a zwiedziłem ich sporo, zastanawiająca ilość aut-antyków. Spotykałem typy i marki sprzed pierwszej wojny światowej. Istne muzealne eksponaty. Trochę motocykli, przedziwnie opancerzonych, jadących z szybkością 30 km. na godzinę. Podziwiam zdolność Czechów do uruchomienia gratów wyciąganych ze śmietnika. W Pradze, na jednej z ulic, szerokiej i pustej, zobaczyłem kiedyś bardzo stare auto, rozebrane na części. Motor, skrzynka biegów, chłodnica, wał korbowy, wszystko w porządku ułożone na bruku. Była dwunasta, naprawiający wehikuł jadł zapewne obiad. Podniszczona geografia dróg odpowiada tu geografii wozów pamiętających panowanie króla Karola IV.



Mała scena godna pióra Gogola. Dwu zażywnych policjantów idzie ulicą. Do jednego z nich, trzymającego ręce z tyłu, podchodzi z objawami żywej radości i z wyciągniętą przyjaźnie dłonią człowiek, z ubrania i zachowania sądząc, należący do *middle-class*. Zwolna uśmiech człowieka staje się coraz bardziej zakłopotany, wymuszony, ręka zawisła w powietrzu zaczyna się chwiać. Czło-

wiek ciągle coś mówi, tłumacząc, przekonywując. Gruby mundurowiec, rzucając pytania, patrzy na rozmówcę wzrokiem, w którym dostrzegam wyraz całkowitej pogardy, zmieszanej z zaciekawieniem naukowca przyglądającego się nieznanemu sobie gatunkowi robaka. Ręce policjanta nie odrywają się od pleców.



— Był tu pożar — posępnie mówi do mnie stara kobieta — zło miało być wypalone. Ale oni go ugasili.



— ... stosunki międzyludzkie są tu skrzywione. Zatraciliśmy smak pracy — mówi mi ktoś inny.



— ... zostaliśmy okradzeni z radości pracy. I tego im nie zapomnimy — to znowu konduktorka kolejki linowej.



Istnieje pewne podobieństwo między usiłowaniami Dubczeka a rewolucją ludową w XV wieku, kiedy to, przemieniony słowami Jana Husa, Czech usiłował osiągnąć niemożliwe — utworzyć społeczeństwo bez klas, zbudować komunizm wzorowany na nauce Chrystusa.



Zwiedzałem Jachymov, gdzie wszystko mówi o starych kopalniach srebra, z którego wydobywaniem związana tu jest historia monety halerz (istniejącej do dzisiejszego dnia). To halerz — *thaler* — talar dał początek amerykańskiemu dolarowi.



Czasem wydaje mi się, wbrew absurdalności tego rodzaju wniosków, że Józef Szwejk jest bliskim kuzynem Josepha K. (Kafka). Obaj urodzili się pod niebem Pragi, obaj, choć na różny sposób, walczyli z irracjonalnością świata, obaj rezonerzy, lekko otyli, o krótkich nogach. Może kiedyś, w księżycową noc, przy świetle lamp, minęli się na moście Karola. Józef Szwejk prowadzony przez żandarmów na kordegardę za dezercję, Joseph K. wiedziony przez „dwu” w melonikach, z których jeden gdzieś

na rozkopanym po dziś dzień przedmieściu pchnie go w serce nożem, jak psa.

Z tego co oglądam, rośnie we mnie wrażenie ogólnego znużenia. Tym znużeniem przesiąknięty jest każdy gest, niemal każde słowo.

W tym małym mieście pochód, idący ulicą z pankartami i wywieszonymi flagami — przypomina wszystkie podobne uroczystości. Orkiestra, coś między zespołem Cyganów i karawaniarzy, grała marsza. Twarze idących były zamknięte, obojętne. Nie mogli uciec od tej patriotycznej pańszczyzny — zdradzały to ich oczy. Był to szyderczy absurd, ponura farsa grana przez zrezygnowanych aktorów, senna stagnacja tłumy, którego z odrętwienia obudzi dopiero kufel piwa i „knedliczki”.

Jak we wszystkich krajach socjalizmu zaopatrzenie żywnościowe wydaje się podlegać kaprysom paranoicznego grosisty. Z jednolitym nadmiarem arbuzów czy bananów idzie w parze brak mięsa, nieraz brak soli. Rynek zalany jest orzeszkami z Marokka ale nie ma warzyw. Ludzie skazani są na jedzenie „knedliczków” oraz ciastek wielkością przypominających młyńskie koła.

Jest zadziwiające w jak krótkim czasie ZSSR zdołał Czechów — związanych z Rosją pępowiną serdecznego panslawizmu i podziwem dla „wielkiego brata” oraz wdzięcznością za obronę — odmienić w naród zionący nienawiścią, pełną ironicznej pogardy i symulowanej głupoty Szwajjka.

W tych zwiedzanych kościołach i budynkach ani jednej linii prostej, ani jednej powierzchni unieruchomionej, ani jednego planu architektonicznego, znajdującego się w spokoju. Wszystko unosi się lub opada. Wszystko jest w ruchu, w biegu, niepohamowane. Rzeźby świętych tańczą na cokołach, portrety wyrwywają się z ram. Wszystko skręcone w ruchu, przyprawiające o zawrót głowy, o morską chorobę. I to wszędzie... W miastach i na wsi. Tu po raz pierwszy widziałem barok wiejski w takim nasileniu. Dzwonnice i wieże w formie cebul, wejścia pod szerokimi konwulsyjnie skręconymi frontonami. Fasady, choć płaskie, bez balkonów, ozdobione

nadmiarem ornamentacji. A wszystko malowane na szaro, różowo, zielono, pomarańczowo. A przede wszystkim na kolor „caca”.

Spokojny Czech, wielki mistrz szwejkowskiej ironii, zasiadł chwilowo w fotelu, kontynuując dyskretnie opozycję. Czy kiedykolwiek jeszcze zdolny będzie do wybuchu Żiżki?

Epitafium zmarłego tragicznie poety, napisane przez niego samego na dzień przed zgonem:

*Tu spoczął Jiri Wolker, poeta, zakochany w świecie  
Wyruszywszy aby się bić i zdobywać swą prawdę,  
Młodo on pomarł mając zaledwie lat dwadzieścia cztery  
I nie zdołałszy nawet wydobyć swego serca do walki.*

Ciekawe że antysemityzm w tym kraju czerpie swe siły nawet z braku materii.

Jak w Polsce. Dziesiątki, setki sklepów zamkniętych, opuszczonych, pełnych kurzu i pajęczyn na żelazie krat. Wyglądają jak wyrwane zęby w perspektywie ulicy, która się nie uśmiecha.

Jak w Polsce. Tam to się nazywa remanent. Tutaj *inventura* — wymyślna tortura państwa w stosunku do obywateli, znaczonej wywieszka z kartonu kołyszącego się na wietrze. Trwa nieraz tydzień.

Jeszcze jeden z dowcipów nieporównanego Szwajjka. Wszędzie wywieszono napisy: „*Se Sovětským svazem na věčné časy a nikdy jinak*”, „*Varšavská smlouva — záruka bezpečnosti a klidu*”. Prócz mnie nikt na te paski papieru nie zwraca uwagi.

Tu bywał Gerard de Nerval i Apollinaire, i po tym mieście błędził Żyd Wieczny Tułacz, „przechodzień w Pradze”. Tutaj rzeczywistość przemienia się w marzenie a marzenie w koszmar i fantasmagorię. Do dzisiejszego dnia Praga nie zdolna jest zapomnieć iż stanowiła ostatnią przystań romantyzmu niemiecko-żydowskie-

go. Gdy błądzisz po niej wieczorem, samotne duchy przeszłości biorą cię za rękę i prowadzą w wąskie zaułki Małej Strany, te duchy które już na zawsze zostały obywatelami Złotego Miasta. Są one u siebie na sławnym tysiącletnim cmentarzu żydowskim, którego tłumy kamieni nagrobnych kołyszają się w nieustającej modlitwie tego ludu, będącego zawsze w walce i sporze z całym światem i ze swym Bogiem. Na tym cmentarzu spoczywa rabbi Löw, twórca Golema — Zielonej Twarzy. Gdy ratuszowy zegar wybija godzinę północy i apostołowie, przechodząc, kłaniają się pustce ulicy, biedny student spotyka się na splekanych kamieniach bruku ze swym lucyferycznym sobowtorem. Praga, „matka i miasto Izraela”. Nie tylko Rilke — tu żyli i pracowali Werfel i Kafka i Kisch i Brod i Fuchs i Weisskopf i Meyrinck i Winder i tylu, tylu innych. Tu z pułapów sklepień spadają na widza Jagiellońskie orły. Miasto jedyne w świecie. Ojczyzna poetów.

Władysław SZRENIAWA

## W sowieckiej prasie

Rosyjska literatura ma wszystkie powody do radości. Na przestrzeni ostatnich dwunastu lat po raz trzeci pisarz rosyjski otrzymuje nagrodę Nobla. W 1958 — Pasternak, w 1965 — Szołochow, w 1970 — Sołżenicyn. I znowu, jak dwanaście lat temu, decyzja szwedzkiej Akademii Nauk wywołała radość u wszystkich, którzy lubią prawdziwą literaturę, u wszystkich którzy wierzą w jej misję, natomiast złość u wszystkich urzędników — partyjnych i literackich.

Reakcja oficjalnych kół sowieckich na przyznanie Aleksandrowi Sołżenicynowi nagrody Nobla jest przede wszystkim ciekawa z tego powodu, że pozwala ocenić wewnętrzne przemiany, które nastąpiły w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Nagrodzenie „Doktora Żiwago” wprawiło w ruch cały wszechmocny sowiecki aparat — partię, komsomoł, władze państwowe, policję. Sam wódz, w tym okresie był nim Nikita Chruszczow, brał aktywny udział w „walce z Pasternakiem”: krytykował, wymyślał, straszył. Wszyscy byli zmobilizowani. Na zebraniach odbywających się w całym kraju z oskarżeniem Pasternaka występowały pisarze, ministrowie bezpieczeństwa i dożarki. Zdawało się, że kraj oszalał. Można było pomyśleć słuchając przemówień, czytając artykuły w gazetach, że Związkowi Sowieckiemu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nieprzyjaciel u wrót. Wrogiem tym był skromny doktor, wybitny poeta — Jurij Żiwago.

Ale minęło dwanaście lat i wszystko się zmieniło. Jak się okazało minione lata wiele nauczyły sowieckie kierownictwo. Przede wszystkim zrozumiało ono, że „Doktor Żiwago” to nie była taka straszna książka. W okresie oskarżania twórczości Sołżenicyna przez sekretariat Związku Pisarzy Sowieckich, w sierpniu 1967 roku, jeden z sekretarzy Związku, Aleksiej Surkow, szczerze powiedział „Utwory Sołżenicyna są dla nas niebezpieczniejsze od Pasternaka...” i kontynuował: „Jeśli 'Pawilon chorych na raka' będzie opublikowany, ta książka może być wykorzystana przeciwko nam i będzie groźniejsza od pamiętników Swietłan”.

Tym niemniej nagrodzenie Sołżenicyna prasa sowiecka pokwitowała bardzo skromnie. Znalaziono formułę: przyznanie nagrody Nobla autorowi „Pawilonu chorych na raka” i „W kręgu pierwszym” to „nieprzyzwoita zabawa” szwedzkiej Akademii, która poszła na pasku imperialistów. Tak pisały *Izwestia*, takimi też słowami skomentowała wiadomość *Litieraturnaja Gazieta*. I to wszystko. Nie wymyślają Sołżenicynowi od „świni paskudzącej swój dom”, jak mówił o Pasternaku szef sowieckiej policji, nie powtarzają nawet oskarżeń o brak psychicznej równowagi pisarza (redaktor *Prawdy* nazwał szereg lat temu Sołżenicyna „schizofrenikiem”).

Nie wykluczone, że Sołżenicyn będzie mógł pojechać do Szwecji, dla odebrania nagrody. Co to znaczy? Czy znaczy to, że Breżniew and Co. uczą się na błędach Chruszczowa? Czy, jak twierdzi Amalrik, świadczy to o zesterzeniu, osłabieniu reżymu?

Słonny jestem przypuszczać, że działają tu oba powody, z tym że w większym stopniu drugi. Skleroza reżymu przejawia się specjalnie w fakcie, że coraz jest trudniej podporządkować sobie pierwszą w historii Związku Sowieckiego grupę związaną kastowymi interesami, domagającą się dla siebie określonych swobód, których nikt inny w kraju nie posiada. Mam na myśli uczonych.

Ślady gwałtownej, podziemnej walki, która się toczy między uczonymi, a partyjnym kierownictwem można czasami odnaleźć i w prasie. W poprzednim numerze *Kultury* zwróciłem uwagę czytelników na artykuł, ogłoszony w piśmie *Sowieckaja Rossija*, ostro krytykujący uczonych, żyjących i pracujących w głośnym Akadiemgorodkie pod Nowosybirskiem. W ostatnich dniach w *Prawdzie* można było znaleźć, w pewnym sensie, epilog historii z Akadiemgorodkiem. Z wyciągnięciem — jak by to można było określić — praktycznych wniosków przez władze. Były kierownik literacko-artystycznego klubu Akadiemgorodka, Michaił Makarenko, został skazany przez moskiewski sąd miejski na 8 lat więzienia. Został skazany za „antysowiecką działalność”, chociaż w *Prawdzie* nazywają go „żulikiem”, „spekulantem” itd.

W klubie Akadiemgorodka, którym kierował Makarenko, występował ze swymi pieśniami Bułat Okudżawa i Aleksander Ga-



licz, wystawiali swoje obrazy malarze moderniści, którzy nie mieli prawa tego robić. Akademiemgorodok stał się przez pewien czas prawdziwą oazą artystycznej swobody. Makarenko zrobił się do tego stopnia „bezczelny”, że zaczął korespondować z Marc Chagallem projektując zrobienie w klubie jego wystawy (korespondencję z Chagallem sąd uznał za okoliczność specjalnie obciążającą). „Oaza swobody” została zlikwidowana. Ale niedługo przedtem uczeni odnieśli zwycięstwo, którego nie przekreśliło nawet skazanie Makarenko.

Grupie uczonych (w ich liczbie byli akademicy Sacharow, laureaci nagród noblowskich Tamm i Siemionow i nawet członek KC, prezydent Akademii Nauk ZSSR, Kiełdysz) udało się uzyskać zwolnienie z kliniki psychiatrycznej wybitnego biologa Jauresa Miedwediewa, autora szeregu książek rozpowszechnianych przez „samizdat”. Można nawet przypuszczać, że Makarenko w jakimś sensie zapłacił, za uwolnienie Miedwediewa.

Uczeni bronią tymczasem tylko „swoich”. Władzom bezpieczeństwa pozostaje jedynie wyżywanie swojej furii na „nieuczonych” obywatelach sowieckich. Ale, jeśli jakaś grupa ludzi uzyska w Związku Sowieckim choćby małeńki zakres praw, czy nie będzie to oznaczać zmiany samej istoty ustroju?

Świadectwem rosnącego znaczenia nauki w społeczeństwie sowieckim była uwaga, poświęcona uczonym przez prezydenta Pompidou w czasie jego pobytu w Związku Sowieckim. Prezydent Francji odwiedził Akademiemgorodok nie licząc się z tym, że jak pisali korespondenci *Le Monde*, ożywione kontakty mieszkańców Akademiemgorodka z cudzoziemcami wywołują niejaki niepokój w określonych kołach w Moskwie. I chociaż — pisali korespondenci — było jasne, że wizyty prezydenta Pompidou nie można było traktować jako potencjalnego niebezpieczeństwa zarażenia sowieckich uczonych, to jednak wszystkie środki ostrożności zostały zastosowane. Tym niemniej prezydent Pompidou oglądał Akademiemgorodok i zetknął się z uczonymi. Zdziwiał, że powróciwszy do Moskwy, po odwiedzeniu Uzbekistanu, Pompidou znów odwiedził uczonych, tym razem w Akademii Nauk. I tam wygłosił przemówienie, które niezmiernie uradowało sowieckich uczonych. Mówiąc o osiągnięciach nauki sowieckiej prezydent Francji wyliczył nazwiska sowieckich uczonych, laureatów noblowskich, a zaraz potem wymienił nazwiska tych uczonych, którzy są godni tej nagrody, a wśród nich również nazwisko akademika Sacharowa, głośnego nie tylko z powodu swoich osiągnięć naukowych, ale również z powodu „memorandum”, które nazywa się „Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej”<sup>1</sup>. Nie mówiąc już o tym, że wspomnianie o nagrodzie Nobla w pięć dni po jej przyznaniu Sołżenicynowi było równoznaczne z mówieniem o sznurku w domu powieszono.



1) Wydane w Bibliotece „Kultury”.

Pomoc uczonych jest niezbędna Związkowi Sowieckiemu, jeśli chce on wyjść z ekonomicznego zastoju, w którym się znajduje. Mimo wszystkich swoich sukcesów druga przemysłowa potęga w świecie nadal pozostaje krajem eksportującym surowce, a importującym towary przemysłowe. Wystarczy wskazać, że w eksporcie sowieckim do Niemiec Zachodnich surowce i półfabrykaty wynoszą 80 %, przetwory żywnościowe 12 %, a tylko 2 % wyroby przemysłowe. Ekonomiści twierdzą, że jednym z głównych powodów zacofania jest niska wydajność pracy. Inżynier Ju. Burykin poświęcił temu zagadnieniu wielki artykuł w ostatnim, 9 numerze miesięcznika *Oktiabr*. *Oktiabr* nigdy nie był zwolennikiem reform ani zmian w istniejącym systemie. Tym ciekawszy jest ten artykuł, w którym inżynier, kierownik fabryki, tłumaczy powody niskiej wydajności nie złą pracą robotników (zostawimy już na jego sumieniu twierdzenie, że „jeśli postawi się w jednakowych warunkach robotnika amerykańskiego i rosyjskiego nasz w tym samym czasie wyprodukuje więcej”), a złą robotą kierownictwa.

Burykin twierdzi, że przeszła już epoka kierowników, którzy uważali, że „podwładni powinni się bać naczelnika i że w zakładzie przemysłowym powinna rządzić żelazna ręka”. Zamiast „żelaznej ręki” kierownik — zdaniem autora artykułu — powinien mieć wiedzę. Przy czym wiedzę tę należy czerpać od Amerykanów. Burykin z uznaniem podkreśla fakt przekładu na język rosyjski wielotomowego amerykańskiego „Kursu dla wyższego kierowniczego personelu”. Żałuje, że zrobiono to dopiero w 1970 roku, mimo że „Kurs” ukazał się w 1964 i przypomina, że w latach dwudziestych w Związku Sowieckim wyszły książki Forda, Taylora i innych amerykańskich specjalistów od organizacji pracy. Trzeba znów udostępnić te książki kierownikom przedsiębiorstw.

Burykin przyznaje, że sama wiedza nie wystarcza. Potrzebna jest tzw. materialna baza. Na przykład większość sowieckich inżynierów nie bardzo dowierza automatyzacji i mechanizacji. Nazywają je „kalif na czas”. I rzeczywiście. Wystarczy uszkodzić jakiś drobiazg i automat jest unieruchomiony na długie godziny, dni, jeżeli nie miesiące. I wtedy na pomoc przychodzi „stachanowiec”, człowiek, który będzie pracował tyle ile potrzeba, dzień i noc, przekraczając plan na setki, a czasem i na tysiące (!) procentów. O tym, że nie mniejsza się potrzeba tej „partyjnej” techniki świadczą sowieckie gazety, w ostatnich dniach piszące o odznaczeniu orderem Bohatera Socjalistycznej Pracy — Aleksieja Stachanowa, który 35 lat temu wydobył 102 tony węgla na jednej zmianie przy normie 7,5 tony. Ruch stachanowski stał się świetną metodą wyciskania soków z sowieckich robotników. Po każdym rekordzie następowało powiększenie robotniczych norm. Strach przed tym zachował się nie tylko u robotników, ale i wśród kierowników przedsiębiorstw.

W całym Związku był głośny „szczekiński” eksperyment. W chemicznym kombinacie w Szczekino pozwolono dyrekcji zmniej-

żyć ilość robotników, a w wypadku zwiększenia wydajności pracy powiększyć robotnikom i pracownikom płace. Ilość robotników była zmniejszona o 10 %, wydajność pracy zwiększyła się o 22 %.

Ale inne przedsiębiorstwa nie spieszą się (nawet jeśli im pozwalają) by pójść śladami szczekińskich eksperymentatorów. Burykin wyjaśnia to bardzo prosto. Boją się, że po pewnym czasie zwiększoną wydajność pracy zrobią normą i później zmuszą do większej pracy za mniejszą płacę.

Jeśli ktokolwiek chciałby w niewielkim artykule zobrazować panującą w partii atmosferę niepewności, niejasności, braku wyraźnej linii, to nie mógłby wymyślić niczego lepszego od artykułu ogłoszonego 5 września w *Prawdzie*. Artykuł ten nazywa się „Drogi ku prawdzie. Uwagi o ateistycznej propagandzie”. Jego autorem jest M. Andrianow, rektor Społecznego Instytutu Badań Socjologicznych przy Pskowskim Komitecie Miejskim KPZS, kandydat nauk filozoficznych.

Wszystko w tym artykule jest dziwne. Zaczynając od tytułu „Drogi prawdy”. Nie jedna droga, a szereg „dróg”. A przecież przez cały czas była tylko jedna. Co się stało? Poza tym — Instytut *Socjologicznych Badań przy Komitecie Miejskim KPZS-u*. Po co partii, która wie wszystko, jakby to powiedzieć *ex officio*, potrzebna socjologia?

Sam artykuł wątpliwości nie rozwiewa, prędeż je pogłębia. Często słyszy się stwierdzenia — rozpoczyna Andrianow — o powszechnym kryzysie i głębokim upadku. Ale — kontynuuje — „jeśli polegać nie na intuicji, ale na konkretnej analizie życia duchowego, to bez przesady można powiedzieć, że przedwcześnie jest krzyknąć o sukcesie”. W szczególności wynika z artykułu, że według danych partyjnego instytutu 12-13 % mieszkańców Pskowa uważa się za wierzących. Prawie wszyscy — i to może jest najciekawsze — „uważają religię za uniwersalny środek moralnego wychowania”.

„Wyniki badań socjologicznych — melancholijnie kończy autor artykułu — pobudziły naszych pracowników ideologicznych do zasadniczego przestawienia działalności”.

A co będzie jeśli socjologowie, choćby nawet partyjni, zaczną badać inne działy ekonomicznego, kulturalnego czy duchowego życia sowieckich obywateli? Czy także zaczną się przeorganizowywać?

Pięćdziesiąt trzy lata antyreligijnej propagandy nie potrafiły zniszczyć w świadomości ludzi wiary w Boga. Pięćdziesiąt trzy lata najcięższego terroru nie potrafiły zlikwidować przestępczości. *Prawda* z 1. X. ogłosiła list do redakcji moskiewskiego szofera, I. Smirnowa, który jasno, po męsku oświadcza: „Jest mi głęboko obca idea przeszkolenia antysocjalistycznych elementów. Poskromienie i likwidacja — to jedynie prawidłowa metoda postępowania z przestępcami”. Na tle takich poglądów *Prawda* może ucho-

dzić za przedstawicielkę humanitaryzmu i miłosierdzia. Doktor nauk prawnych Ju. Tkaczewskij łagodnie karci szofera Smirnowa i czterokrotnie powołując się na słowa Lenina wyjaśnia, że likwidacja przestępców jest rzeczą dobrą, Władimir Iljicz także był zwolennikiem kary śmierci, ale są potrzebne i bardziej „miękkie” wymiary kar.

Artykuł kończy się niezwykle wymownie: „Jeżeli przestępczość można byłoby zlikwidować tylko zaostreniem kar, to dawno by już nie istniała”.

Adam KRUCZEK

Wychodzący w Nowosybirsku miesięcznik *Sybirskie Ognie* w nrze 8-ym, w artykule O. Aleksandrowej poświęconym Muzeum w Irkucku, donosi o projekcie restaurowania polskiego kościoła w Irkucku, który został zbudowany w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. W budynku tego kościoła ma być otwarte muzeum polskich zesłańców po powstaniowych. Inicjatorami Muzeum jest N. F. Sałackij, przewodniczący Gorsowietu m. Irkucka i prof. S. W. Szostakowicz. Ta ciekawa inicjatywa niewątpliwie spotka się z życzliwą pomocą ze strony polskiej.

## NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-  
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIENIE POLSKĄ RWE ZE  
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-  
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.  
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS  
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-  
wienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

„Bruksela chce zostać stolicą Europy. W rzeczywistości jednak tylko z wielkim wysiłkiem udaje jej się utrzymać pozycję stolicy podzielonego kraju...”

„Większość Europejczyków nie wybrałaby naturalnie Brukseli na swą stolicę. Skupia ona najbardziej merkantylne, nieprzyjemne, najbardziej burżujskie i nudne cechy kontynentu... Równocześnie jednak Bruksela najbardziej odpowiada wizerunkowi stolicy Europy”.

Te wyjątki z opinii dwóch dziennikarzy zagranicznych o Brukseli, nie powinny czytelnika źle usposabiać wobec tego dziwnego miasta. Gdyby np. Warszawę tak „otworzyć” i przeorać jak to obecnie uczyniono z Brukselą, zasumieliby na Marszałkowskiej, a propaganda i agitacja mogłyby ożywić dość ostatnio jednostajną tematykę, sprowadzającą się do hamulców inwestycyjnych, braków na rynku, alkoholizmu, chorób wenerycznych, no i dywersji ze szczególnym uwzględnieniem syjonizmu. Po Brukseli coraz trudniej jeździć samochodem, a jeszcze trudniej chodzić. Pozostają tramwaje, których już prawie nie ma, i metro, którego jeszcze prawie nie ma.

Belgowie mieli właśnie okazję do wyrażenia swojego zdania na temat jakości gospodarki komunalnej. 11 października odbyły się wybory do rad miejskich. Mają one w Belgii ogromne uprawnienia. Każda np. z 19 gmin, z których składa się Bruksela, mimo wyraźnej jednolitego charakteru aglomeracji stołecznej, zazdrośnie strzeże swej suwerenności. Nie ma policji ogólnostołecznej, a jest tylko „gminna”, co prowadzi często do gwałcenia suwerenności komunalnej, kiedy policjant z jednej gminy ściga złodzieja na terytorium obcym, bez specjalnego zezwolenia. Przesadne przywiązanie do samodzielności w tej dziedzinie zostało skutecznie osłabione przez serię malowniczych napadów bandyckich, których autorzy nie brali pod uwagę podziałów terytorialnych i kradli niejako ponadsuwerennie.

Wróćmy jednak do wyborów. Mimo nadania im charakteru szerokiego politycznego referendum na temat rządowego projektu zasad współżycia między Wallonami, Flamandami i Brukselczykami, sprawy komunalne odegrały sporą rolę. Z niewielkimi mianowicie wyjątkami, Belgowie, których do udziału w głosowaniu zmusza konstytucja, wybrali ponownie burmistrzów sprawdzonych już jako dobrych gospodarzy.

Emocji było bardzo dużo, zwłaszcza na czoło ugrupowanie lansujące hasło zdecydowanej obrony frankofońskiego charakteru stolicy. Wybory poprzedzone zostały niesłychanie hałaśliwą kampanią propagandową, a nerwy były tak napięte, że doszło nawet do niezwykle rzadkiego w tym kraju wypadku politycznego zabójstwa. Wszystkim było potem bardzo przykro, tym bardziej, że nikt nie miał wątpliwości, iż sprawcy, członkowie ekstremistycznego ugrupowania flamandzkiego, nie mieli aż tak złych zamiarów.

Wszystkie te napięcia i emocje nie udzieliły się sporej kolonii zagranicznej, dla której Bruksela nie jest zbiorem 19 komun, ani nawet stolicą Belgii, a jest istotnie stolicą Europy. Od 1958 roku Bruksela jest siedzibą władz Wspólnego Rynku, a od 1967, czyli od wygnania z Francji, NATO też się tutaj zmieściło. Te dwie instytucje ściągnęły naturalnie sporo innych: niektóre państwa mają tu teraz aż po trzy ambasady, działają tu rozmaite, mniej lub bardziej kamuflowane „grupy nacisku”, Bruksela jest siedzibą władz 375 wielkich organizacji i stowarzyszeń międzynarodowych oraz zarządów 1.200 trustów, holdingów, banków i innych okropnych przedsięwzięć.

Fachowcy obliczyli, że w Brukseli żyje ok. 30.000 obcokrajowców i to żyje nie najgorzej, jako że brano w tej statystyce pod uwagę jedynie osoby o dochodach poważnie wyższych od przeciętnych. Wydają te „nieprzeciętne” osoby, nie licząc komornego, ok. 10 miliardów franków belgijskich rocznie czyli ok. 200 milionów dolarów. Mała to rzecz, ale cieszy, i Brukselczycy skłonni są wybaczyć obcokrajowcom ich brak zainteresowania dla wyborów komunalnych, jeżeli tylko ulegają oni tu na miejscu i w rosnącym stopniu pokusom społeczeństwa konsumpcyjnego.

Jednak fakt, że panowie z NATO, EWG i z wielu innych ciakawych „inicjatyw”, których pełny spis w wyniku karygodnego braku czujności, można znaleźć w każdej książce telefonicznej, nie interesują się polityką komunalną, nie oznaczają, że nie interesują się oni polityką w ogóle. Wprost przeciwnie. Istnieje w Brukseli niezmiernie czuła giełda polityczna.

*NATO „in petto”*

Do nadzwyczajnego ożywienia na giełdzie politycznej, doszło naturalnie w sierpniu tego roku. Mimo upałów i urzędowego

exodusu, sporo osób pozostało w Brukseli w oczekiwaniu NATO-aktywnych opadów po wyprawie Brandta na Moskwę. I rzeczywiście, bo choć mniej niż się spodziewano, to jednak nieco szumu było. Zaczął sam sekretarz generalny NATO, Brossio. Powiedział on, że „nieunikniony dialog między Moskwą a Bonn toczy się przy aprobacie, a nawet przy przychylności państw państw sojuszników”, natychmiast jednak obłożył to i tak nostalgiczne stwierdzenie ogromną liczbą subtelnych zastrzeżeń. Mniej delikatny okazał się amerykański generał Goodpaster, naczelny dowódca sił atlantyckich. Na podobieństwo pewnego wybitnego stratega z Warszawy, który w chwilach decyzji mawiał zwykł: „Ja się nie znam na sztuk pięknych”, gen. Goodpaster nadmienił, że „nad atlantycką Europą wisi wojskowa potęga ZSSR... Stanowi ona stałe niebezpieczeństwo dla pokoju i wolności Zachodu”.

Faktycznie, zabrzmiało to groźnie i niesubtelny generał, mimo, że amerykański, a przy nim i sekretarz generalny, mimo, że Włoch, zostali najzwyczajniej w świecie zrugini przez prasę brukselską, która nie czyta gazet warszawskich i dlatego nie wie jeszcze, że się wysługuje NATO. Gazety zarzuciły mianowicie obu panom, że używają języka zimnej wojny, powiedziały, że wiedzą co p. Brossio myśli *in petto*, a generałowi poradziły, żeby się lepiej na tematy polityczne nie wypowiadał. W obronie paktu Brandt-Kosygin sięgnięto nawet do... Trumana, choć nie był to przecie ani największy przyjaciel ZSSR ani najmądrzejszy prezydent USA i zacytowano jego słowa o tym, że należy generałów trzymać w ryzach, bo „istota hierarchii wojskowej rzadko uczy ich pokory”.

Zimno-bojowcy dostali więc w skórę, ale nie należy sądzić aby to publiczne postawienie do kąta sekretarza generalnego i dowódcy NATO usunęło resztki sceptycyzmu.

Szeptane po tzw. kuluarach słowa umiaru padały jednak w próżnię. Prasa była rozhuśtana, najpoważniejsze gazety konty-nentu krzyczały tytułami: „Spokój na wszystkich frontach”, „Od-prężenie w Europie”! Przemówienie Breżniewa w Ałma Ata, nie wspominające o rewanżystach z Bonn, militarystach z Waszyng-tonu, syjonistach z Tel Avivu, ni o dogmatykach współczesnych z Pekinu, uznano za prawdziwy okrzyk serca i duszy. Poważny dziennik francuski wyśmiał tych co się boją „fantomu Rapallo” i dodał z głęboką znajomością rzeczy, że pakt moskiewski stanowi poważny sukces Polski, Czechosłowacji itp., albowiem prze-cież zawsze „odprężenie w stosunkach ZSSR z Zachodem powo-dowało liberalizację w państwach Europy Wschodniej”.

### Angelologia poinwazyjna

Miejsce zimnej wojny i czarownic ze Wschodu, zajęła teraz swoista angelologia. Jeden z kierowników Wspólnego Rynku, prawda że o niewielkim stażu, do tego stopnia uwierzył tytułowi

z dużej gazety że nadszedł „Czas rokowań”, iż pakował już walizki aby udać się do Moskwy na rozmowy w sprawie pogodzenia się Kremla z integracją Zachodu. Ogromna inwencja komentatorów skupiona była na wynajdowaniu argumentów, mających wykazać szczerą woli pokoju ze strony pierwszego kraju socjalizmu. Robiono wszystko, aby się nam Rosjanie nie przeziębili, a wszelkie próby krytycznego spojrzenia, czy choćby umiarkowania, trak-towano jako podejrzaną machinację tajnych agentów Mao czy Dajana.

Min. Debré, który w sierpniu 1968 inwazję Czechosłowacji naz-wał zwykłym *incident de parcours*, chodził w glorii wieszczą. Z całą powagą lansowano teorię „im gorzej — tym lepiej”, na mocy której inwazja Czechosłowacji stanowiła w istocie triumf polityki zachodniej. Czechosłowacja bowiem pozostawała i przed sierpniem 1968 w uznanej przez Zachód sferze wpływów sowiec-kich, z tym tylko, że przedtem Czesi i Słowacy byli ostatnim spo-tęczeństwem, gdzie Związek Sowiecki zachował jeszcze resztki popularności, zaś po inwazji jest on także i tam powszechnie znienawidzony.

Resztki wątpliwości usuwano argumentem, że i w wewnętrz-nych stosunkach w ZSSR coś się zmienia, bo Daniela wypuszczo-no z łagru, a „kontestatora” nazwiskiem Vadim Delone wypusz-czono z więzienia (co zdaje się zawdzięczał francuskiemu pocho-dzeniu i bliskiej wizycie Pompidou). Aluzje do niektórych brzyd-kich wydarzeń w ZSSR traktowane były w salonach zachodnich (zwłaszcza zachodniomienieckich) jako towarzyski nietakt. Za-chwyceni krwiopijcy od Mannesmana, Kruppa, Schneidera z pieś-nią na ustach produkowali dla ZSSR rury, wyjaśniali tajemnice IBM-owskich komputerów, szykowali budowę największej na świecie fabryki samochodów ciężarowych, której prowadzenia odmówili już przedtem głupi Amerykanie i naiwni Japończycy. Kraje Europy Zachodniej konkurowały, nie zawsze w sposób szlachetny, w wyścigu po syberyjskie złote runo. Mówiono: „syty bolszewik nie jest bolszewikiem”.

Ale do sytości było daleko...

### Po Moskwie była Berezyna

Rosjanie przypatrywali się temu festiwalowi „przyjaźni i współ-pracy” najpierw ze zdziwieniem, a potem już z zaniepokojem. „Co się dzieje — wykrzyknął Kreml — czy Zachodowi naprawdę się zdaje, że Bonn wszystko załatwiło, że rury zaspokajają nasze potrzeby, a *status quo* w Europie jest na zawsze i wszędzie?”.

Zaczęło się niewinnie i niejako z boku. W Genewie odbywała się we wrześniu sesja Rady do spraw handlu i rozwoju, organi-zacji powszechnie poważanej, ale mało skutecznej. Co roku, w trakcie sesji Rady, państwa bloku wschodniego atakują Wspólny Rynek i jego politykę, dyskryminującą rzekomo państwa socjalis-tyczne, a przede wszystkim kraje rozwijające się. Należy to do

rytuału, więc nikt się nie przejął kiedy delegat Bułgarii (jego kolej) poprosił w tej sprawie o głos. Tym razem jednak miało być inaczej. Atak miał wyjątkowo brutalny charakter, tak nieukrywanie dywersyjny i bez związku z tematem i atmosferą, że Rumunia wolała nie przyłączać się do wnioskodawców, wśród których nie zabrakło naturalnie Warszawy.

Natomiast w Brukseli zadrgał licznik. Najpierw wysłano odpowiedź do Genewy, z której wynika, że państwa atakujące importują z krajów Trzeciego Świata 7 (słownie — siedem) razy mniej towarów niż Wspólny Rynek i że tempo wzrostu handlu z tymi krajami jest w EWG znacznie wyższe niż na Wschodzie. Potem zapytano się, jakie mogą być powody tego niespodziewanego ostrego ataku. Odpowiedź nie nastęrczała większych trudności: koniec Nirwany. Nie tylko nie trzeba już na placu im. Schumana w Brukseli pakować walizek na podróż do Moskwy, ale należy traktować manewr genewski jako początek wielkiej operacji pod kryptonimem „trzeźwość”. ZSSR mianowicie oświadcza światu, że choć sprawy z Bonn mają się dobrze, to w ogóle płaszczyzny tarć między Wschodem a Zachodem nie uległy zmianie, że w wielu punktach globu panuje niepewność i brak równowagi, że sytuacja jest delikatna, że bez ZSSR nic załatwić nie można, co oznacza dalsze koszty. Po to zaś aby nie było wątpliwości co do nieodosobnionego charakteru zagrania genewskiego, Rosjanie sięgnęli do innych jeszcze instrumentów.

#### *Allah jest wielki*

Przede wszystkim na Bliskim Wschodzie. Kilka cudzych nieszczęść zaskoczyło tam Rosjan, ale, oni, naród twardy, szybko się opanowali. Więc najpierw, zgodnie z planem, odpowiednio wykorzystali zawieszenie broni, aby spokojnie zainstalować wyrzutnie rakiet SA-2 i SA-3, co rzeczywiście było trudniej zrobić pod bombami izraelskimi. Na wszelkie protesty Rosjanie odpowiadają, że po pierwsze — żadnych rakiet nie instalowano, a winien jest Dajan, bo nie musi latać nad Suezem, po drugie — ZSSR nie może odpowiadać na naruszenie układu, którego nie jest sygnatariuszem, po trzecie — w każdym razie instalowanie rakiet odbywało się bez udziału wojskowych sowieckich, którzy w tych okolicach bawią wyłącznie w charakterze turystów i po czwarte — Egipt byłby skłonny zgodzić się na przedłużenie rozejmu pod warunkiem, że nie będzie zmuszony do wycofania rakiet, których, jak wynika z pierwszych 3 punktów, nie instalował i o których Rosjanie nic nie wiedzą.

Równocześnie, jak tylko Hussein zaczął masakrę Palestyńczyków, to ZSSR — żeby przekonać Arafata o swym poparciu dla idei wyzwoleniczej — wysłał do Jordanii syryjskie czołgi, a potem, aby ułatwić Husseinowi zadanie, czołgi te szybko wycofał. Operacja ta, jak wiadomo, skutecznie przyspieszyła śmierć Nasse-  
ra. Pogrzeb przywódcy egipskiego spowodował pewne zamiesz-  
a

nie, wytoczył — przed kamerami światowej TV — łzę wzruszenia z oczu Kosygina, zmusił premiera sowieckiego do 5-dniowego pobytu w Kairze w celu załatwienia sprawy sukcesji oraz skłonił go do złożenia kilku oświadczeń. Wynika z nich, że Rosja na Bliskim Wschodzie jest po to, aby tam zostać, że obecność w tych okolicach 15.000 krasnoarmiejców oraz dużej floty jest konstantsem sytuacji strategicznej świata i że wbrew Rosji nic tego już w tym rejonie nie zmieni.

I żeby już do końca oszołomić Amerykanów, to ZSSR, u samego szczytu raketowej turystyki nad Suezem, wystąpił pod adresem Waszyngtonu z kategorycznym żądaniem ukrócenia działalności organizacji syjonistycznych na terenie USA, bo przynoszą one naturalnie szkodę przyjaźni amerykańsko-sowieckiej i pokojowi na świecie. Zagranie to — *toute proportion gardée* — przypomina procedurę z 1956 roku, kiedy to ZSSR zagroził interwencją wojskową jeżeli Francja, Anglia i Izrael nie wycofają wojsk z Egiptu. A działa się to dokładnie w dniu, kiedy czołgi sowieckie dusiły Budapeszt.

Wszystko to doprowadziło wiceministra Obrony USA, Packarda do wyrażenia nieśmiałych wątpliwości co do dobrej woli ZSSR w innych ważniejszych sprawach, skoro nawet głupiego zobowiązania wynikającego z rozejmu sueskiego, nie jest on w stanie uszanować.

W sumie zaś ZSSR osiągnął chyba chyba to czego chciał: rozejm bez pokoju, napięcie bez groźby.

#### *Patria o muerte*

Skoro już jesteśmy przy analogiach i raketach, to wspomniemy o Kubie. Pod wielu względami odnajdujemy dziś elementy napięcia karaibskiego z 1962 roku. Oczywiście, Suez nie Zatoka Meksykańska, Aleksandria nie Guantanamo. Ponieważ blisko jest do Tel Avivu, a nie do Florydy, więc zainstalowanie SAM-ów wzdłuż Suez, USA nie musiały i nie chciały uznać za zagrożenie swojego terytorium.

I wtedy Rosjanie postanowili wpaść na chwilę znowu na Kubę. Zamiast rakiet średniego zasięgu, tym razem posłali atomowe łodzie podwodne z sowieckimi „Polarisami”. Zgodnie z przewidywaniami, samoloty U-2 nie zawiodły. Według czujnych Amerykanów w kubańskim porcie Cienfuegos budowana jest baza dla sowieckich atomowych U-botów, co wprawiło USA w stan niezdrowego podniecenia. Ktoś westchnął: „ach gdyby żył Kennedy”, rzecznik Białego Domu oświadczył, iż Prezydent uznałby zainstalowanie takiej bazy za groźbę narodową i dodał, że Nixon dokona inspekcji VI floty oraz odwiedzi pewne kraje śródziemnomorskie. Wtedy Rosjanie uznali, że można się lekko wycofać, albowiem operację przypominającą o tym, że USA nie są bezpieczne i że ich los nie jest sprzęgnięty z raketami nad Suezem, a raczej z raketami w Karaibach, można uznać za zakończoną.

Przerwa nie trwała jednak długo, a uwaga opinii publicznej została przykuta przez kolejną fazę operacji „trzeźwość”, tym razem w Berlinie.

„Ich bin ein Berliner...”

Jak wiadomo, poprawa sytuacji w Berlinie jest — według Bonn — podstawowym warunkiem ratyfikacji układu moskiewskiego. „Ich bin ein Berliner” — wołał Kennedy pod murem płaczu, a po nim Brandt, Scheel, że nie wspomnimy już o opozycji i panu Springerze, ulubionej postaci prasy krajowej. Bez większego ryzyka można powiedzieć, że to właśnie w zamian za sowieckie obietnice w odniesieniu do Berlina, Brandt zgodził się złożyć na ręce ZSSR gwarancje nienaruszalności polskiej granicy na Odrze i Nysie. Jeszcze wcześniej Zachód dał inne dowody dobrej woli: zniósł biuro przepustek, bez którego żaden obywatel nieuznanej NRD nie mógł przekroczyć Łaby, jak również wyraźnie ograniczył działalność politycznych instytucji NRF na terenie zachodniej części podzielonego miasta.

Toteż Brandt w napięciu czekał na pierwsze po uroczystościach moskiewskich spotkanie 4 ambasadorów na temat Berlina. Niepotrzebnie się jednak denerwował, bo nic się nie stało. Panowie się spotkali, porozmawiali, zjedli razem obiad, ale nic nie załatwili. Strona sowiecka mianowicie nie miała nic do zaofiarowania. Nie tylko w sprawie muru (tylko naiwni mogli o tym myśleć), ale nawet w sprawie łączności telefonicznej, odwiedzin krewnych i innych takich drobiazgów, na Zachodzie wprost niezrozumiałych, a na Wschodzie dziwnie zwanych humanitarnymi. Rosjanie zaproponowali jedynie, aby przedyskutować treść ich memorandum, w którym osoby najbardziej czujne, nie potrafiły dopatrzyć się choćby iskierki nadziei. Równocześnie, po dłuższej przerwie, suwerenne władze NRD podjęły swe ulubione zajęcia, polegające na szykanowaniu pasażerów samochodów na autostradzie łączącej NRF z Berlinem zachodnim. Na nudne protesty władz zachodnich uczynni Rosjanie proponowali, aby porozumieć się wprost z Ulbrichtem. Przy okazji ktoś tam próbował zakłócić łączność powietrzną z NRF, wnosząc o czasowe wstrzymanie lotów wzdłuż dwóch z trzech istniejących korytarzy lotniczych. Zachód odpowiedział stanowczym *niet*, ale przy okazji dowiedział się, że na terenie NRD odbędą się największe w historii Paktu Warszawskiego manewry wojskowe, poddanych komendzie Generalobersta Heinza Hoffmanna, ministra obrony socjalistycznych Niemiec.

Misję wyjaśnienia powodów tej wstręmięzliwości sowieckiej otrzymały, zgodnie z tradycją, osoby, że tak powiem, drugiej kategorii. Jak kiedyś Adżubej, zięć Chruszczowa, torował drogę niemieckiej polityce swego teścia i jak kiedyś radca ambasady ZSSR w USA, Fomin, faktycznie pośredniczył w rozwiązaniu kryzysu kubańskiego, tak i teraz dziennikarz Żukow z *Prawdy* i kre-

tarz ambasady w Bonn, Popow, otrzymali misję powiedzenia o co chodzi naprawdę.

W skrócie panowie ci powiedzieli, że jest nieporozumieniem uzależnianie ratyfikacji traktatu moskiewskiego od poprawy sytuacji w Berlinie i że w każdym razie jakakolwiek poprawa wymagałaby naturalnie kontaktów z suwerennym państwem, NRD, którego niestety i uparcie Zachód nie uznaje. Nie ulega natomiast kwestii — mówili obaj panowie — że ratyfikowanie traktatu przez Bundestag szalenie ułatwiłoby rozmowy w sprawie poprawy sytuacji w Berlinie zachodnim.

Czyli ustawili wszystko dokładnie wprost przeciwnie niż to sobie Brandt i Scheel wyobrażali.

*Nie nada!*

Oczywiście, nie należy przesadzać. Po zapowiedziach Adżubeja na temat nieuniknionego odejścia Ulbrichta, odszedł sam Adżubej, a jeszcze przedtem jego teść. O Fominie też nie słyhać. Także panowie Żukow i Popow mogą zostać w razie potrzeby skarzeni przez odpowiednie organa Kraju Rad. Niemniej, jak na razie, nie zostali jeszcze skarzeni, i nic nie wskazuje, aby mieli zostać. Kiedy wiadomo jak szerokie są granice swobody wypowiedzi dziennikarzy i dyplomatów sowieckich, trudno nie sformułować wniosku, że usztywnienie objęło także Berlin. Tym bardziej, że nawet krucha nić porozumienia, tkana przez spotkania 4 ambasadorów, została na razie zerwana. Ambasador Abrasimow udaje się bowiem do Nowego Jorku, na sesję ONZ, gdzie jego obecność jest absolutnie niezbędna, choć najprawdopodobniej nie będzie nawet okazji do poważnej rozmowy o Berlinie.

A nie będzie dlatego, że wbrew zapowiedziom nie pojechał do Nowego Jorku premier Kosygin, a tylko min. Gromyko. Przepadło więc przewidziane spotkanie Kosygin-Nixon. Jeżeli uwzględnić, że przy podobnej okazji i o tym samym czasie, ale przed 8 laty, Gromyko — w imieniu Chruszczowa — zapewniał Kennedy'ego, że żadnych baz na Kubie nie ma, podczas gdy zdjęcia wyrzutni rakiet leżały u prezydenta w szufladzie obok gotowego tekstu przemówienia o kwarantannie wyspy, trudno przypuszczać, aby dziś do słowa honoru Gromyki mógł ktokolwiek w USA przywiązywać większe znaczenie.

*Egalité, fraternité...*

I żeby rozwiązać ostatnie złudzenia Brandta, że kilka miliardów marek może zawrócić im głowę. Rosjanie zgotowali znacznie biedniejszemu od Kruppa z Bonn, prezydentowi Pompidou takie przyjęcie, jakie nie było jeszcze udziałem żadnego zachodniego męża stanu, nie mówiąc już o wschodnich, którym musi wystarczyć serdeczny pocałunek tow. Breżniewa. Goście francuscy byli absolutnie zaskoczeni, prezydent, pełen podziwu, asystował przy

wystrzeleniu „Kosmosa”, a pani Pompidou była oczarowana prostym ludem rosyjskim, podarowała Breżniewowi i Kosyginowi po bagietce chleba prosto z Paryża („nadmierzaj smaczny”) otrzymując w zamian złotą zapalniczkę od sekretarza generalnego partii. Na spotkaniu z uczonymi w Akademgorodku (agencje zapomniały podać czy byli obecni Sacharow i Miedwiediew), prezydent Pompidou, znawca poezji, zacytował z pamięci Turgeniewa: „Rosja — mówił pisarz — może się obejść bez każdego z nas, żaden z nas jednak nie może się obejść bez Rosji”. (Jeżeli o mnie chodzi, to ja dziękuję, stoję i obejmę się).

Przed gośćmi z Paryża otwarto całą szeroką duszę rosyjską. Czym chata bogata, powiedzieli, i podpisali kilka ciekawych transakcji z kapitalistami w celu eksploatawania bogactw Syberii. Tych kapitalistów zabrakło nawet w czasie pobytu prezydenta, tak że musiał on ich specjalnie sprowadzić z Paryża do Moskwy. Rosjanie przyrzekli także, że nie będą mieli już nigdy tajemnic przed Paryżem, albowiem co 6 miesięcy będą się ze wszystkiego spowiadać. W zamian, ku zaskoczeniu zdaje się samych gospodarzy, prezydent Francji poparł ideę konferencji europejskiej, chociaż do niedawna należał w tej sprawie do sceptyków. Na zakończenie *tour de l'URSS* gościom zafundowano podróż naprawdę jak z bajki: 4-godzinny skok od śniegów Nowosybirska do słońca Taszkientu. Dziennikarze nie mogli wyjść z podziwu dla tej sprawności sowieckiej i snuli ochoczo świeżutkie metafory z dziedziny klimatologii i polityki.

I wszystko by się skończyło naprawdę jak w bajce, gdyby nie niedelikatność szwedzkiej Akademii, która przyznała literackiego Nobla oficjalnie nieistniejącemu pisarzowi, wyrzutekowi ze Związku Literatów ZSSR, niejakiemu Sołżenicynowi Aleksandrowi. Mimo obecności drogich gości, u których w domu pisarzom na ogół wydaje się książki, zamiast wydawać pisarzy w ręce policji, Breżniew nie zdzierzył i obsobaczył szwedzkich akademików za pośrednictwem TASSa i... pisarzy sowieckich. A potem zgodnie z naukowym prawem Wiecha, że „jak nie ma agrestu, to niech nie będzie porzeczek” aż się posypało. Francuskie eksceleńce dowiedziały się więc o skazaniu na śmierć jakiegoś aferzysty w Azerbejdżanie, o procesie Amalrika (którego książka wyszła właśnie we Francji a nie w ZSSR), o prześladowaniu Jesienina, o proteście uczonych przeciw aresztowaniu matematyka Pimenowa i innych jeszcze szczegółach, świadczących, że z wyjątkiem faktu iż Breżniew polubił bagietki, niewiele się w ZSSR zmieniło, zwłaszcza w dziedzinie wolności, stosunków międzyludzkich i innych wymysłów, z których ojczyzna prezydenta Pompidou zasłynęła w historii.

Dysproporcje między serdecznością wobec gości a, jak by to powiedzieć, brakiem tejże wobec własnych obywateli, stały się tak uderzająco wyraźne, że pewien towarzyszący delegacji dziennikarz francuski zadał w toku konferencji prasowej w Taszkencie, następujące natchnione pytanie: „Czy miał Pan Prezydent okazję do poruszenia sprawy położenia niektórych mniejszości

etnicznych i religijnych w ZSSR”. Zgodnie z zasadą, że nie ma niedyskretnych pytań, a są tylko niedyskretne odpowiedzi, prezydent zareplikował lakonicznie: „Bez komentarzy”. Co w polityce oznacza, że pytanie było jak najbardziej na czasie. Wymijająca bowiem odpowiedź nie stwierdza, co prawda, że Prezydent Francji o prześladowaniach mniejszości z Breżniewem rozmawiał, oznacza natomiast, że goście francuscy o tych sprawach pamiętali, że się nie dziwią pytaniu, bo było ono uzasadnione, że są na te rzeczy uczuleni. I że chcą, aby się świat o tym dowiedział.

*Back to Nikita!*

Nixon, naturalnie mniej się przejmował Sołżenicynem i rosyjskimi Żydami, a bardziej Suezem i Kubą. Zastanawiał się, czemu należy przypisać nagłe usztywnienie sowieckie. Od niewygodnej, bo usypiającej masy pracującej euforii zachodniej, Rosjanie mogli przecież przejść do innej fazy spokojniej, bez odwoływania się do banalnych, zamrażających pomysłów taktycznych. Rozpatrywano kilka wersji. Być może, nastąpiła poprawa stosunków z Chinami, dokąd udał się właśnie nowy ambasador Tołstikow, jeden z najbardziej dogmatycznych właścicieli ZSSR, i Rosjanie chcą ująć Mao rewolucyjnością ich postawy. Być może, jesteśmy świadkami jakiejś formy powrotu do chruszczowizmu, jego gimnastyki, konwulsyjnych zmian, pragmatyki i chłopskiego rozumu. Nie jest także wykluczone, że po sukcesie moskiewskim, Rosjanie uznali, że trzeba iść za ciosem, domagać się nowych koncesji Zachodu. Ufni w swą siłę atomową, dystans w tej dziedzinie jest nieporównanie mniejszy niż w 1962 roku, Rosjanie mogli uznać, że czas skończyć z cofaniem się, rozpoczętym kryzysem kubańskim a kulminującym w klęsce w wojnie 6-dniowej.

W oczekiwaniu na wyjaśnienie intencji ZSSR, prezydent USA musiał jednak coś postanowić. Obiecał więc „Phantomy” dla Izraela i pogodził się z panią Meir. Wycofał Stany z rozmów czwórki w Nowym Jorku na tematy bliskowschodnie, odwiedził VI flotę i zapowiedział takie jej wzmocnienie, aby mogła stawić czoła wszelkim wichrom, przywrócił dostawy ciężkiej broni dla greckich pułkowników, odwiedził niektóre kraje śródziemnomorskie (do Francji nie zdążył, bo Paryż zajęty był przygotowaniami do wyjazdu do Rosji). No i odwiedził marszałka Tito, uniemożliwiając mu udział w pogrzebie jego przyjaciela w Kairze. Jak to brzydko ktoś w Brukseli powiedział: „Tito wolał spotkać się z żywym prezydentem USA, niż z martwym prezydentem Egiptu”. Postąpił chyba słusznie, gdyż Nixon wyłuszczył mu zapewne punkt widzenia USA na tajemnicze zagrania ZSSR, a może nawet poprosił, aby trafność amerykańskiej interpretacji Tito sprawdził w czasie bliskiego już chyba spotkania z Breżniewem i Kosyginem, na które to spotkanie Nixon osobiście większych szans w tej chwili nie ma.

*Rewizyta za Berchtesgaden*

Oczywiście, w tym szalenie powierzchownym bilansie nie można pominąć pewnego specyficznie polskiego rachunku. Okazja jest wyjątkowa, bo w chwili ukazania się tego numeru *Kultury* w Warszawie przebywać będzie min. Scheel. Nie ma żadnego związku między ukazaniem się *Kultury* a podróżą Scheela, natomiast taki związek zachodzi między polityką Kremla a sytuacją Warszawy.

Puśćmy wodze fantazji. Ponieważ Warszawa uznaje NRF za dziedziczkę III Rzeszy, obciąża wyłącznie ją grzechami Hitlera i każe jej za to płacić, to pierwszą wizytę zachodniemieckiego ministra spraw zagranicznych w Polsce, można uznać za rewizytę po pobycie Becka w Berchtesgaden, układ moskiewski za przedłużenie Rapallo, żeby już nie wspomnieć o pakcie Mołotow-Ribbentrop. Jest to niepoważny punkt widzenia, żaden szanujący się obserwator się do niego nie przyłączy, ale przecież niepozbawione jest to rozumowanie walorów trafnego skrótu.

Bo oto, Polska w polityce światowej znowu przestała się liczyć. Nadgorliwie satelitarna na zewnątrz i na wewnątrz postawa Warszawy doprowadziła do utraty szacunku i kredytu jakim się PRL cieszyła po październiku. Krótko jeszcze błysnęła Warszawa, i to w okresie spadającej opinii, po przemówieniu Gomułki z 17 maja 1969, które dało sygnał otwarcia po-czechosłowackiej fazy pojednania z NRF.

Gwiazda jednak szybko spadła i jeżeli dziś się o PRL w kontekście rozmów Wschód-Zachód wspomina, to raczej w kategoriach współzucia dla ubogiego krewnego ZSSR. Chociaż bowiem Gomułka był oficjalnie pierwszy, chociaż byłoby rzeczą naturalną, aby gwarancje nienaruszalności zachodniej granicy Polski, zdeponowane były przede wszystkim w Warszawie, to stało się jednak inaczej i bez cienia protestu czy oporu ze strony Gomułki, gwarancje te przekazał Brandt Moskwie. W wyniku tej operacji, jak przedtem uległość wobec ZSSR motywowana była zagrożeniem ze strony niemieckich rewanżystów, tak teraz będzie uzasadniana faktem, iż gwarancje znajdują się w rękach rządu sowieckiego.

Dla Polski ważna jest więc każda możliwość polepszenia formuły moskiewskiej, nie dziwią przedłużające się rozmowy Wieniewicza z emerytowanym już Duckwitem, nie zaskakują skomplikowane łamańce publicystyczne mające udowodnić, że traktat z Polską nie będzie zwykłym załącznikiem do traktatu niemiecko-sowieckiego. Niezależnie od rezultatu tych zabiegów, jest już rzeczą jasną, że NRF wyszła wzmocniona wobec Polski z traktatu moskiewskiego i że Bonn jest obecnie znacznie mniej skłonny do koncesji, niż przed 12 sierpnia, a zwłaszcza niż w okresie, gdy wydawało się logiczne i uzasadnione polskie pierwszeństwo w uregulowaniu stosunków z NRF.

Po podpisaniu traktatu sowiecko-niemieckiego sformułowano już wiele wniosków, nauk na przyszłość, pochwał i przestróg. Patrząc na bezradność Warszawy, najgorszy wniosek jest chyba

jeszcze przed nami. Ten mianowicie, który zgodnie ze wspomnianą już teorią „im gorzej — tym lepiej”, głosiłby, iż nic właściwie się nie zmieniło i niczego już zmienić nie można, bo Polska była, jest i będzie w sferze wpływów Moskwy, była jest i będzie zagrożona przez każde porozumienie rosyjsko-niemieckie, nienawi dziła i nienawidzi tak Rosjan jak i Niemców. Taka postawa była by mylna, krótkowzroczna i nieskuteczna. Usprawiedliwiałyby jedynie jeszcze większą bierność polskiej polityki zagranicznej, bierność wynikającą przede wszystkim ze słabego charakteru przywódców, ich indolencji i serwilizmu, ich niemożności skonstruowania, za przykładem choćby Rumunów, zarysów jakiejś obronnej koncepcji politycznej.

BRUKSELCZYK

Pisane w Brukseli, 14 października 1970

**Kronika angielska**

DYSKUSJA Z CZYTELNIKAMI

Otrzymałem kilka listów od młodych ludzi którzy czasowo przebywają w Anglii. Wszyscy mają rodziny w Kraju i prosili, by nie ujawniać ich nazwisk. Jeden z nich pisze co następuje: „Marzeniem każdego Polaka jest wyjechać i urządzić się za granicą. Marzeniem każdego z nas jest zapomnieć o wszystkich socjalizmach, czy rewizjonizmach. Polska stała się krajem, który nie nadaje się do osiedlenia. Pan domaga się od nowych emigrantów by za granicą wszystko zaczynali od nowa — bawili się w rewizjonizm i w „dubzekizm” a więc w rzeczy od których chcemy uciec i o których chcemy zapomnieć”.

Tyle mój korespondent.

Gdy 31 lat temu uchodziliśmy z Polski mieliśmy za sobą klęskę. Druga Rzeczpospolita została pobita i zagarnięta przez Niemców i przez bolszewików. Lecz Druga Rzeczpospolita nie zbankrutowała. Gdybyśmy mieli przed sobą nie 20 lat lecz przynajmniej 50 lat niepodległości i pokoju — Druga Rzeczpospolita byłaby demokratycznym i uporządkowanym państwem. Nie było problemu, który nie mógłby być rozwiązany stopniowo i ewolucyjnie. Na żadną rewolucję w Polsce się nie zanosilo. Istniały duże nierówności społeczne lecz duże nierówności społeczne istniały wówczas i w Anglii. *Welfare State* jeszcze się nie narodził. Mieliśmy znakomicie funkcjonujące pociągi, niezmiernie sprawnie funkcjonującą pocztę, bogatą i różnorodną prasę. Był Brześć i Bereza, lecz faszyzmu i totalizmu nie było.

Nie jest moim zamiarem w cukierkowych barwach malować portret Drugiej Rzeczpospolitej. Chciałem jeszcze tylko raz stwierdzić, że ówczesna Polska poniosła klęskę, lecz nie zbankrutowała i dzięki temu w czasie wojny działał legalny Rząd Polski, który reprezentował konstytucyjną ciągłość Drugiej Rzeczpospolitej. Za rządem opowiadali się wszyscy Polacy bez względu na przekonania polityczne — oczywiście z wyjątkiem komunistów.



Wyobraźmy sobie, że Rosja i Niemcy dokonały rozbioru Polski Ludowej. Czy za granicą powstałby emigracyjny rząd komunistyczny, który reprezentowałby konstytucyjną ciągłość PRLu? Sama myśl wydaje się absurdalna. Za rządem PRL *in exile* nie opowiedziałby się ani jeden Polak na całym świecie.

Polska Ludowa jest społecznym i ideologicznym bankrutem. Nikt nie chce się z nią identyfikować i każdy, kto ją opuszcza pragnie o niej jak najszybciej zapomnieć.

Nasza emigracja wywodzi się z klęski — nowa emigracja wywodzi się z bankructwa. Nowi emigranci nie przywieźli niczego, bo z Polski Ludowej nie ma czego wywieźć. W PRL nie ma ani programu alternatywnego, ani określonej opozycji, ani żadnego nowego ideologicznego ruchu. Nowy emigrant przyjeżdża „z kuferkim na plecach”, lecz w tym kufierku jest pustka. Stąd biorą się tego typu listy jak ten, który zacytowałem na wstępie.

Jednym z zadań *Kultury* jest pomóc ludziom o których mówimy — w odnalezieniu „polskiego kursu”, z którym choć częściowo i nie formalnie — mogliby się jednak identyfikować.

A teraz zupełnie z innej beczki. Nie przypuszczałem, że moje wspomnienia („Z Zapisków Oficera Czasu Wojny”) wywołają tyle komentarzy. Płk Rueger ma do mnie pretensje, że uderzyłem w niego „Młotkiem”. Chodzi tutaj o płk. Dr. Młotkę i słynną „wojnę” pomiędzy pismami Brygadowymi a pismami (biuletynami) OZ. Na tego typu zarzuty nie zamierzam odpowiadać. Jest moim dobrym prawem jako pamiętnikarza o jednych moich b. przełożonych wyrażać się z większym sentymentem a o drugich z mniejszym. Żadnych reklamacji w tej sprawie nie przyjmuję.

Pewni moi korespondenci poruszyli problem PKPR. Otóż wydaje mi się, że nawet pamiętniki publicyści mogą nie być publicystyką. Lecz ponieważ garstkę Czytelników interesuje mój pogląd w tej sprawie przedstawiam go w wielkim skrócie. W przeciwieństwie do podchorążego, który występuje w czwartym odcinku moich wspomnień, byłem przeciwnikiem buntu i pójścia za druty. Uważam że gen. Anders postąpił mądrze odrzucając wszelkie sugestie w tej sprawie.

Polacy mają tendencję do utożsamiania sądów jednostkowych z wymogami polityki. Francuzi, a w szczególności Anglicy, nie robią tego nigdy.

Jestem z wielkim uznaniem dla tzw. „opornych”, którzy protestowali. Byłoby źle gdyby ich wówczas zabrakło. Lecz „oporni” protestowali w swoim własnym imieniu i ich akcja nie pociągnęła za sobą żadnych ujemnych konsekwencji w stosunku do 120 tysięcy żołnierzy.

Zarówno z punktu widzenia polityki jak i z punktu widzenia zdrowego rozsądku było rzeczą istotną by Korpus znalazł się w Anglii. PKPR oferował konkretne korzyści, które jednostki mogły odrzucać, lecz nikt nie miał prawa odrzucić tych korzyści w imieniu całego wojska.

Mój szwagier stracił nogę pod Monte Cassino i otrzymał *Virtuti Militari*. Dzięki temu, że wstąpił do PKPR ukończył za pieniądze angielskie architekturę i jest dziś wysokim urzędnikiem w ministerstwie robót publicznych. Kto miałby prawo pozbawić inwalidę tych wszystkich korzyści? Czy nie leżało w polskim interesie, by jak najwięcej młodych ludzi mogło ukończyć

w Anglii wyższe studia? Dla wielu była to jedyna i niepowtarzalna szansa w ich życiu.

Argument, że PKPR był formacją brytyjską i z tej przyczyny niepodległościowiec nie powinien być do niego wstępować jest bez sensu. Wielu Polaków w czasie wojny służyło w armii brytyjskiej i francuskiej. Mój zmarły brat był żołnierzem francuskiego ruchu oporu, i nie sądzę by francuskie odznaczenia, które otrzymał — przynosiły mu ujmę jako prawemu Polakowi.

Każdy ma prawo do indywidualnego protestu. Palach się podpalił. To nie oznacza jednak, że cała młodzież czeska winna była zginąć w płomieniach. Dlatego polityk musi rozróżniać pomiędzy protestem indywidualnym a protestem masowym. Protest jednostki może być bohaterstwem — jak w wypadku Jana Palacha — lecz protest masowy jest zawsze i wyłącznie polityką i oceniany być musi kategoriami politycznymi.

### WIELKI BRAT „WIELKIEGO BRATA”

Proces ewolucyjny wbudował w nas optymizm. Gdybyśmy nie byli optymistami nie byłoby postępu. Przeżywamy dosłownie straszne czasy — lecz jakoś je przeżywamy. Są jednak futurologowie w których optymizm wygasa. Niemal co miesiąc ukazuje się książka przepowiadająca katastrofę. Wojna nuklearna wychodzi z mody. Jej miejsce zajęła technologia i nauki ścisłe. Są autorzy, którzy przepowiadają zanik rodziny jako instytucji społecznej, na skutek wynalezienia preparatów anty-ciężowych. Inni twierdzą, że dla najbliższych pokoleń słońce będzie zjawiskiem znanym tylko z fotografii i z filmów. Ziemię bowiem otaczać będzie wał chmur, wytworzonych gazami produkowanymi przez samoloty, samochody itp. W rezultacie zmieni się klimat — zasną topnieć lody na biegunach — podniesie się poziom mórz i Oceanów i wiele portów amerykańskich i europejskich znajdzie się pod wodą.

Można by cytować dziesiątkami tego rodzaju apokaliptyczne przepowiednie. Osobiście interesuje mnie inne zagadnienie związane z tym procesem. Technologia to są nie tylko pastylki zapobiegające ciąży, czy loty kosmiczne, w pierwszym rzędzie technologia to jest władza.

Komputer nie jest instrumentem potęgi w sensie starożytnym, jak szybkostrzelne działo czy czołg. Natomiast komputer jest — względnie może być — najidealniej sprawnym instrumentem kontroli, jaki do tej pory wynaleziono.

W dawniejszych czasach władza monarchów, dyktatorów, rządów — była w znacznej mierze ograniczona brakiem kontroli. Znaleźć Araba X w Kairze było równie łatwo jak odnaleźć przysłowiową igłę w stogu siana. Wielu Arabów ma tradycyjne imiona, jak np. Syn Idrysa, i ludzi tego imienia są dziesiątki tysięcy. Spisy ludności pozostawiają niezmiernie wiele do życzenia, a dokładny adres jest raczej rzadkością niż regułą. Oczywiście w takim układzie obywatel jest trudno osiągalny, co stanowi jego ochronę. Władza ma nad nim tylko minimalną kontrolę.

W państwach zachodnioeuropejskich i w Ameryce nie panowały tak idylliczne stosunki jak w Kairze za moich czasów — jednak dopóki nie pojawił się komputer — kontrola nad obywatelem była daleka od doskonałości.

Wszyscy wiemy jak potężną instytucją jest FBI. Szczegółowe informacje dotyczące 83 milionów ludzi są skomputeryzowane w FBI. Gdyby nie było komputerów — nie byłoby rzeczą możliwą operowanie 83 milionami teczek, które zabierałyby nieprawdopodobną ilość miejsca. Trzeba by również milionowej armii urzędników, którzy by owe tecki utrzymywali w porządku. Pomijam fakt, że ci urzędnicy, ponieważ byłoby ich całe rzesze, popełnialiby mnóstwo błędów.

Komputer jest wręcz wymarzoną instrumentem biurokracji. Wyposaża bowiem władzę w precyzyjny i błyskawiczny aparat kontroli. Amerykanie nie są totalistami, przeciwnie są jednym z najbardziej demokratycznych narodów świata. Równocześnie są technologicznie najbardziej zaawansowani. Nie ma przesady w twierdzeniu, że komputer zaczyna Amerykanom narzucać swoją modłę życia, która jest totalistyczna. W dziedzinie społecznej i politycznej komputer jest wielkim bratem „Wielkiego Brata”.

Cyfrę ilustrującą niniejszy artykuł zaczerpnąłem z „U.S. News and World Report, Vol. LXVIII, Nr 18”. Oczywiście w tej sprawie nie chodzi o FBI. Groźną wydaje się skomputeryzowana akumulacja wszystkich osobistych danych obywateli. Urzędy podatkowe otrzymują 75 milionów szczegółowych zeznań, które są sprawdzane, analizowane i komputeryzowane. Ubezpieczenia socjalne (*social security*) posiadają „teczki” dwustu milionów ludzi żywych i umarłych. Pentagon zadawała się skromną cyfrą 15 milionów „teczek”. Jeżeli ktoś raz w życiu poprosił o paszport, by wyjechać na urlop za granicę, posiada „teczkę” w której są dane osobiste nie tylko petenta lecz także jego rodziców i dziadków. Poczta zbiera i przechowuje nazwiska ludzi, którzy wysyłają listy na „podejrzane” adresy. Główne biuro ruchu ludności, które przeprowadza spisy ludności — zbiera szczegółowe informacje o każdym obywatelu amerykańskim.

Nie wymieniałem ani połowy cyfr przytoczonych przez „U.S. News and World Report” — lecz przypuszczam, że dane, które przytoczyłem, ilustrują ogólny trend.

Każda instytucja zbiera i komputeryzuje dane pod pewnym kątem widzenia. Co innego interesuje FBI, a co innego interesuje wielkie towarzystwa asekuracyjne. Wyobraźmy sobie „bank” w którego komputerach byłyby zebrane wszystkie dane kolekcjonowane przez amerykańskie instytucje. Każdy obywatel miałby indywidualny numer i za pociśnięciem guzika można by wiedzieć o nim dosłownie wszystko. W sekundzie byłoby wiadomo czy obywatel X chorował na taką czy inną chorobę, jaki jest jego dochód, czy brał udział w demonstracjach, jakie wygłaszał poglądy polityczne, ile razy się rozwodził, itp., itd. Jeden ze specjalistów przedmiotu w Waszyngtonie powiedział co następuje: „Współczesny Amerykanin może jeszcze ukryć jakąś swoją ściśle prywatną sprawę. Lecz dla jego wnuków nie będzie to już osiągalne”. Innymi słowy wydaje się, że jesteśmy ostatnim pokoleniem, dla którego słowa „prywatny” i „prywatność” — mają sens i znaczenie.

„Bank” — o którym powyżej mówiłem — nie jest moim wynalazkiem. Taki projekt istnieje i istnieje również zdecydowana opozycja przeciwko temu projektowi.

Podkreślam jeszcze raz: Amerykanie są przekonani demokratami. Lecz tak jak samochód i samolot zmieniły nasze życie nie do poznania — tak dziś komputer zaczyna nam narzucać swoją modłę życia, przeciwko której trzeba się bronić póki czas.

Komisja złożona z 23 wybitnych osobistości, powołana przez Narodową Akademię Nauk, bada zagrożenie dla wolności obywatelskich spowodowane przez komputer. Dr Westin, profesor Columbia University, stoi na czele komisji i kieruje jej pracami.

## N A S S E R

Prezydent Nasser skonfiskował i zaprzepścił Kanał Sueski, wprowadził Sowiety do Egiptu i na Środkowy Wschód, sprowokował a następnie haniebnie przegrał 6-ciodniową wojnę, nie zapobiegł wojnie domowej w Jordanii, nie wysunął żadnego pozytywnego planu politycznego. — a mimo to doczekał się pogrzebu, jakiego nie oglądał Egipt od czasu Faraonów. Należy jeszcze dodać, że wojna sześciodniowa była nie tylko klęską lecz i bezprzykładną kompromitacją. Armia egipska była nie wyszkolona, dowództwo nie zdolne do prowadzenia nowoczesnych operacji, kosztowny sprzęt był źle użyty i zmarnowany. Lecz w Kairze 5 milionów ludzi wzięło udział w pogrzebie oplakując bohatera, wodza, wielkiego człowieka.

Jeżeli w danym narodzie istnieje „społeczne zamówienie” na wodza i *Father Figure* — owo zamówienie zostaje zawsze spełnione. Czasem tego typu sytuacja wyrzuca na powierzchnię autentycznie wielkiego przywódcę. Jeżeli jednak nie ma oryginalnego artykułu — Historia sięga po *ersatz*. Po śmierci Piłsudskiego chcieliśmy mieć drugiego Piłsudskiego, ponieważ coraz groźniejsze chmury zaczęły przysłaniać polski horyzont. Drugiego Piłsudskiego nie było. „Zamówienie społeczne” mógł spełnić tylko Rydz Śmigły.

W Kairze 5 milionów ludzi nie bohatera kładło do grobu, lecz grzebało swoje głęboko odczuwając „zamówienie społeczne” na wodza, zjednoczyciela, zwycięzcę. I dlatego żyzy tych ludzi były szczerze.

## OKUPACJA I NIEPODLEGŁOŚĆ

W prasie emigracyjnej od wielu tygodni dyskutuje się problem czy Polska jest okupowana. W mojej opinii Polska nie jest formalnie okupowana, lecz równocześnie nie jest państwem niepodległym. Przez okupację rozumie się zawsze okupację wojskową. W kraju stacjonuje zbyt mało wojsk sowieckich, by mogły okupować całą Polskę. Można mieć na swoim terytorium znacznie więcej wojsk obcych niż PRL i być państwem niepodległym. Gdybyśmy kiedyś mieli uczciwy sojusz z demokratyczną Rosją wówczas, w ramach tego sojuszu, moglibyśmy wyrazić zgodę na stacjonowanie np. kilku jednostek rosyjskich na polskim terytorium. Sojusznicze wojsko nie zagraża niepodległości pod warunkiem, że pobyt owych jednostek jest negocjowany pomiędzy równorzędnymi partnerami.

Gdyby jutro wojska sowieckie całkowicie opuściły Polskę nie by się nie zmieniło. Bylibyśmy w dalszym ciągu państwem satelickim, pozbawionym niepodległości.

W okupowanej przez Niemców Warszawie działała Delegatura Rządu, wychodziła tajna lecz wolna prasa, istniała Armia Krajowa, dowództwa, sztaby itp. W sumie, pod okupacją niemiecką byliśmy bardziej niepodlegli niż jesteśmy dziś — mimo, że PRL *de facto* nie jest okupowane.

Jesteśmy pozbawieni niepodległości nie na skutek okupacji lecz w konsekwencji systemu. Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Stany Zjednoczone a nie Sowiety są naszym sąsiadem. Oczywiście ambasador amerykański miałby w Warszawie bardzo znaczny wpływ — niemniej Polska byłaby państwem niepodległym, choć w znacznej mierze od Ameryki zależnym. W polityce zagranicznej mielibyśmy minimalne pole manewru, lecz Amerykanie nie kwestionowaliby naszego prawa do samostanowienia. Nie narzucaliby nam systemu prezydenckiego — nie mieszaliby się do naszych instytucji społecznych — nie dyktowaliby nam przepisów na literaturę, filozofię itp. Bylibyśmy z całą pewnością w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi i na naszym terytorium istniałyby wojskowe bazy amerykańskie, być może liczniejsze od obecnych baz sowieckich.

Państwo średniej wielkości, które sąsiaduje z super-mocarstwem może być tylko wówczas niepodległe jeżeli super-mocarstwo hołduje zasadom demokracji. Oczywiście super-mocarstwo może przestać być super-mocarstwem czy to na skutek wewnętrznego przewrotu, czy też na skutek przegranej wojny. Jeżeli nie brać pod uwagę wzmiankowanych możliwości wypada stwierdzić, że Polacy będą wolni dopiero wówczas kiedy Rosjanie i Ukraińcy i inne narody Związku Sowieckiego będą wolne. Rosjanie mogą nam dać pomoc gospodarczą czy technologiczną — lecz nie mogą dać nam wolności i samostanowienia, ponieważ sami ich nie posiadają. Nie można nikomu dać tego — czego samemu się nie ma.

To nie oznacza, że Polska skazana jest na gomułkizm. Nie oznacza to również, że potencjalne ryzyko interwencji sowieckiej traktować należy za „odpuść zupełny”, zwalnający nas z jakiegokolwiek wysiłku. Istnieją różne możliwości, które są niewykorzystane. Bez prowokowania Kremla — Polska jako największy kraj satelicki mogłaby mieć znacznie bardziej cywilizowany ustroj, niż ten jaki posiada. W kraju istnieją nie wykorzystane marginesy wolności. Na każdym odcinku życia w Polsce mogłoby być znacznie lepiej niż jest. Ryzykuję pogląd, że za Polskę Ludową w jej beznadziejnej treści — tylko w 70 % można winić Rosjan. W trzydziestu procentach winę za obecny stan rzeczy ponoszą Polacy.

### PSY I FILOZOFIA

Wszyscy wiedzą o psach Pawłowa. O psach Mieroszewskiego wie niewielu. Całe życie miałem jamniki, które — podobnie jak ludzie — wykazywały różne stopnie inteligencji i mądrości. Pies nie czyta książek, ale uczy się przez doświadczenie, i dlatego mądry może być tylko stary pies, który dysponuje dużą sumą różnorodnych doświadczeń.

Pewni filozofowie twierdzą, że myśleć można tylko słowami. Proces poznania odbywa się poprzez słowo i z tej przyczyny jest rzeczą ogromnej wagi, by nasze sądy i opinie były słownie prawidłowo formułowane. Ośmielam się być w tej sprawie odmiennego zdania.

Mój jamnik Puzio, który umarł przed kilku laty, był starym i wyjątkowo mądrym psem. Ponieważ moja żona pracuje poza domem — jestem z moim psem sam na sam przez cały dzień. Puzio, który miał już wówczas 12 lat, — leżał na kanapie na wprost biurka, przy którym pracuje. Zauważyłem, że Puzio unikał sytuacji w których znajdowałbym się poza

zasięgiem jego wzroku. Nie musiał leżeć blisko mnie, lecz chciał mnie mieć zawsze w polu swojego widzenia. Po latach wykształcił się między nami szczególny system telekomunikacji. Choćbym w danej chwili był najbardziej skupiony na lekturze czy pisaniu — z chwilą gdy Puzio uniósł głowę i zaczął wpatrywać się we mnie — pod wpływem silnego impulsu przerywałem pracę i wpatrywałem się w jego oczy. Po chwili w moim mózgu krystalizował się obraz słowny w formie zdania: „Puzio chce by go przykryć kocem”, lub: „chce by mu otworzyć drzwi”, lub: „chce by mu odsunąć fotel, tak by mnie lepiej widział”. Gdy pies skuczy pod drzwiami lub wspina się do zlewu, wiadomo czego chce. Lecz Puzio w takich wypadkach nie ruszał się z kanapy i swój *message* przekazywał mi wyłącznie wzrokiem. Przez długie lata naszej przyjaźni nie zdarzyło mi się nigdy, bym mylnie odcyfrował jego przekaz.

Pies nie myśli słowami, lecz obrazami. Wystarczy obserwować psa, któremu coś się śni. Porusza łapkami, warczy a nawet poszczekuje. Jego mózgowica w śnie produkuje serię obrazów, które układają się w pewną akcję. Lecz cały ów proces odbywa się bez słów.

Nasz system tele-komunikacji polegał na tym, że Puzio ze skupieniem wytwarzał w swoim mózgu obraz swojego życzenia. Ów obrazowy przekaz w mojej mózgowicy przekształcał się w formę słowną.

To nie jest sentymentalna psia *stora*. Chciałem tylko wykazać, że z całą pewnością myślenia nie można ograniczać do słów. Słów w gruncie rzeczy jest bardzo niewiele. W każdym języku jest kilka czy kilkanaście określeń na kolor czerwony, lecz w przyrodzie czy w malarstwie istnieją setki odcieni koloru czerwonego, na które nie ma nazwy. Jeżeli coś nie ma nazwy — nie można o tym „czymś” myśleć słowami.

Filozof-materialista powie, że pies jest żywą maszyną i wskutek tego nie myśli w przyjętym tego słowa znaczeniu. Ortodoksyjny filozof katolicki powie, że pies nie ma duszy. Jeżeli wziąć teksty Przybyszewskiego a nawet Brzozowskiego to słowo „dusza” powtarza się na każdej stronie po kilkanaście razy. Dziś termin ten zupełnie wyszedł z użycia. Równocześnie jednak coraz więcej wybitnych naukowców skłania się do poglądu, że człowieka — a w mojej opinii i psa — nie można redukować do statusu żywej maszyny, ponieważ przez ten model trudno wytłumaczyć człowieka czy psa. W żywej maszynie zwanej człowiekiem jest jeszcze „coś”, o czym nie wiemy i co odbywa się bez słów. W moim przekonaniu w żywej maszynie zwanej psem jest ten sam nierozpoznany element co w człowieku — tylko o mniejszym potencjale.

LONDYŃCZYK

## Straty kultury polskiej

### Tadeusz Manteuffel

Smutny emigracyjny obowiązek pisania o zmarłych w kraju. Ale trzeba ten obowiązek spełnić, by dać historyczne świadectwo prawdzie, której niesposób było opublikować za życia ludzi, zasługujących na najwyższy szacunek społeczeństwa. Trzeba ten obowiązek spełnić również po to, by prawdopodobnie, jak przy takich okazjach, rozdmuchana oficjalna pompa pogrzebowa, nekrologi, wieńce i ordery nie wyrządziły Tadeuszowi Manteufflowi ostatniej, pośmiertnej krzywdy, by nie zakłamały jego oblicza, przekonania, poglądów i postawy, nie wytworzyły wśród nie znających Go przeświadczenia, że Zmarły był „jednym z tamtych”, człowiekiem równym poniekąd obłudnym żałośnikom, tej samej proveniencji i dążeń. Umarli bronić się nie potrafią, wielka część aktywności życiowej Tadeusza Manteuffla upływała w działaniu, wielka część rezultatów działania jest anonimowa i dlatego będą kłopoty z określeniem dzieła Jego życia.

Tadeusz Manteuffel od dawien dawna był w kręgu historyków i humanistów postacią legendarną, wzbudzającą szczególnie urok, szacunek i posłuch.

Był uczonym mediewistą. Miał szerokie horyzonty komparatora, napisał szereg gruntownych prac, szczególnie istotnych w Polsce gdzie nie wytworzyło się, niestety, głębsze zrozumienie problemów historii powszechnej.

Jak jednak wysoko byśmy nie cenili drukowanych prac Tadeusza Manteuffla, dzieło Jego życia obejmuje o wiele większy zasięg, niż wynikałoby z bibliografii. Albowiem od lat ponad własną twórczość naukową stawiał — z niewątpliwym dla niej uszczerbkiem — działalność organizatora nauki, oddając tej dziedzinie gros swego czasu i pasji.

Był doskonałym, wzbudzającym podziw administratorem. Ponad takie walory jak obowiązkowość, punktualność i sumienność postawić trzeba ideowe podłoże tej postawy: traktował swe funkcje administracyjne jak posterunek, który musi zajmować,

by nie zajął go ktoś, wręcz ideowo przeciwny, lub nadmierne wobec władz uległy.

Był wymagający wobec siebie. Wnikał nawet w drobiazgi, ale nie odsuwał od siebie i prac trudnych, nie przerzucał na nikogo odpowiedzialności, nie chował się — wzorem PRL-owskich dygnitarzy — za „decyzje kolegium”, „postanowienia Akademii”, „wytoczne KC”.

Często był zmuszony do ukrywania swych poglądów, ale zawsze dbał o to, by nie powiedzieć nic, co byłoby z Jego poglądami sprzeczne, co mogłoby być nadużyte przez oficjalną propagandę. Tego też uczył współpracowników.

Może warto w tym miejscu przypomnieć postawę Tadeusza Manteuffla w marcu 1968 roku. Zdawał sobie sprawę, że ruch studencki jest „porywaniem się z gołymi pięściami na moczary”, że ruch ten, przez władze celowo sprowokowany, pociągnie za sobą represje przeciwko światu intelektualnemu. Wiedział również, że tchórzliwe milczenie niczego nie uratuje. Był jednym z inicjatorów ruchu protestu uczonych. Jego przemówienie 12 marca 1968 roku na ogólnym zebraniu instytutu było pełne pasji. Podobnie jak i uchwalona rezolucja protestacyjna przeciwko biściu i szczuciu. A jednocześnie były one wypracowane w szczególności, by nie zawierały nic, żadnych ukłonów, kompromisów, które odpowiednio spreparowane mogłyby posłużyć do notatki prasowej, że postępowanie władz znajduje aprobatę.

Był wybitnym nauczycielem, wykształcił zastęp poważnych uczonych. Miał jednak uczniów o wielu więcej, niż wynikałoby to z wykazu promowanych przezeń doktorów. Bardzo dużo ludzi uczyło się u niego i bynajmniej nie byli to tylko mediewiści.

Żołnierz-ochotnik z 1920 roku — pozostał nim do końca życia. Szanował przekonania odmienne, nie miał też stosunku irracjonalnego do przeszłości, ale nie cierpiał karierowiczów, serwilistów i ludzi bez kośćca. Autorom pierwszej części wydawanej przez Instytut Historii „Historii Polski” Zielińskiemu i Jędruszcza-kowi w 1966 roku wręcz publicznie wytknął, że dzieło ich wygląda, jak gdyby było „napisane przez niezycziwego Polsce i nierozumiejącego jej problemów cudzoziemca”.

Był prostolinijny i krytyczny. Ale właśnie dlatego wielu z nas za specjalny zaszczyt poczytywało sobie uczenie się u Niego, referowanie swych badań i przedstawianie rękopisów do oceny. Te rozmowy na długo pozostaną im w pamięci. A szczególnie długie sprawozdania składane Mu o rozwoju wydarzeń w Czechosłowacji, której wolnościowe wloty namiętnie przeżywał i której załamanie się przysiębiło go bardzo.

Pisałem o 1968 roku. Może jeszcze jedno warto zanotować. Mianowicie rolę Tadeusza Manteuffla w 1956 roku. Już teraz pojawiają się informacje bałamutne, wręcz otwierające drogę kłamstwu. Otóż tym, czym „Październik” był dla całego społeczeństwa, tym była dla historyków narada, nie pamiętam już, czy w grud-

niu 1956 czy w styczniu 1957, przygotowana przez Tadeusza Manteuffla i jego najbliższych współpracowników. Na naradzie tej, w sposób gruntowny, świadczący o wieloletnich przemyśleniach, został zaatakowany system stalinowski w naukach społecznych. Tę krytykę kontynuował Manteuffel w słynnym swego czasu przemówieniu na V zjeździe historyków polskich, we wrześniu 1958 r. w Krakowie.

I jeszcze jeden fragment z Jego życia. Kilkanaście lat temu, w Jabłonnej, w czasie dyskusji nad makietą III tomu „Historii Polski” zaczął swe przemówienie od powiedzenia Boya: „Niech nam żyje cała Polska, od Chicago do Tobolska!”. Wśród obecnych na sali dygnitarzy zapanowała konsternacja. Wiadomo było, że po Manteufflu można się było wszystkiego spodziewać. A Manteuffel, człowiek o nieprzeciętnym zmyśle humoru, zrobiwszy efektowną pauzę, kontynuował: „Mam na myśli pominięcie przez autorów tak istotnego problemu życia polskiego jak emigracja!”. Bonzowie odetchnęli, Manteuffel nie upominał się o Tobolsk!

W tej facecji tkwił jednak problem istotniejszy. Zmarły był niesłuchanie uczulony na problemy rozsznanych po świecie Polaków. Niemal zawsze, zachodząc do Jego pokoju, widziałem listy z lub do Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte, za kontakt z którym był zresztą stale za plecami atakowany. Utrzymywał — i było to dlań kwestią zasad — kontakt z nami, emigrantami ostatniej doby. Ostatni list, który od Niego otrzymałem, nosi datę 1 maja 1970 roku. Pisał m.in.: „Zawsze interesuję się losem kolegów i warunkami w jakich znajdują się obecnie. Cieszy mnie, że znalazł Pan miejsce pracy odpowiadające Pańskim zainteresowaniom”. Był już wówczas ciężko chory. List pisany lewą ręką — prawą stracił w 1920 roku — nosi ślady nieprzeciętnego zmęczenia. Napawał niepokojem i smutkiem.

Dla władz był od dawna solą w oku. Często myślano nad usunięciem go ze stanowiska dyrektora Instytutu Historii PAN. W 1958 r., po wzmiankowanym przemówieniu w Krakowie, wydawało się że wniosek Werblana tym razem zostanie zrealizowany. Sprzeciwił się temu Ochab, żywiący dla Manteuffla głęboki szacunek. Później, usunąwszy go z Katedry na Uniwersytecie Warszawskim, zdecydowano czekać na niedaleki już moment przejścia na emeryturę. Miało to nastąpić w 1972 r. Natomiast od początku do końca stosowano politykę „unieszkodliwiania” poprzez narzucanie mu zastępców, cieszących się zaufaniem władz, ograniczaniem zakresu uprawnień, sabotowaniem decyzji i wniosków.

Ale zmęczony życiem i przeciwnościami Tadeusz Manteuffel pozostał wierny sobie. Z całą energią i stanowczością występował w 1968 i 1969 roku, gdy trzeba było bronić współpracowników, których chciano wygryźć z pracy ze względów ideologicznych lub rasowych.

Był uczniem wielkiego Marceliego Handelsmana. Mówiono powszechnie, że był nim również, jako masonem. Nigdy nie zadawałem

Mu pytań na ten temat. Jeśli był masonem, jeśli w jego życiu dyrektywy etyczne masonerii odgrywały jakąś rolę — wystawił tej instytucji najszczytniejsze świadectwo.

Józef LEWANDOWSKI

## In memoriam

Dnia 22 września br. zmarł w Warszawie prof. dr Tadeusz Manteuffel, dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, członek rzeczywisty PANu, a uprzednio Polskiej Akademii Umiejętności. Urodzony na Łotwie (w dawnych polskich Inflantach) w 1902 roku, prof. Manteuffel był przez całe swe życie związany z Uniwersytetem Warszawskim, najpierw jako uczeń Marceliego Handelsmana, później jako docent, a od 1945 roku jako profesor tejże uczelni. W okresie okupacji niemieckiej prof. Manteuffel był sekretarzem podziemnego pisma *Wiadomości Polskie* organu Komendy Głównej AK oraz kierował studium historycznym tajnego Uniwersytetu Warszawskiego a zaraz po wojnie reaktywował jego Instytut Historyczny, którego był kierownikiem do roku 1955. Jakkolwiek nazwisko prof. Manteuffla wiąże się przede wszystkim z powszechną historią średniowieczną, był on także autorem pracy o władzach oświatowych w Królestwie Kongresowym oraz kroniki Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1915/16-1934/35. Wśród licznych jego dzieł naukowych — pierwszy artykuł wydał w 1924 roku — wymienić należy: *Narodziny herezji, Papiestwo i cystersi, Średniowiecze powszechne, Teoria ustroju feudalnego, Polityka unifikacyjna Chłotara III oraz Polska pierwszych Piastów*. W latach 1950-1953 Tadeusz Manteuffel był prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego, a przez wiele lat, aż do śmierci, pełnił funkcje dyrektora Instytutu Historii PANu. W 1968 roku został usunięty z Uniwersytetu Warszawskiego.

Stojąc na czele Instytutu Historii, prof. Manteuffel znajdował się w szczególnie trudnym położeniu, wystawiony stale na naciski i interwencje władz. Występując w obronie nauki, prof. Manteuffel potrafił zachować godność osobistą i wykazać dużą odwagę cywilną. W okresie czystek roku 1968 stanowczo odmawiał usuwania pracowników naukowych Instytutu, atakowanych z pozycji politycznych lub rasowych. Z Jego śmiercią nauka historii traci wielkiego znawcę średniowiecza, cenionego w Kraju i za

granicą, a Polska jednego ze swych wybitnych uczonych o wielkim autorytecie moralnym.

Cześć Jego pamięci.

#### HISTORYCY W WIELKIEJ BRYTANII

podpisali w Londynie na zebraniu P.T.H. pierwsi prof. Tadeusz Sulimirski przewodniczący oraz prezes P.T.H. Marian Kukiel. Dalsze podpisy zestawione w porządku alfabetycznym.

Jan Baliński-Jundziłł  
Stanisław Biegański  
W. Biegańska  
Zofia Byrowa  
Ludwik Byrtus  
Adam i Lidia Ciołkoszowie  
p. Cypryszewska  
W. Ł. Cypryszewski  
K. Czechowicz  
Maria Danilewiczowa  
S. Domańska  
J. K. Domański  
B. T. Dytrych  
Józef Garliński  
Fryderyk Goldschlag  
Bronisław Hełczyński  
Zofia Hołub-Pacewiczowa  
Zdzisław Jagodziński  
J. Kędziarski  
Leon Koczy  
Józef Łobodowski

G. Łowczowski  
Ludwik Maik  
J. Mękarska  
A. Michalek  
Wacław Milewski  
F. Mrozik  
R. Oppmanowa  
H. Ostrowska  
J. Ostrowski  
Kazimierz Pacewicz  
A. Porayska  
Janina Prauss  
J. Romocki-Prawdzie  
L. Rudenska  
A. T. Sawczyński  
K. Skrzywan  
A. Szkuta  
Lucjan Turkowski  
Z. Trzeciak  
B. Wroński  
J. Zórawska.

#### HISTORYCY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Lucjan Dobroszycki, New York, poprzednio w Inst. Historii, PAN  
W. Drzewieniecki, Buffalo State Univ. College  
K. Dziewanowski, Boston University  
Andrzej Ehrenkreutz, Michigan University  
Thaddeus Gromada, Jersey City State College  
Oskar Halecki, Scarsdale, poprzednio Uniw. Warszawski, Fordham University, Columbia University

Wacław Jędrzejewicz, Instytut im. J. Piłsudskiego, New York  
Halina Konopczyńska Heitzmanowa  
Eugene Kusielewicz, St. John Univ.  
Henry J. Lang, Buffalo State Univ. College  
Charles Morley, Ohio State Univ.  
Walentyna Rudzka, New York  
Wacław Soroka, Wisconsin State University  
Piotr Wandycz, Yale University

#### HISTORYCY W INNYCH KRAJACH

Fryderyka Kalinowska, Stockholm  
Karol Lapter, Instytut Polityki Międzynarodowej, Stockholm  
Józef Lewandowski, Uniwersytet w Sztokholmie

Stefan Glaser, Bruksela  
Dawid Fajnhaus, Jerozolima  
Paweł Korzec, CNRS, Paryż  
Marian Szczepanowski, Polskie Towarzystwo Historyczne w Australii

## Kronika kulturalna

### W oczach Londynu

#### SUKCES RZECZYWISTY CZY POZORNY?

(Uwagi o londyńskim Kongresie Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie)

Gdy publiczność wypełniająca po brzegi wielkie audytorium Imperial College dziękowała oklaskami organizatorom Kongresu — aplauz był powszechny i szczery. W kilka godzin potem tłum śpieszący do „Ogniska” na galowe przedstawienie „Zemsty” — *vis-à-vis* wejścia do gmachu obrad — z zalem spoglądał na pospieszną likwidację wystaw i — jakżeż my tego nie lubimy! — zdjęcie orła z biało-czerwonej dekoracji na frontonie College'u. Wreszcie finał: na scenie fredrowskie „Zgoda, zgoda” — na widowni uścisk dłoni Augusta Zaleskiego i Edwarda Raczyńskiego, Prezydenta i Ambasadora. Jednym odebrało to sen, inni w rojeniach sennych przenosili zakończenie „Zemsty” na narodową scenę.

Naprzód więc o Blaskach. Należała do nich Oprawa i Masowość zjawiska. Gigantyczny hall nowego gmachu College'u przy Exhibition Road, w centrum polskiego Londynu, był doskonałym tłem stoisk informacyjnych i wystaw, które wypełniły parter budynku, rozlewając się szeroko w głąb. Posiedzenia plenarne i komisyj miały do dyspozycji przestronne i wygodne audytoria dostosowane do potrzeb kongresów międzynarodowych. Sale te wypełniał tłum rodaków, ruchliwszy i hałaśliwszy od przeciętnych kongresowiczów, których obserwujemy, gdy kolejno obejmują w okresie letnim te same pomieszczenia. Toteż Kongres polski rzucał się w oczy przeciągających ulicą turystów przystających przed wejściem w drodze do pobliskich muzeów. Wywoływał żywe zainteresowanie. Nie dotarło ono, niestety, do prasy, radia i telewizji angielskiej, które Kongres przemilczały. Zajęła się nim natomiast na wielką skalę Rozgłośnia Polska Radia Wolnej Europy. Obrady Kongresu nagrano na taśmę; sporządzono setki fotografii i film, obrazujący całość. Materiały te pozwolą w przyszłości na rzeczową ocenę całości przedsięwzięcia.

Integralną częścią Kongresu były wystawy, koncert, przedstawienie teatralne, lampka wina i bankiet. Wystaw było pięć: Emigracyjnej Książki i Prasy, Sztuk Plastycznych, Fotograficznej i Filatelistyczna — w gmachu Imperial College oraz Wystawa Zbiorów Historycznych Biblioteki Polskiej w Londynie w pobliskim gmachu przy Princes Gardens. Nadto niemal wystawy w wystawie: dwu oficyn bibliofilskich Gliwy i Bednarczyków, wydawnictwo B. Jeżewskiego, Teatru dla dzieci „Syrena” i kiosk informacyjny Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Wreszcie fantastycznie zorganizowana obsługa pocztowa: cztery rodzaje pocztówek upamiętniających Kongres i związane z nim wystawy i specjalny datownik poczty brytyjskiej. Wspomnieć jeszcze warto o małej ale cennej wystawie marginesowej akwafort Norblina w ruchliwym antykwariacie p. R. Wernika. Trwałą pamiątką Wystaw będą katalogi, w których opracowanie włożono dużo pracy i inwencji, a których treść kryje cenne materiały informacyjne, zwłaszcza z zakresu wydawnictwa.

Na Wystawie Plastyków raziła nieobecność wielu nazwisk. Czyżby Feliks Topolski nie chciał brać udziału w imprezie związanej z Kongresem Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej *na Obczyźnie*? Czemu nie znalazł się przytulny kątek dla artystów starszych generacji — a więc np. Mariana Kratochwila czy Jakuba Rostowskiego? Czemu nie objawił się publiczności kongresowej ani Jan Pieńkowski („Gallery Five”) ani młodzi plastycy, wychowankowie Royal Academy of Art (np. świetna ilustratorka Barbara Świdowska)? Laik, piszący te słowa, docenia w pełni Józefa Czapskiego, Mariana Bohusza-Szyszkę, Halimę Nałęcz — i cały gwiazdowski reprezentowany na Wystawie — pozwala sobie jednak zadać pytanie: Dlaczego? (A tu jeszcze przypomina się „Zawado”, malujący przecież nadal w Prowancji!).

Wreszcie Biblioteka Polska w Londynie nie jest jedyną placówką zdolną do pokazu cennych zabytków przeszłości. Można było spodziewać się równoległego wystąpienia Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego (choć na pociechę oglądać było można w budynku przy Princes Gate cenną Wystawę Lotniczą). Nie włączył się do Kongresu Fawley Court — bodaj w formie wezwań do zwiedzania stałej wystawy cennych ksiąg i dokumentów ze zbiorów śp. ks. Józefa Jarzębowskiemu i imponującej Komnaty Rycerskiej stworzonej przez płk. Witolda Buchowskiego. (Zbieracze prywatni klasy p. Tadeusza Zabłockiego czy p. Jana Nowaka, nie mówiąc o p. Andrzeju Ciechanowieckim, mogliby także zaprezentować społeczeństwu emigracyjnemu swoje zbiory z okazji Kongresu. *Day dreaming*? — być może! Albo — temat do snucia projektów na przyszłość. Dopominano się przecież o następnym Kongresie za kilka lat).

Wspomniało się o Masowości Kongresu. Przytoczone na zakończenie obrad cyfry wyglądają istotnie imponująco: 460 uczestników, którzy zdobyli się na wysoką bo aż pięcioletnią opłatę za udział — 101 przyjezdnych spoza Wielkiej Brytanii — jest niewątpliwie sukcesem. Osłabia go przypomnienie nieobecnych.

Niektórzy z nich, jak np. prof. W. Weintraub czy Adam Czerniawski nadesłali referaty. Inni po prostu Kongres zbojkotowali czy przeoczyli. Dotyczy to m.in. do londyńskiej gleby przypisanego prof. Andrzeja Buszy (był w W. Brytanii) albo prof. Floriana Śmieji (dtto). Raziła nieobecność wielu wybitnych przedstawicieli nauk ścisłych i technicznych, tym dziwniejsza, że w rękę ich kolegów skoncentrowały się prace przygotowawcze nad Kongresem i że oni Kongres do skutku doprowadzili.

Warto przypomnieć prehistorię zjazdu tegorocznego. Rodził się niezmiernie ciężko i niewiele brakło, by podzielił losy daleko także zaawansowanych przygotowań z roku 1956. Trzeba było przezwyciężyć trudności natury politycznej, finansowej, organizacyjnej i wytrzymać setki godzin sarmackich rozważań natury regulaminowo-statutowej, które tyle już pogrzebów pięknych poczynań mają na swym rachunku. Pesymiści, wątpiacy o przyszłości POSKu, mają pełne prawo zachwiać się w swej postawie. Skoro prof. R. Wajda doprowadzić potrafił do zrealizowania Kongresu — da radę i z Domem POSKu na Hammersmith! Warto jednak w bilansie strat odnotować ów smutny wkład jałowej gadaniny, która sprawiła, że np. pisząca te słowa wyłączyła się w pewnym momencie z grona organizujących Kongres, ograniczając się jedynie do przygotowania imprezy wystawowej.

Stosunkowo liczny udział uczestników w wieku młodym i średnim był przyjemną niespodzianką. Byłoby ich więcej, gdyby dopisali technicy. Wiele mówi się o przyczynach ich abstynencji. Jedną z nich jest fakt, iż — pracując w angielskich instytucjach — prowadzą badania naukowe związane z działalnością tych instytucji, na ich koszt i na warunkach, w których stale powraca obowiązek publikowania wyników w określonych wydawnictwach czy czasopismach. Inni — w wieku średnim — porażeni są dotąd kompleksem datującym się z wczesnych lat powojennych, gdy Polskie Tow. Naukowe na Obczyźnie odnosiło się z rezerwą do pracowników naukowych ze świeżymi dyplomami brytyjskimi, domagając się krajowych stopni naukowych i udziału w pracach PAU. (Dotyczyło to zresztą nie tylko techników. Wierność kwalifikacjom formalnym dotknęła wówczas śp. Jana Bielatowicza — i wielu żyjących, których nazwisk wołę nie wymieniać, by nie wsadzać kija w mrowisko). Jeszcze inni — publikujący prace po angielsku a sądzący, iż na Kongresie wypadałoby wystąpić po polsku, załamywali się na trudnościach terminologicznych. Nie są to, oczywiście, racje dostateczne.

Referatów zgłoszono ponad setkę, co nie jest jednak powodem do szczególnego zadowolenia. Nie tylko dlatego, że przeraża rozpiętość tematów owych „wypracowań na tematy dowolne”! Podobnie, jak w dyskusjach na Komisjach, poziom wypowiedzi jest nierówny a w niektórych wypadkach żenująco słaby. Do legendy Kongresu przejść powinien surrealistyczny głos w dyskusji nad referatem o „Wiosnie Ludów”, w którym mówca przeszedł niepostrzeżenie od roku 1848 do Moczara. To znów niefortunny referent oczywiście pomylił tłumaczył faktem, iż oryginalny tekst refe-

ratu przygotowany był dla cudzoziemców, których najwidoczniej bezgrzesznie można było wprowadzać w błąd (bo i tak nic nie zapamiętają). Tu — tłumaczyl beztrzesko — przedstawił skrót. Stąd błędy. Bardzo to przypominało znane powiedzenie o nieortograficznie piszącej maszynie.

Obrady toczyły się w 23 komisjach i trwały łącznie ponad 60 godzin (w ciągu trzech dni). Przy najlepszych chęciach można było wysłuchać kilku referatów i wywołanych nimi dyskusji. Wypadły one, jak sądzić można z licznych głosów, najlepiej na Komisji Historycznej. Potwierdza to „nauszne” wrażenie z referatów Romana Buczka o „Polskim państwie podziemnym w latach 1939-1943” i Józefa Garlińskiego o „Dokumentacji Armii Krajowej”. W pochwalę tej dochodzi zapewne do głosu głoś tematów związanych z dzisiejszą rzeczywistością. Nazwa Kongresu mówiła o współczesności. Było jej na Kongresie za mało. Że nie jest to sąd odosobniony świadczy rekordowa frekwencja na *ad hoc* zorganizowanej sesji Komisji Masowych Środków Przekazu: uczestnicy oczekiwali niewątpliwie większej dawki tematów aktualnych w formie sprawozdań, ocen i rozważań nad problematyką.

Nie zdołano ukończyć na czas prac drukarskich nad tomem I-ym referatów zjazdowych. Z rąk krążyły jednak odbitki poszczególnych prac, wywołując niepokój pozostawiającą wiele do życzenia szatą graficzną i mnóstwem błędów, odwróconych wierszy itp. Zły to omen dla przyszłej całości. Drukarnia nie była najwidoczniej przygotowana do przedsięwzięcia na tak wielką skalę a ponaglana warunkami umowy kładła nacisk na tempo — a nie jakość wykonania. Wierzyć należy, że Komitet Kongresowy wyprowadzi tę kłopotliwą sprawę na czyste wody, pamiętając, że Kongres przeminął — a księga zostanie!

Każdy z uczestników wyniósł z Imperial College inną — własną — wersję Kongresu i inaczej sądzi jego dorobek. Dla piszącej te słowa była to jakby próba generalna — prolegomena Wielkiego Przyszłego Kongresu, który by skupił i wydobył na jaw nie jakieś niespodzianki, ale wartości istotne, które w roku bieżącym częściowo tylko zdołano ujawnić. Ci, którzy na Kongres nie przybyli, choć wziąć w nim udział mogli, pomniejszyli niewątpliwie rozmiary sukcesu. Bo jednak, w chłodnej ocenie, określić należy ogólny wynik przedsięwzięcia jako rzeczywisty i ciężko wypracowany sukces.

m. d.

#### K O M U N I K A T

Ze względu na zainteresowanie, jakie wywołał Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej, który miał miejsce ostatnio w Londynie, organizuje się dodatkową sesję Kongresu w Lille, w dn. 28 listopada rb. Przewidziane są sekcje: techniczna, humanistyczna, społeczna i biologiczna. Obrady będą się odbywały w języku francuskim.

Zaproszenia na Sesję oraz szczegóły można uzyskać w sekretariacie Sesji. Adres: J. Deryng, 61, rue de la Monnaie, 59 - Lille, France.

### Czesi i Słowacy w Kanadzie

Antagonizm czesko-słowacki choć może nieco osłabł na emigracji, ale jednak istnieje. A jeśli informacje słowackich nacjonalistów są ścisłe — a wiele za tym przemawia — to istnieje on również w Czechosłowacji. Niektórzy Słowacy w Kanadzie dalecy są od bagatelizowania faktu, który powstał po upadku Dubczeka, a mianowicie utworzenia — formalnie — dwóch rządów: czeskiego i słowackiego obok federalnego. Podkreślają oni że nosicielami antydogmatycznego programu w partii komunistycznej byli Słowacy a nie Czesi. Nie będziemy tu jednak rozważać tego problemu, chcemy jedynie omówić dwie publikacje dotyczące tych grup narodowych w Kanadzie. Istniejący między nimi antagonizm spowodował, iż nie mogła ukazać się jedna wspólna praca w serii CANADA ETHNICA, ale obydwie poza nią. Niemniej jednak autorzy obu prac korzystali z subwencji rządowej w ramach prac Komisji Stulecia.

Najpierw ukazała się wyczerpująca praca Józefa M. Kirschbauma „Slovaks in Canada” a następnie Johna Gellnera i Johna Smereka „Czechs and Slovaks in Canada”. Kirschbaum jest czołowym działaczem słowackim, przewodniczącym Rady Słowackiej, orędownikiem niezależności i samodzielności państwowości Słowaków. Wywodzi się z grupy ks. Hlinki. Po proklamacji niepodległości w 1938 roku przez krótki okres czasu pełnił funkcje w aparacie partyjnym w Bratysławie, był sekretarzem generalnym, po czym przeszedł do służby dyplomatycznej. W Kanadzie przebywa od 1949 roku. Był wykładowcą na wydziale sławistycznym w Montrealu, Ottawie i Toronto i jest autorem licznych prac politycznych, esejów, szkiców literackich i historycznych — wszystkich dotyczących Słowacji.

Wbrew tytułom swoich prac autorzy nie ograniczyli się do Kanady. Głównie odnosi się to do dzieła dra Kirschbauma, który daje obszerny zarys nie tylko historyczny, ale i polityczny. Umiejętnie broni odrębności państwowej, krótkich dziejów niepodległości pod patronem Trzeciej Rzeszy. Broni przywódców i polityki. Odpiera oskarżenia jakoby ci przywódcy nacjonalistyczni byli tylko pionkami w rękach Hitlera czy też entuzjastami systemu hitlerowskiego, stara się wyjaśnić okoliczności w jakich żyli i zmuszeni byli działać. Jest surowy w osądzeniu polityki czeskiej.

Ów antagonizm czesko-słowacki jest bardzo dyskretnie przedstawiony w pracy Gellnera i Smereka. Ten ostatni jest Słowakiem, reprezentującym kierunek umiarkowany, federalistyczny. Gellner jest w Kanadzie od 1939 roku, służył w kanadyjskim lotnictwie, a po demobilizacji był wykładowcą w wyż-



szej szkole wojennej i publikował w prasie codziennej szereg artykułów o tematyce politycznej i militarnej. Jest jednym z bardzo nielicznych imigrantów posiadających poważną pozycję w publicystyce.

Smerek był w służbie dyplomatycznej do 1948 roku i opuścił ją w Rzymie, gdzie był radcą ambasady czechosłowackiej. Opublikował szereg artykułów o sprawach międzynarodowych oraz etnicznych. Jest urzędnikiem rządu prowincji Ontario.

Dzieło Kirschbauma jest najbardziej wyczerpującą i drobiazgową pracą o Słowakach w tym kraju. Oczywiście nie powstrzymał się, podobnie jak to uczynili autorzy pracy o Litwinach, przed „anektowaniem” niektórych Polaków, tym niemniej jest to istna kopalnia źródłowych informacji. Autor nie uchronił się jednak od przesadnej oceny poszczególnych osiągnięć, nie pominał chyba żadnej, najmniejszej organizacji w najbardziej zapadłym zakątku Kanady. Nie omieszkał zanotować wszystkich nazwisk brzmiących „słowacko”.

W ten sposób grupa słowacka — liczebnie jedna z najmniejszych — urasta do potęgi. Dr Kirschbaum ma tu bardzo wielkie zasługi, ale sławę swoją w Kanadzie zawdzięczają Słowacy Stefanowi Romanowi, wiejskiemu chłopu, który okazał się geniuszem finansowym i zdobył majątek sięgający kilkuset milionów dolarów. Nie szczędi on grosza na różne akcje słowackie, popierając jednak również różne inicjatywy innych grup etnicznych.

Gellner i Smerek są o wiele bardziej zwięzli i grubo mniej szczegółowi. Jest to raczej praca o charakterze publicystycznym — zresztą w najlepszym tego słowa znaczeniu — aniżeli historycznym. Jedna trzecia książki dotyczy przeszłości dziejów obu narodów i wspólnego państwa. Autorzy — jak już wspomnieliśmy — są powściągliwi. Nie ukrywają rozbieżności i różnic jakie istniały, ale bardziej uwypuklają elementy, które łączyły oba narody. Dają zarys dziejów osadnictwa Czechów i Słowaków, przegląd prac różnych organizacji oraz bardzo krótką charakterystykę czołowych osobistości obu grup. Obie książki są bogato ilustrowane i opatrzone bibliografią i indeksami.

Benedykt HEYDENKORN

Joseph M. Kirschbaum: *Slovaks in Canada*, Ethnic Press Ass. of Ontario, Toronto, 1968, str. XVI-468.

John Gellner and John Smerek: *Czechs and Slovaks in Canada*, University of Toronto Press, Toronto, 1968, str. X-172.

## Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

### Socjologia

213. KUBIAK, Hieronim: *Polski Narodowy Kościół Katolicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach 1897-1965, jego społeczne uwarunkowania i społeczne funkcje*. Wrocław, 1970, Zakł. Nar. im. Ossolińskich — Wydawnictwo PAN, str. 211 (3). (W serii „Prace Komisji Socjologicznej PAN, Oddz. w Krakowie”, Nr 18).

U podłoża sekty kryła się m.in. tendencja do przeciwstawiania się wynaradawianiu, złączona z pragnieniem ożywienia życia religijnego polskiego.

W chwili obecnej, w wyniku postępów amerykańskiej członków sekty, traci ona grunt pod nogami i, podejmując próby ratunkowe, „dąży do nawiązania ścisłych więzów tak z amerykańskim społeczeństwem, jak i z jego systemem wyznaniowym”. „Nowi (przywódcy) urodzili się w Stanach Zjedn. i myślą amerykańskimi kategoriami”. Autor sądzi iż sekta „stanowi odważną próbę ludowej reformy kościelnej, w której elementy religijne zostały podporządkowane programowi służby społecznej i narodowi”.

214. WIATR, Jerzy J.: *Naród i państwo*. Socjologiczne problemy kwestii narodowej. Warszawa, 1969, Książka i Wiedza, str. 436 (4).

Autor analizuje problem narodu w ujęciu Marksa i Engelsa, teoretyków II Międzynarodówki oraz Lenina i jego interpretatorów, a następnie poglądy na kwestię narodową marksistów polskich. Część drugą wypełnia „Socjologiczna teoria narodu” (terminologia, dynamika procesów narodowych, pojęcia narodu-klasypaństwa, uwagi o polskim charakterze narodowym i świadomości narodowej).

### Eseistyka polityczno-społeczna

215. GRZYBOWSKI, Konstanty: *Refleksje sceptyczne*. Warszawa, 1970, Książka i Wiedza, t. I: str. 558 (6); t. II: str. 314 (2).

Przedruki artykułów, recenzji itp. rozproszonych po czasopismach. Tom pierwszy podzielony jest na części o tytułach: „Świat współczesny”, „Ten inny świat”, „Świat socjalizmu”, „Portrety” (m.in. ks. Adama Czartoryskiego, prof. Adama Krzyżanowskiego, Juliana Nowaka, prof. Tad. Kotarbińskiego), „Religia”, „Nauka, uczone, nauczanie”. Tom drugi skupia dłuższe eseje historyczne (m.in. „Anachroniczna historiozofia prof. Haleckiego”).

### Historia gospodarcza

216. KULA, Witold: *Miary i ludzie*. Warszawa, 1970, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 666 (2), bibliogr., streszczenie w języku francuskim.

Autor, marksista, rozpatruje pod kątem widzenia historii, ekonomii i socjologii „znaczeniowy i funkcjonalny charakter dawnych miar”, „realistyczne i symboliczne wyobrażenia o miarach i mierzeniu”, „miary jako atrybut władzy”, miary antropometryczne i agrarne, stan rzeczy w dawnej Rzeczypospolitej — oraz, w części IV-ej — dzieje metra — „jednego z dobrodziejstw Rewolucji”.

### Sztuki plastyczne

217. GRABOWSKI, Józef: *Ludowe obrazy drzeworytnicze*. Warszawa, 1970, Instytut Wydawniczy PAX, str. 250 (2), 118 ilustracji czarnobiałych i 3 barwne.

Autor nawiązuje do prac poprzedników: Wład. Skoczylasa, Ksawerego Piwockiego i „Teki” Łazarskiego, poszerzając wyniki ich pionierskich prac i wydobywając na jaw liczne drzeworyty dotychczas nie publikowane. Szata graficzna bardzo staranna.

218. JAKIMOWICZ, Andrzej: *Jacek Malczewski i jego epoka*. Warszawa, 1970, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 202 (2), ilustr.

Popularna monografia uzupełniona starannie opracowanym kalendarium życia i twórczości artysty, który — jak stwierdza Jakimowicz w przedmowie — „stał się ostatnio malarzem niemalże „modnym”. Przypomnieć warto, że przed dwoma laty ukazała się nakładem Ossolineum naukowa monografia Malczewskiego opracowana przez Jadwigę Puciata-Pawłowską.

## Historia teatru

219. KRASIŃSKI, Edward: *Teatr Jaracza*. (Ateneum 1928-1939). Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 314 (2), bibliogr., indeks nazwisk i sztuk.

Próba monograficznego zarysu dziejów „pierwszego” i „drugiego” „Ateneum”.

## Literatura piękna (utwory dramatyczne)

220. HERBERT, Zbigniew: *Dramaty*. (Warszawa, 1970), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 145.

Tom zawiera teksty: „Jaskini filozofów”, „Rekonstrukcji poety”, „Drugiego pokoju” i „Lalka”.

221. RÓŻEWICZ, Tadeusz: *Teatr niekonsekwencji*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 93.

Teksty sztuk teatralnych: „Śmieszny staruszek” i „Stara kobieta wysiaduje” uzupełnione komentarzami autora na temat „Teatru niekonsekwencji” z programu studenckiego teatru „Step” w Gliwicach i szkicem pt. „Przyrost naturalny. (Biografia sztuki teatralnej)”.

## Literatura piękna (proza powieściowa)

222. FICOWSKI, Jerzy: *Czekanie na sen psa*. (Kraków, 1970), Wydawnictwo Literackie, str. 188, ilustrował Jacek Gaj.

28 krótkich opowiadań pisanych dobrą prozą o wymownym podkładzie metaforycznym. Warto zapamiętać nazwisko ilustratora świadomie nawiązującego do tradycji Brunona Schulza.

223. ORŁOŚ, Kazimierz: *Ciemne drzewa*. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 194 (2).

Trzydzieści opowiadań, nasuwających analogie z Hłaską czy Iredyńskim. Pointy moralistyczne są jednak wybite silniej a tok prozy spokojniejszy, opanowany — nawet, gdy tematem opowiadania (np. w „Upale”) jest brutalność ludzka w obowiązującym świecie dzisiejszy (nie tylko PRL) nasileniu. Opowiadanie tytułowe („Ciemne drzewa”) jest niezmiernie wymownym opisem pielgrzymki Mężczyzny i jego kilkunastoletniego syna do „kraju lat dziecińczych” Ojca — na wschodzie, przy ruinach cerkiewki, starym cmentarzu i zdziczałym sadzie. Była tam ongiś wieś, spalona: „wszyscy musieli wyjechać, — tłumaczy synowi. — Mówiłem ci już: ta ziemia przesiąkała krwią”. Reakcja syna: „Warto to było jechać taki kawał, iść, spać tu na ziemi i wracać znów?”.

## Historia literatury

224. OSTROWSKI, Witold: *Romans i dramat*. Angielsko-polskie studia renesansowe. (Warszawa), 1970, Instytut Wydawniczy „Pax”, str. 217.

Autor jest profesorem anglistyki Uniw. Łódzkiego. Wydał obecnie osiem szkiców o Marlowe’ie, Szekspirze i Fr. Baconie, podkreślając zbieżność i pośrednie echa ich twórczości na współczesnych pisarzy polskich z końca XVI i I-ej połowy XVII w. Na szczególną uwagę zasługuje wnikliwy szkic o „Wyspie mędrców” Bacona i problematyce powieści utopijnej.

225. STAROWOLSKI, Szymon: *Setnik pisarzy polskich albo pochwały i żywoty stu najznakomitszych pisarzy polskich*. Przełożył i komentarzem

opatrzył Jerzy Starnawski. Wstęp napisali: Franc. Bielak i Jerzy Starnawski. Kraków, 1970, Wydawnictwo Literackie, str. 364 (2), front, portr., ilustr.

Staranny przekład dziełka uważanego za pierwsze opracowanie dziejów literatury polskiej i pierwszą próbę bibliografii z tego zakresu. Wbrew tytułowi: Hekatomas (Setnik) przynosi dane dotyczące ok. 200 pisarzy. Gorzka lekcja historii — przeważają nazwiska najdoskonalej zapomniane. Kto słyssał o nazwiskach: Piotr Lilia, Jakub Janidło, Antoni z Napachania?

226. SIEROSZEWSKI, Andrzej: *Maurycy Beniowski w literackiej legendzie*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 331, ilustr.

Książka bardzo ciekawa, szeroko uwzględniająca węgierskie relacje o Beniowskim, awanturniku, podróżniku i pamiętnikarzu, twórcy autolegandy, pełnej mistyfikacji — a nadto bohaterze licznych utworów literackich. Beniowski był w rzeczywistości Węgrem, tytuł hrabiowski otrzymał dopiero w roku 1778. W pamiętnikach przesadził rolę odegraną w Konfederacji Barskiej; nie był także nigdy wybrany formalnie na „ampansakabe” Madagaskaru, a przygody morskie, stanowiące najmocniejsze tytuły do sławy opisane były także przez niego w duchu wyolbrzymiania trudności. Była to jednak niewątpliwie postać głośna i barwna — o popularności „Pamiętników” świadczą szereg utworów, wywodzących się z nich pośrednio, a podpisanych nazwiskami tej klasy, co A. Kotzebue, Słowacki czy Sieroszewski. Autor książki pomnożył znacznie stan wiedzy o Beniowskim, dodając informacje o mniej znanych utworach literackich, operach i opracowaniach naukowych, ze szczególnym uwzględnieniem hungariców.

227. NAWROCKI, Witold: *Trwanie i powrót*. Szkice o literaturze Ziemi Zachodnich. Poznań, 1969, Wydawnictwo Poznańskie, str. 390 (4) p.

Tom zawiera m.in. szkice o Marii Dąbrowskiej (Silesiana w twórczości autorki „Nocy i dni”), Gustawie Morcinku, Stanisławie Wasylewskim (jako autorze „Na Śląsku Opolskim” i antologii „Legend, podań i baśni śląskich”), Ksaw. Pruszyńskim, Eug. Paukszczie, Henryku Worcellu, Irenie Dowgielewicz, Bogusławie Kogucie, Tadeuszu Mikołajku, Wiesławie Rogowskiem, Zdzisławie Hierowskiem i Augustynie Neclu.

## Życiorysy

228. STERN, Anatol: *Bruno Jasiński*. Warszawa, 1969, Wiedza Powszechna, str. 237 (3), ilustr. (W serii „Profile”).

Zbiór szkiców o życiu i twórczości Jasińskiego pióra przyjaciela, który — jak pisze w przedmowie — wspólnie z Jasińskim „tworzył futurizm w Polsce w latach dwudziestych tego wieku, dając podwaliny naszej nowej poezji”. Autor starał się powiedzieć jak najwięcej o ostatnich latach życia Jasińskiego, zmarłego na zesłaniu w szpitalu dla zakaźnie chorych pod Władystokiem. Praca oparta jest m.in. o materiały uzyskane od syna Jasińskiego, Andrzeja, inżyniera zamieszkałego w Moskwie.

229. BIEŃKOWSKI, Wiesław: *Kazimierz Kelles-Krauz*. Życie i dzieło. Wrocław, 1969, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, str. 316. (PAN-Oddz. w Krakowie, Prace Kom. Nauk Historycznych, Nr 24).

Obraz działalności politycznej wybitnego działacza P.P.S. z okresu przed rozłamek. Najcenniejsza część książki dotyczy okresu paryskiego (1892-1901) i wiedeńskiego (1901-5). Autor, uczeń prof. Kaz. Dobrowolskiego, należy do młodszej pokolenia historyków, studiował historię i socjologię na Uniw. Jagiellońskim.

## Pamiętniki

230. KOSTRZEWSKI, Józef: *Z mego życia*. Pamiętnik. Wrocław, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 356, ilustr.

Wspomnienia znakomitego archeologa, wydane po śmierci autora staraniem syna, Bogdana.

231. RZEPECKI, Wit Maciej: *Skalpel ma dwa ostrza*. Wrocław, 1970, str. 502 (2), ilustr.

Pamiętnik znanego chirurga, który w czasie II wojny światowej czynny był we Francji, Szkocji (I Bryg. Strzelców Podhalańskich) a po roku 1945 w Kraju w kilku sanatoriach przeciwgruźliczych.

## Historia

232. NARÓD I PAŃSTWO. Prace ofiarowane Henrykowi Jabłońskiemu w 60 rocznicę urodzin. Warszawa, 1969, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 436, front, portret, bibliografia prac prof. Jabłońskiego.

Książka zbiorowa, zawierająca prace przyjaciół i uczniów. Kilka ciekawych tytułów: Leon Chajm: Ruch rotariański w Polsce międzywojennej; Stan. Herbst: Historyczne elementy polskiego planu wojny 1939 r.; Tad. Jędruszcak: Polska 1919 roku w opinii wojskowych kurierów francuskich; Jan Kancewicz: Działalność wydawnicza PPS w kraju w latach 1894-6; Andrzej Zahorski: Zródła do biografii T. Kościuszki i powstania 1794 r. w Bibl. Polskiej w Paryżu.

## I Wojna Światowa (sprawa polska)

233. PAJEWSKI, Janusz: *Wokół sprawy polskiej Paryż-Lozanna-Londyn, 1914-1918*. Poznań, 1970, Wydawnictwo Poznańskie, str. 254 (2).

Prof. Pajewski, autor kilku opracowań problemu polskiego w czasie I Wojny Światowej od strony polityki Państw Centralnych, podejmuje obecnie próbę oświetlenia zabiegów o pozyskanie mocarstw zachodnich. Na książkę składają się dłuższe rozprawy o tytułach: „Nad Sekwaną”, „Nad Lemanem”, „Nad Tamizą” oraz załączniki: „Sienkiewicz wobec aktu 5 listopada”, raporty Skrzyńskiego o zawiązaniu Kom. Narodowego i o rozmowie z Dmowskim oraz memoriał francuskiego MSZ o Polsce. Autor uwzględnia szeroko działalność Sienkiewicza i wywierane na niego naciski — akcje podejmowane przez Dmowskiego i Augusta Zaleskiego — rolę Namiera i Al. Lednickiego itd.

## II Wojna Światowa

234. RZEPNIEWSKI, Andrzej: *Wojna powietrzna w Polsce — 1939 na tle rozwoju lotnictwa Polski i Niemiec*. Warszawa, 1970, Ministerstwo Obrony Narodowej, str. 224 (4), ilustr., wykresy, tablice i inne załączniki (w oddzielnym dodatkowym zeszycie. (Wojskowy Instytut Historyczny).

Według oświadczenia autora „praca ma stanowić pierwszą próbę przedstawienia wojny powietrznej w Polsce — naszkicowania jej problemów ogólnych, organicznie związanych z całokształtem wojny obronnej Polski w 1939 roku”. Materiały, z których korzystał autor, „nie obejmują w zasadzie źródeł archiwalnych. Praca opatrzona jest streszczeniami w języku rosyjskim, francuskim i niemieckim.

## Nadesłane nowości wydawnicze

*Kościół w Polsce. Wieki XVI-XVIII*. T. II. Red. Jerzego Kłoczowskiego. Str. 113 i 2 nlb. oraz mapy. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków, 1969).

*Katalog Wystawowy Zbiorów Historycznych*. Str. 63 i 1 nlb. Opracowanie Marii Danilewiczowej i Zdzisława Jagodzińskiego. (Wyd. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Londyn, 1970).

ŻYTMIRSKI (Eugeniusz). *Sonety*. Odbitka z Nr. 1208 *Wiadomości*, Londyn.

ŻYTMIRSKI (Eugeniusz). *Słowacki i „Pan Lermontow”*. Wyd. II. Str. 7 (Odbitka z *Przeglądu Humanistycznego*, Nr 6, 1966. London, Kanada, 1970).

KAMENECKYJ (Ihor). *Niemiecka polityka suproty Ukrainy w 1918 r. ta jaja historyczna heneza*. Str. 27. (Odbitka z pisma „Ukraiński Istoryk”, Nr 17-20 (1968) i 21-23 (1969).

*Kalendar almanach „Mita” na 1970 rik*. Str. 128. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos-Aires 1969).

PAVLIKOWSKA - JASNORZEVSKA (Marija). *Wiersze*, wybrał i przełożył Petar Vujicić. Str. 63. (Wyd. Mlado Pokolenije, Belgrad 1969).

BRUGGER (Emil). *Pereżywannia szwajcara u sowietśkomu sojuzi*. Str. 48. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos Aires, 1969).

MAKSIMOV (Wladimir). *S one strane Pruga*. Str. 111. (Wyd. „Rad”, Belgrad 1969).

TATARKA (Dominik). *Pletene Stolice*. Str. 111. (Wyd. „Rad”, Belgrad 1969).

KOROŁEWA (Natałena). *Bez korinnia*. Str. 218. (Wyd. „Dobra Knyżka”, Toronto, 1968).

TEODOROWICZ (Joann — Metroplita). *U wielkie niewidome*. T. I — *Wglianiennja*. Str. 619 i 3 nlb. T. II — *Dochodżennja*. Str. 479 i 3 nlb. T. III — *Wzoriennja*. Str. 480 i 3 nlb. (Nakładem autora, Filadelfia, 1970).

KOLIASKA (I. W.). *Oswita w radiańskij Ukraini*. Str. 246. (Wyd. Peter Martin Associates Ltd., Toronto, 1970).

KOLASKY (John). *Education in Soviet Ukraine*. Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Peter Martin Associates Ltd., Toronto, 1968).

*General Kazimierz Sosnkowski, The United States and the Ban on Bacteriological Weapons*. Str. 11 i 1 nlb. (Przedruk z *The Polish Review*, Vol. XV, No. 2, Wiosna 1970, pp. 105-113, New York).

CARRER (Jean). *Across the Continents... In Search of Justice*. Str. 235 i 2 nlb. (Wyd. Polish Home Army Veterans' Circle, Chicago, 1970).

MATEJKO (Alexander, Dr). *Work and Leisure*. Str. 39 (fotokopia). (Wyd. University of Alberta, Department of Sociology, Edmonton, Alberta).

LAUB (Gabriel). *Verärgerte Logik — Aphorismen*. (Tłum. z czeskiego Friedrich Torberg). Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1969).

LAUB (Gabriel). *Enthüllung des nackten Kaisers — Satire in Be-griffen*. Str. 152. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1970).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-9-70

Wiktor Loth, znany piłkarz i działacz sportowy w okresie międzywojennym, zmarł w wieku 67 lat. ■ Wybitny fizyk sowiecki o reputacji światowej, Pimienow, został zaarrestowany w Leningradzie za posiadanie utworów A. Siniawskiego (Pseudonim A. Terc).

19-9-70

Sąd wojewódzki we Wrocławiu skazał sprawców nieudanego porwania (w dn. 7. VIII. 70) samolotu PLL „Lot”. Jakub Frey został skazany na 13 lat więzienia, St. Kręcioch — 5 lat, Witold Scierko — 4 lata. ■ W sali koncertowej Filharmonii Narodowej w Warszawie rozpoczął się XIV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Jesień Warszawska”. ■ Żeby przeciwdziałać rosnącym wypadkom porywania samolotów (w ciągu roku było 7 „porwań” z tego dwa nieudane) „Lot” wprowadził szereg ograniczeń na liniach wewnętrznych. Praktycznie pasażerowie nie mogą mieć bagażu ręcznego przy sobie, z wyjątkiem książki, periodyków czy pieniędzy. Pasażerki zaś mogą mieć kosmetyki, zamknięte w specjalnych torebkach dostarczanych przez linię lotniczą. ■ Redakcja *Miesięcznika Literackiego* w Warszawie przyznała doroczne nagrody tego czasopisma na rok 1970: Władysławowi Machejkowi za książkę „Poselskie potyczki”, i Jaremic Maciszewskiemu za: „Szlachta polska i jej państwo”, oraz K. T. Toeplitzowi za książkę „Pies w studni”.

21-9-70

Zmarł w Warszawie Jerzy Mieczysław Rytard (Mieczysław Kozłowski), poeta, prozaik, były skamandryta.

22-9-70

Zmarł prof. dr Tadeusz Manteuffel, dyrektor Instytutu Historii PAN.

23-9-70

Andrzej Rybak i Roman Jasiński, uczniowie szkoły technicznej, zostali skazani na 5 i 4 lata więzienia za próbę skierowania (10. VI. br.) do Wiednia samolotu LOT kursującego między Katowicami i Warszawą.

27-9-70

Sowiecki bezzałogowy statek kosmiczny „Łuna-16” wylądował na księżycu. Statek pozostał, natomiast wyrzuciona przezeń rakietą wróciła wraz z próbkami księżycowego gruntu na ziemię. Jest to pierwszy wypadek startu z powierzchni księżycy bezzałogowej rakiety kosmicznej.

1-10-70

Jedna piąta członków Czechosłowackiej Partii Komunistycznej została usunięta na skutek ostatnich czystek. ■ W Pradze został aresztowany b. dyrektor przemysłu uranium w Czechosłowacji, Karel Boczek. Jest on oskarżony o próbę złamania monopolu Związku Sowieckiego na zakup uranium czechosłowackiego i prowadzenie rozmów z firmami zachodnimi w tej sprawie. Również zarzucają mu autorstwo sloganu „Ani grama uranium dla okupanta”, który był szeroko rozpowszechniony po interwencji wojsk Paktu

Warszawskiego. ■ W Kielcach ukazał się pierwszy numer miesięcznika społ.-kult. *Przemiany*. Radio i prasa, zamieszczając wynurzenia dygnitarzy z W. Kraśko na czele, zapomniało poinformować kto jest redaktorem nac. i jaki jest skład redakcji. Ukazał się również w Rzeszowie tygodnik regionalny *Podkarpace*.

2-10-70

W Warszawie rozpoczął się Międzynarodowy Zjazd tłumaczy literatury polskiej. Bierze w nim udział ok. 100 tłumaczy z 20 krajów, reprezentujących 35 narodów. Zjazd trwać 8 dni. Nagrody ZAIKSu za działalność przekładową otrzymali: Kurt Kelm z NRD, Klaus Staemmler z NRF i David J. Welsh z USA.

6-10-70

W Warszawie rozpoczął się VIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Chopina. Ma trwać ok. 3 tygodni. ■ Zmarł w Warszawie znany pisarz i poeta Julian Przyboś w wieku lat 69. ■ Prezydium PAN, pod przewodnictwem prof. Janusza Groszkowskiego, powzięło uchwałę o utworzeniu Komitetu Badań nad Imperializmem. Czyżby nowa posada dla kulturologa „dra” Janusza Kolczyńskiego?

7-10-70

W Niemczech Wschodnich rozpoczęły się manewry wojsk Paktu Warszawskiego. Są to największe manewry w okresie powojennym. Odbywają się pod dowództwem ministra Spraw Wojskowych Niemiec Wschodnich, gen. Heinza Hoffmanna. Zwraca uwagę, że udział Rumunii jest czysto symboliczny: ograniczyła się ona do przysłania jedynie ekipy oficerów sztabowych. ■ W laboratorium pól sprzężonych Wojskowej Akademii Technicznej PRL zbudowano prototyp wzmacniacza elektronowo-fonowego ciągłego działania i fasera na falach powierzchniowych w kryształach siarczku kadmu. Zbudowane układy otwierają ogromne możliwości miniaturyzacji wielu układów elektronicznych. ■ W Warszawie odbył się XV Kongres Międzynarodowego Centrum Naukowej Organizacji Pracy w rolnictwie (CIOSTA) z udziałem 150 specjalistów z 16-tu krajów. Po raz pierwszy Kongres ten odbył się w kraju bloku wschodniego. ■ Zakończyły się egzaminy wstępne do wyższych uczelni w Polsce. Przygotowanie kandydatów było bardzo słabe. Tradycyjnie najsłabszą stroną okazała się matematyka, zdumiewała minimalna znajomość języków obcych i brak umiejętności samodzielnego myślenia.

10-10-70

Zmarł w Warszawie Adam Rapacki, b. min. Spraw Zagranicznych PRL, żył 61 lat. W przeszłości ekonomista, publicysta, członek PPS. Wielokrotnie członek KC i Biura Politycznego PZPR, twórca tzw. „planu Rapackiego” (strefa bezatomowa w Europie Środkowej), od paru lat w opozycji, odsunięty od wszystkich stanowisk. ■ Kard. Wyszyński przybył do Rzymu w towarzystwie arcbp. Kominka. Przypuszcza się, że głównym powodem pobytu w Rzymie jest sprawa uznania przez Watykan diecezji polskich na Ziemiach Odzyskanych. Wcześniej przybył do Rzymu kard. Wojtyła.

12-10-70

Znany uczoney sowiecki Andrzej Sacharow, akademik, oraz czterech czołowi fizycy Związku Sowieckiego, wystosowali pismo do prokuratora w Leningradzie, protestujące przeciwko procesowi matematyka Pimienowa, który rozpoczęła się 14. X. br. w Kafudze i domagające się dopuszczenia ich jako obserwatorów. Pimienow jest oskarżony o rozpowszechnianie tekstu „2000 słów”, ogłoszonych w Pradze przed interwencją sowiecką i o posiadanie zaka-

zanych książek. Pimienow był już aresztowany w 1957 roku za działalność „antysowiecką” i skazany na 10 lat więzienia. Następnie ułaskawiony w 1963 roku na skutek interwencji prezesa Akademii Nauk Keldycha. Po uwolnieniu uzyskał stopień doktora nauk. Ponownie aresztowany latem 1970 w Centrum Naukowym w Obnińsku. ■ Według danych *Rocznika Statystycznego 1970*, przyrost naturalny w Polsce był w ub. roku najniższy w okresie powojennym i wynosił 8,2 promille. ■ Jak informuje *Trybuna Ludu* w okresie 1956-1969 opuściło Polskę, w ramach łączenia rodzin, około 400 tysięcy osób, które osiedliły się w Niemczech Zachodnich.

## 13-10-70

Michaił Makarenko, b. dyrektor Klubu literackiego i artystycznego w Akademgorodku, o którego aresztowaniu za „działalność antysowiecką” donosiła prasa w ub. miesiącu, został skazany na 8 lat więzienia.

## 14-10-70

Chiny wystrzeliły bombę termonuklearną „H” o mocy 3 megaton. Jest to czwarta bomba „H” i dwunasty wybuch atomowy w Chinach Ludowych. ■ Kanada nawiązała stosunki dyplomatyczne z Chinami. W najbliższym czasie spodziewane jest uznanie Chin Ludowych przez Belgię i Austrię.

## 15-10-70

Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną obchodzi 15-tolecie swej działalności. Organizacja ta twierdzi, iż w 1964 roku utrzymywała kontakty ze 145 organizacjami i stowarzyszeniami emigracyjnymi i że ta cyfra wzrosła w roku 1969 do 348. ■ W Warszawie przestał wychodzić ostatni dziennik w języku yiddisz *Folksstimme*. W ostatnim okresie nakład *Folksstimme* nie przekraczał 300 egzemplarzy. ■ Pasażerski samolot sowiecki kursujący między Batum a Soczi został zmuszony do lądowania w Trebizondzie (Turcja) przez 2-ch obywateli sowieckich narodowości litewskiej, ojca i syna Brazinska Koreyra i Argezasa Koreyra. W trakcie porwania została zabita hostessa i ranni dwaj członkowie załogi. Byli już poprzednio w Związku Sowieckim cztery nieudane próby porwania samolotu: w Mołdawii, w Krajach Bałtyckich i w Leningradzie. ■ W Pradze miał rozpocząć się proces przeciw 7-miu z 11 autorów „Manifestu w 10 punktach”, który był złożony najwyższemu władzom czechosłowackim w przededniu 21 sierpnia 1969. Oskarżonymi są: Karel Tesar, i Rudolf Battek — obaj od roku w więzieniu — oraz przebywający prowizorycznie na wolności: Ludvik Vaculik (autor „Manifestu 2000 słów”), Iri Hochman, Vladislav Nepras, L. Kohout i Vaclav Havel. W ostatniej chwili proces odroczonego do czasu wyzdrowienia Ludka Pachmana, który 14-go bm. został przeniesiony z więzienia do kliniki psychiatrycznej. ■ W Moskwie zmarł szpieg sowiecki Gordon Lansdale (prawdziwe nazwisko Konon Molody). Mając 15 lat był już agentem sowieckim w polskim ruchu podziemnym. ■ Pięciu młodych cudzoziemców, w tym jedna dziewczyna, została aresztowanych w Moskwie na Placu Czerwonym za manifestację w obronie więźniów politycznych w Związku Sowieckim. ■ Fizyk sowiecki, Sacharow, który miał wraz ze swymi kolegami asystować przy procesie Pimienowa, został poinformowany przez władze, że proces został odroczonego do 20-go bm. ■ Stan zdrowia Aleksandra Twardowskiego, b. redaktora *Nowawo Mira* i lidera liberalnej tendencji w Związku Pisarzy Sowieckich, jest beznadziejny. Twardowski cierpi na raka płuc oraz na nowotwór w mózgu. ■ W Pradze odbyło się spotkanie „naukowców” z 8 krajów socjalistycznych, poświęcone wymianie poglądów na temat „historycznego miejsca socjalizmu i etapów i kryteriów jego rozwoju”. Ze strony polskiej pouczali Czechów „prof. dr” Henryk Chołaj i „doc. dr” Stefan Jarosz.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

## 16-9-70

W czasie Expo 70 w Japonii sześć czeskich recepcjonistek — które poprosiły o azyl — zostało wydanych władzom czeskim; odstawiono je na statek sowiecki. Okazuje się, że władze japońskie zobowiązały się wobec krajów bloku komunistycznego do nieudzielania azylu. ■ W Tel Avivie zmarł Iechak Grynbaum, jeden z czołowych przywódców żydostwa polskiego w okresie międzywojennym, b. poseł do Sejmu polskiego. Był on pierwszym ministrem spraw zagranicznych Izraela po uzyskaniu niepodległości. Zył lat 91. ■ Bohdan Hanuszczak, poseł i speaker legislatury prow. Manitoba (Kanada), został ministrem konsumpcji tejszej prowincji. B. Hanuszczak jest czynnym działaczem ukraińskim w Kanadzie.

## 17-9-70

Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, A. Mazewski, został mianowany przez prezydenta Nixona zastępcą członka pięcioosobowej delegacji USA do ONZ. ■ Znany miesięcznik ukraiński *Nowi Dni* po kilkomiesięcznej przerwie, spowodowanej śmiercią redaktora i wydawcy P. Wołyniaka, zaczął ponownie wychodzić. Naczelnym redaktorem został D. W. Kislica. ■ Na sesji Stowarzyszenia Europejskich Agencji Prasowych w Wiedniu przyjęto do tej organizacji 5 agencji krajów socjalistycznych m.in. przyjęty został PAP. Do stowarzyszenia nie należą do chwili obecnej urzędowe agencje czeska i rumuńska. ■ W chorwackiej emigracji politycznej nastąpił rozłam. Jak donosi *Chorwacka Drżawa* Komitet Narodowy, naczelną reprezentacją emigracji chorwackiej, zdecydował się na zbliżenie do Związku Sowieckiego i współpracę z chorwackimi komunistami. Celem tego posunięcia jest utworzenie niezależnej i neutralnej Chorwacji, wchodzącej w skład Komekonu. Komitet postuluje stworzenie wolnocłowej strefy w porcie Rieka i oddanie baz Sowietom w Mostarze i Puli. Komitet postuluje również rozpoczęcie współpracy z Albaniami. Ta zmiana stanowiska jest rzekomo spowodowana obawą przed powstaniem politycznej osi Bonn - Belgrad - Rzym, skierowanej przeciwko interesom małych narodów. Komitet przypuszcza, że uzyska pomoc Związku Sowieckiego, któremu zależy na popieraniu separatystycznych dążeń chorwackich, celem osłabienia pozycji marszałka Tito. Ta gwałtowna zmiana taktyki politycznej spowodowała głęboki konflikt w szeregach emigracji chorwackiej i serię zamachów terrorystycznych, które zresztą są charakterystyczne dla tej emigracji.

## 25-9-70

Znany pisarz Erich Maria Remarque zmarł w Lozannie, w wieku 73 lat. ■ Wypadek bez precedensu: Kuba wydała Stanom Zjednoczonym pirata powietrznego Roberta Labadie. ■ Rzecznik Pentagonu stwierdził, że Związek Sowiecki jest w trakcie instalowania na Kubie bazy dla atomowych łodzi podwodnych. Jest ona w porcie Cienfuegos, 250 km od Hawany. Władze amerykańskie zaraz potem wycofały się z tego oskarżenia — w imię nie drażnienia stosunków z Moskwą.

## 28-9-70

Zmarł w Baltimore (Maryland) John dos Passos, w wieku 74 lat. Był on wybitnym pisarzem amerykańskim, ostatnim przedstawicielem „straconego pokolenia”, które wydało m.in. Fitzgeralda i Hemingwaya.

## 1-10-70

Niedawno ukazała się w Moskwie w dużym nakładzie, książka młodego polskiego socjologa Al. Matejki „Ustłwia twórczego truda”. (Izdat. Mir, 1970). A. Matejko jest obecnie *associate professor* na Uniwersytecie Alberta w Edmonton, Kanada. ■ W Paryżu odbywa się Zjazd Światowego Technicznego Komitetu — ISO/TC61 Plastic, opracowującego międzynarodowe specyfikacje w dziedzinie tworzyw sztucznych. Jednym z dwóch delegatów Rep. Poł. Afrykańskiej jest inż. chem. A. Orlikowski. ■ Znany pisarz i publicysta londyński, Janusz Kowalewski, został — za podpisami gen. Duchy i ppłk. Nadratowskiego, l.dz. 287/S.F./70, — mianowany kapralem. Gratulacje!

## 5-10-70

W Bonn rozpoczęły się rokowania polsko-niemieckie. Jest to szóste spotkanie między wiceministrem PRL Winiewiczem, a ministrem stanu do spraw zagranicznych Duckwitzem.

## 8-10-70

Aleksander Sołżenicyn otrzymał nagrodę Nobla z dziedziny literatury. Sołżenicyn nagrodę przyjął. Nie jest natomiast pewne czy władze sowieckie pozwolą mu udać się 10 grudnia br. na uroczystość wręczania nagród. Związek Pisarzy Sowieckich oraz cała prasa sowiecka gwałtownie potępiły przyznanie mu nagrody.

## 9-10-70

Zmarł, w wieku 75 lat, Jean Giono, wybitny pisarz francuski, autor *Chant du monde* i *Hussard sur le toit*.

## 10-10-70

Dr Tadeusz Bielecki wygłosił w Polskim Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu odczyt na temat „Chiny dawne i współczesne. Próba spojrzenia w przyszłość”. ■ Zmarł w Paryżu, w wieku 86 lat, Edouard Daladier, wielokrotny premier 3-ciej Republiki. Nazwisko jego jest związane w pierwszym rządzie z układem monachijskim z 1938 r. i wypowiedzeniem wojny Niemcom we wrześniu 1939 r. ■ W Winnipegu rozpoczął się 21-szy Walny Zjazd Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Jednym z celów Zjazdu jest wybranie nowego Głównego Zarządu Kongresu na okres dwuletni. ■ Na 17-tym Międzynarodowym Festiwalu krótkometrażowych filmów propagandowych Andrzej J. Bukowiński zdobył trzecią nagrodę dla Argentyny. A. J. Bukowiński przyjechał do Argentyny jako dziecko, w 1949 roku. ■ Gen. Roman Odzierzyński wybrany został w Londynie przewodniczącym Głównej Komisji Skarbu Narodowego. ■ Rozbicie wśród Rady Naczelnej Org. Polskich w Australii, które nastąpiło po śmierci gen. Kleberga, niestety się pogłębia. P. A. W. Sochacki zwołał nadzwyczajny zjazd, nieuznany przez drugą stronę, popierającą p. J. Dunin-Karwickiego. Obie strony powołują się na względy statutowe.

## 12-10-70

W Paryżu rozpoczęła się Konferencja Generalna UNESCO. Ma potrwać około miesiąca. Działalność UNESCO od dawna była ostro krytykowana, a ostatnio spotkała się z bardzo surową oceną b. premiera kanadyjskiego Lester Pearsona i Australijczyka, sir Roberta Jacksona, których Narody Zjednoczone zaprosiły do oceny dotychczasowej działalności organizacji międzynarodowych. Konferencja ma przepracować sprawy współpracy międzynarodowych w dziedzinie *informatique*, długoterminowy program na temat „człowiek i biosfera”,

rok międzynarodowy książki w 1972 oraz stworzenie europejskiego Centrum Studiów Wyższych. ■ *Les Lettres Nouvelles* kierowane przez Louis Aragona, (nie tylko pisarz, ale i członek KC francuskiej partii komunistycznej), w artykule wstępnym red. nac. Pierre Daix stwierdzają, że „wybór Sołżenicyna jest jednym z tych, które usprawiedliwiają istnienie nagrody literackiej Nobla”. ■ 5 turystów rumuńskich, biorących udział w wycieczce zbiorowej do Paryża (35 osób), wybrało wolność. Jeden z nich usiłował popełnić samobójstwo gdy kierownictwo wycieczki chciało go zmusić do udania się na lotnisko. Został odratowany.

## 13-10-70

W wyborach majowych w Izbie Gmin znalazło się 11 posłów-członków Anglo-Polish Conservative Society. W zarządzie APCS prezesem jest obecnie T. J. Sas, a w zarządzie ze strony polskiej znajdują się: inż. T. Lisicki, S. Kleczkowski, W. Cichy, E. Hinterhoff, Z. Racięcki, K. Zbyszewski.

## 15-10-70

W kaplicy Kardynała Doepfnera, Arcybiskupa Monachium, odbyła się „Msza pojednania”, odprawiona przez proboszcza Filetto i Biskupa Sufragana Monachium Mgr. Matthiasa Defreggera. Biskup Defregger był oskarżony o masakrę w Filetto 7 czerwca 1944 roku, kiedy był kapitanem Wehrmachtu. Rodziny ofiar masakry w Filetto, jak i rodziny żołnierzy niemieckich zabitych w miasteczku Abbruzzów wzięły udział w tej mszy. Kardynał Doepfner obiecał delegacji włoskiej udać się do Filetto na inaugurację pomnika ofiar. ■ Nagrodę Nobla z dziedziny medycyny otrzymali sir Bernard Katz (W. Brytania), dr Julius Axelrod (USA) i dr Ulf von Euler (Szwecja). ■ Zarząd Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego uzyskał zgodę władz miejskich Londynu na budowę polskiego centrum. Został również sfinalizowany kontrakt kupna kościoła Baptystów, którego gmach po przebudowaniu jest przewidziany na siedzibę polskich bibliotek. To wszystko pozwala na realizowanie tzw. wielkiego planu POSKu. Prace związane z przebudową rozpoczną się jeszcze w roku bieżącym. *Kultura* najgoręcej apeluje do swych Czytelników o zapisywanie się na członków POSKu. Wpisowe wynosi 10 £.stg. Adres Ośrodka: *Polish Social and Cultural Association Ltd.*, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

## Zamiast Humoru krajowego

Skomplikowane zasady rządzą sprzedażą sznurka do snopowiązałek. Można go sprzedawać tylko od połowy kwietnia do końca września. Sprzedawca następuje na listy imienne właścicieli snopowiązałek. Ilość sprzedawanego sznurka jest reglamentowana: 80 do 100 kg sznurka na jedną snopowiązałkę, zależnie od jej rodzaju. Wszystko to sprawia, że użytkownicy tych maszyn mają kłopoty z uzyskaniem sznurka, jako że niektóre maszyny są lepiej wykorzystane i więcej pracują, a także dlatego, że tego sznurka brakuje. Dziwne jest owo dozorowanie niczym złota czegoś, co jednak jest tylko sznurkiem.

W nowowytbudowanym wieżowcu spółdzielni mieszkaniowej „Kolejarz” lokatorzy narzekają na... nadmiar luksusu: po pociągnięciu łańcucha spłuczki w w.c. płynie gorąca woda. Po licznych narzekaniach lokatorów z całego kraju na braki ciepłej wody sygnalizujemy i te pretensje, na dowód, że ludziom nie można dogodzić.

*Życie Gospodarcze*, Nr 38 z 20 września 1970.

Na osiedlu Kozłówek w Krakowie, w nowym domu oznaczonym numerem 5, w 60 na 120 mieszkań jeszcze przed wprowadzeniem się lokatorów legły w gruzach ścianki działowe między pokojami. Po prostu rozsypały się samoistnie. Administracja domu uznała, że mieszkania te nie nadają się do użytku i wstrzymała wydawanie kluczy. Decyzję tę zakwestionowała dyrekcja przedsiębiorstwa budowlanego, która zamiast robić nowe ścianki upierała się, że ludzie mogą wprowadzać się i mieszkać. Argument? „Ścianki działowe są tak lekkie, że ich walenie się nie zagraża życiu lokatorów”. Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa znalazło się dzielnie, bo w ogóle nie włączyło się do dyskusji, tylko oddało sprawę do prokuratora. Spieszmy pocieszyć krakowskich budowlanych, że dochodzenie i jego ewentualny efekt sądowy również nie zagrażają ich życiu.

*Życie Gospodarcze*, Nr 39 z 27 września 1970.

*Osobliwości języka handlowego*: rekwizyty pogrzebowe to — „galanteria cmentarna”. O konieczności mrożenia napojów władze pouczają personel restauracji takimi słowami: „Napoje chłodzące podawać w stanie schładzanym”. Zaopatrzyć sklep w towar to „dotowarować”. Poza tym istnieje „hurtodetal” i „targokonferencja”, co nie ma jednak nic wspólnego z konferencją, na której ludzie o coś się targują.

Znakomite wyroby Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „FEMINA” cieszą się zasłużonym uznaniem na rynkach krajowych i zagranicznych. Biuro „Opinia” przeprowadziło ankietę wśród nabywczyń bielizny z „Feminy”, która dobre o nich mniemanie potwierdza w pełni. Damskie komplety z milanezu mają tylko nieliczne wady, a to:

- Po praniu kurczą się koszulki, a z tyłu wyrasta im ogon. Kurczą się dokładnie o 4 cm i wzdłuż i w szerz.
- Odbarwiają się i mechacą.
- Mają zły podkrój (?) dekoltów.
- Ramiączka się zwijają.
- Gumki w majtkach pękają nagle, ale jest to właściwie zaleta, bo cóż w naszym życiu może być radośniejszego, niż widok spadających komuś na ulicy majteczek z milanezu?

*Życie Gospodarcze*, Nr 40 z 4 października 1970.

## Listy do Redakcji

Windsor, 25 lipca 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. A. Ciołkosza w *Kulturze* Nr 6/273, pragnę zorientować autora, co myśli przeciętny emigrant o liście Prezesa P.P.S.

Najpierw prehistoria słowa „polityk”: to człowiek, który co innego mówi, co innego myśli i co innego robi.

Całe moje 67-letnie życie traktowałem powyższą definicję jako złośliwy żart krytyków, jednakże p. A. Ciołkosz, listem do *Kultury*, definitywnie wyprowadza mnie z błędu i co więcej, stwierdza w nim zupełny zanik rozeznania rzeczywistości.

Demagogiczne insynuowanie zarzutów p. Gen. Dr. Odzierzyńskiemu o generałach, sanatorach i masonach jest nie tylko bezsensowne i śmieszne ale też utwierdza mnie w przekonaniu, że p. A. Ciołkosz nie zna Generała.

Istotą rzeczy w zagmatwanych politycznych wywodach p. A. Ciołkosza jest, jak mi się wydaje, zraniona duma Prezesa P.P.S. po głosowaniu, którego wynik był 41 do 29. Wynik logiczny, biorąc pod uwagę możliwość wyborców głosowania na polityka jak wyżej, lub na człowieka o nieskazitelnym charakterze, człowieka o najwyższych wartościach moralnych, który to co mówi to i myśli i to robi.

„Swoich danych biograficznych nie załączam. Nie są potrzebne” — pisze w ostatnim zdaniu swego listu p. A. Ciołkosz. Skąd taka pyszałkowatość u Męża Stanu. Czyż istotnie nie dociera do świadomości p. A. Ciołkosza fakt, że prawie dla 3/4 emigracji nazwisko Adam Ciołkosz jest niczym, no bo i skąd mają o Nim wiedzieć. My starsi, ta 1/4 oczywiście, pamiętamy sukcesy i osiągnięcia Prezesa P.P.S. z czasów ery kiełbas wyborczych i mamy pełny szacunek dla Jego wieńca laurowego zdobytego na niwie P.P.S.

Napaść bezpodstawa na bardzo szanowanego przez wszystkich uczciwego i porządnego człowieka, jakim jest p. Gen. Dr. Odzierzyński nie przysporzy splendoru wieńcowi laurowemu Prezesa P.P.S. Jeśli tu ktoś zrobił błąd polityczny to tylko p. Ciołkosz, napadając stylem maglowym na zacnego człowieka.

Rozumiem, że w polityce, jeśli się nie ma przeciw uczciwemu człowiekowi konkretnych zarzutów, to się go obrzuca paszkwilami ale nie przypuszczam, że mąż stanu na miarę p. Ciołkosza posłuży się tą metodą.

W Nrze 274/275 *Kultury* w liście swoim p. St. Łaniewski (też maglowym stylem) zarzuca p. Gen. Dr. Odzierzyńskiemu, bezzasadne, gołosłowne i oszczerze zarzuty skierowane przeciw Wolnomularstwu polskiemu.

W swoim zacietrzewieniu polityczno-masońskim obaj Panowie, tak Ciołkosz jak i Łaniewski, zapomnieli o przyczynach, które skłoniły nas do pozostania na emigracji. Panu Ciołkoszowi wolno być socjalistą, bo taki jest Jego przywilej na Zachodzie. Panu Łaniewskiemu nikt nie jest w stanie zabronić wyznawania idei masońskich. To jest Jego przywilej. Bądźcie więc Panowie sprawiedliwi i pozwólcie p. Gen. Dr. Odzierzyńskiemu nie być ani socjalistą ani masonem a po prostu uczciwym, porządnym i szlachetnym człowiekiem co jest z kolei Jego przywilejem.

Z listów tak p. Ciołkosza jak i p. Łaniewskiego wyczytuję intencje modne

bardzo w latach 1917-1920 na wschodzie Europy, że „kto nie jest z nami *datoj s nim*”. Panowie, nie chcemy być tumanieni ani socjalizmem ani masonerią, chcemy być sobą. Przestańmy więc obrzydzać sobie nawzajem ten gorzki kawałek chleba emigracyjnego i szanujmy upodobania i wierzenia bliźnich. Czyż nie dla tego pozostaliśmy dobrowolnie na emigracji.

Pozostaję z prawdziwym szacunkiem i poważaniem

Tadeusz BIELECKI

Monachium, 9 września 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Zakrzewskiemu udał się zgrabny kalambur: dziwne słowa nazwał dziwologami. Skoro słowa go interesują, to też zapewne zaciekawia go informacja, że choć „Don Kiszot” przywędrował do nas przez francuszczyznę, to jednak jego postać fonetyczna odpowiada hiszpańskiej z czasów Cervantesa. Imię Rycerza Smutnego Oblicza pisało się po hiszpańsku dawniej „Don Quixote” — tak samo jak po dziś dzień pisze się je po angielsku — a hiszpańskie „x” wymawiało się jak nasze „sz”. Stąd też Francuzi piszą je Don Quichotte, a Włosi — Don Chisciotte. To nie jest bynajmniej pomyłka. Ta przyswojona forma, wywodząca się z oryginału, nie wzbudza zdaje się sprzeciwów ani we Francji, ani we Włoszech. Forma Don Quijote istnieje w języku hiszpańskim dopiero od początku zeszłego stulecia, kiedy to zreformowano ortografię hiszpańską. Forma Don Kijote, która się p. Zakrzewskiemu najbardziej podoba, jest chyba najgorsza, bo ani fonetyczna, ani zgodna z oryginałem. Wszystkie te względy nie przeszkadzają zresztą naszym hispanistom ciągle wracać do tej sprawy. Jeśli narzucą nam oni formę „Don Kichote”, to trzeba by pozostać konsekwentnym i wino sherry nazywać po polsku „chery”, bo miejscowość Xeres (fonetycznie: sheres) nazywa się dziś Jerez de la Frontera (a więc: chereth).

Nawiasem warto dodać, że pisanie fonetyczne, a więc tak jak się mówi, jest praktycznie biorąc niemożliwością. Sprawia to nie lada kłopoty badaczom dialektów, których zapisy są bardzo skomplikowane i laikowi trudno je w ogóle odczytać, a największe kłopoty sprawia Chińczykom w walce z alfabetyzmem.

Forma Don Żuan tak samo nie jest jakimś dziwactwem, przejętym przez nas w sfrancuziałej formie, bo tak właśnie się wymawiało imię Juan do XVI wieku.

I jeszcze jedno: między Indią a „Włochą” nie ma żadnego podobieństwa. „India” nie jest wynalazkiem szalonego umysłu, jak mniema p. Zakrzewski, ale formą znaną w polszczyźnie od XIV wieku, jak to stwierdził Klemensiewicz, a jeszcze Linde wolał „Indię” niż „Indie”. Czy słuszne było wracać do starej liczby pojedynczej, to inna sprawa. Klemensiewicz i Doroszewski byli za powrotem, a Słuszkiewicz i Taszycki — przeciw. Trzeba też przypomnieć, że India — to ma być tylko państwo indyjskie, które należałoby nazywać może Stanami Zjednoczonymi Indii, a Indie — to cały subkontynent — Indie i Pakistan razem.

Ostateczna decyzja w tych sprawach zależy zawsze od narodu, bo tak samo jak w wypadku przymiotnika „radziecki” — albo się przyjmie, albo nie, bez względu na to, co o tym myślą językoznawcy i politycy.

Z poważaniem,

Wojciech GNIATCZYŃSKI

Kinshasa, 1 października 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Trudno jest analizować bezpośrednio określenie Prof. Dr. J. Drewnowskiego<sup>1</sup> rewolucji październikowej jako autentycznie socjalistycznej, bo jest wiele pojęć i definicji „socjalizmów autentycznych”<sup>2</sup>, i nie wiadomo co ma na myśli Prof. Drewnowski.

Można powiedzieć bez wdawania się w dyskusję o autentyzmie, że decydującym elementem oceny ruchów społecznych jest struktura społeczna na której bazie one się kształtują. Zobaczmy kilka danych z ostatnich statystyk rosyjskich z roku 1913<sup>3</sup>. Ludność miejska wynosiła zaledwie 18 %, zaś ludność wiejska 82 % ogółu ludności. Robotnicy stanowili 1,5 % ludności. Oprócz kilku ośrodków jak Moskwa, czy Petersburg nie było ludności robotniczej w ścisłym tego słowa znaczeniu, a struktura produkcji była taka, że musiano sprowadzać najprostsze nawet artykuły przemysłowe<sup>4</sup>. Kapitalizm był dopiero w początkowych stadiach, a klasa robotnicza była faktorem trzeciorzędnym stanowiąc znikomą ułamek społeczeństwa. Czy można mówić o programie socjalistycznym bez władzy opartej o klasę robotniczą, bez produkcji przemysłowej; o dyktaturze proletariatu bez proletariatu przemysłowego (albo z istniejącym tylko na marginesie)<sup>5</sup>. Hasła i slogany którymi ta czy inna grupa polityczna chce mobilizować pewne grupy społeczne nie mogą być uważane za identyczne z danym charakterem klasowym, na który się powołują. Program socjalistyczny bez klasy robotniczej jako głównej siły rewolucyjnej, świadomości socjalistycznej bez „odpowiedniej infrastruktury sił produkcyjnych”, to „autentyczny opium dla mas”. W konsekwencji tego, jeśli nawet elita bolszewicka brała serio swój program, to po dojściu do władzy nie mogła oprzeć się na minimalnej klasie robotniczej, lecz musiała powrócić do starych rosyjskich tradycyjnych filarów władzy jak armia, czy jeszcze efektywniejszych jak aparat policyjny. Cała socjalistyczna frazeologia była i jest okrutną farsą. Nikt inny jak „Che” Guevara nazwał w swym dzienniku nieporozumieniem określenie Rosji jako państwa socjalistycznego, „gdzie spasieni szefowie policji, czy też marszałkowie” reżyserują społeczeństwo.

Łącząc wyrazy szacunku,

Bohdan J. GÓRSKI

1. *Kultura* Nr 9/276, 1970, str. 27.
2. Już w roku 1924 Dan Griffith w „What is Socialism” wynalazł ponad 250 definicji socjalizmu, dziś ilość ich jeszcze się powielokrotniła.
3. Cytowanych m.in. przez Bucharina w ABC Komunizmu.
4. Strumolin, *Oczerki Ekonomiczeskoj Istorii Rossiji*, Moskwa 1960; Chromow, *Ekonomiczeskoje rozwitije Rossiji*, Moskwa 1967; R. W. Goldsmith, *The Economic Growth of Tsarist Russia 1860-1913*, „Economic Development and Cultural Change”, April 1961.
5. Tak ale trzeba maszerować „Zurück zum Hegel” i stwierdzić, że to świadomość polityczna kształtuje stosunki produkcji, a nie odwrotnie byt kształtuje świadomość, wówczas interpretacja może być słuszna, ale nie będzie miała nic wspólnego z marksistowską.



Brooklyn, N.Y., 30 IX. 1970.

Pánovia — bratia Poliaci!

Príležitostne mojej návštevy v Nemecku dostala sa mi do rúk vaša knižka s titulom „Kultúra“ (Zvláštní číslo) 1969, začínajúc sa prvým článkom „Českým a slovenským čtenarům“.

Nemám úmysel s Vami debatovať o hodnote obsahu, však príspevky sú napísané učenými Poliakmi, chyba však je tam, že tyto pánovia zrejme prespali ten úsek histórie, kde sa Česko-Slovensko rozpoltilo vo dve republiky a to českú a slovenskú.

Ak by ste v budúcnosti dotykali ste sa beztak už jalových problémov Czechov a Slovávok, nezabúdajte písať o Czechoch a Slovákoch a nepísať o czechoslovákoch, lebo taký národ nejestvoval ani nejestvuje a to páve tak, ako nie sú žiadni poliakonemci, ani nemcopoliaci, ani rusocíňani atd.

Napokon celá táto knižka smrdí nahrávkou czvachúňom, čo je pochopiteľné len tak, že by ste Vy Poliaci nedbali nás Slovávok práve tak požrat a ujármit ako to robili a ešte i dnes robia Česi. Preto bude lepšie, keď vaša skupina odtiahne ruky od slovenských práv.

V patricznej úcte:

Rudolf KALEN

Giessen, 21 września 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem czytałem ogłoszony w Nrze 9 *Kultury* artykuł p. Antoniego Gutowskiego pt. „Jest źle — będzie gorzej”. W zasadzie zgadzam się z jego poglądami, gwoli sprawiedliwości jednak, a też ku przestrodze niefachowego czytelnika, muszę skreślić kilka słów.

Sprawa względnego wpływu wzrostu siły roboczej, kapitału stałego, i tzw. *residuum* (czyli wspólnego wpływu wzrostu postępu technicznego, wykształcenia siły roboczej, itd.), na ogólną stopę wzrostu gospodarki narodowej znajduje się od bardzo dawna na agendzie ekonomistów zachodnich. Wypada tu wymienić nazwiska M. Abramovitz, John Kendrick, Robert F. Solow, którzy zajmowali się tymi zagadnieniami przed Denisonem. Denison wypracował swe własne podejście do tych zagadnień najpierw na przykładzie gospodarki amerykańskiej, i zastosował je potem do wielu państw Europy Zachodniej.

*Déformation professionnelle* budzi również pewne zastrzeżenia — odnośnie określenia przez p. Gutowskiego książki Jean Servan-Schreiber jako „znakomitej”. Nie ulega wątpliwości, że jest to bardzo ciekawa, pobudzająca do myślenia, i miejscami wręcz prowokująca praca. Ale trudno jej dać piątkę z plusem, ponieważ p. Servan-Schreiber zainteresowany był przede wszystkim „przebudzeniem” zachodnioeuropejskich czynników rządowych i gospodarczych (jak również opinii publicznej). Z tego też powodu książkę cechuje pewna przesada w formułowaniu wniosków, jak również i niepełność opracowania pewnych zagadnień (co nie jest grzechem śmiertelnym w publicystyce, lecz czasem bywa takim właśnie grzechem w opracowaniach naukowych). Pobieranie ważnych decyzji gospodarczych na podstawie wniosków p. Servan-Schreiber uważałbym co najmniej za przedwczesne.

Wreszcie sprawą problemów wynikających ze „staromodnego” gospodarowania rządów komunistycznych w Europie Wschodniej zajmuje się od wielu już lat (i bez bodźca z jakiegokolwiek strony) wielu ekonomistów zachodnich.

Tutaj rej wiodą Gregory Grossman, John M. Montias, Jean Marczewski, Ben Ward, Eugeniusz Zaleski i Alfred Zauberman. Jak widać, nie brak wśród nich Polaków.

Łączę wyrazy poważania.

Jerzy F. KARCZ  
Uniwersytet Kalifornii, Santa Barbara

P.S. Dodać może warto, że i w tej dziedzinie niestety niewielu z nas zajmuje się popularyzacją wiedzy fachowej. Ale za to już mi kilkakrotnie Pan Redaktor ucinął uszy!

Toronto, 22 września 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziwny wydaje mi się upór głównego publicysty *Kultury*, J. Mieroszewskiego, opracowującego dziesiątki wariantów tzw. „socjalizmu z ludzką twarzą”, który to, jak twierdzi, ma być jedynym rozwiązaniem i zbawieniem dla Polski. Panu Redaktorowi, czy też może jego wpływom zawdzięczamy odmowę druku w *Kulturze* świetnego artykułu L. Tyrmanda, który ukazał się w *Wiadomościach* Nr 1257 — 3. V. 1970) pt. „Socjalizm — czyli pewność”. Artykuł ten został, jak podaje L. Tyrmand, dwukrotnie odrzucony przez Pana Redaktora, raz jako niezgodny z linią polityczną *Kultury*, a po raz drugi, gdy autor proponował druk jego z wyraźnym zaznaczeniem, że reprezentuje on wyłącznie poglądy autora.

A przecież, żeby nie sięgać daleko, artykuł, A. Peczenika (*Kultura* Nr 274/275, dział „Wolna Trybuna”) „Kwadratura koła socjalizmu” odbiega diametralnie od linii polityki *Kultury*. G. Herling-Grudziński (Nr 270 dział „Obserwatorium”) w swoim artykule „Maszyna na złom” nie widzi możliwości naprawy, czy uzdrowienia panującego w Polsce systemu. A. Amalrik w swej pracy „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?” wbija gwóźdź do trumny tejsze polityki. Czyżby powyższe przytoczone prace, gwoli tejsze linii politycznej, również nie powinny być drukowane czy wydawane przez *Kulturę*, czy Instytut Literacki, a ukazały się tylko przez... przeoczenie?!

Wydaje mi się, że CELEM polityki *Kultury*, jest i winno być przesunięcie ośrodka dyspozycyjnego dla Polski i Polaków z Moskwy do Warszawy. I tu jest pole do popisu dla *Kultury* w rozważaniach, dyskusjach, badaniach, analizach, otworzywszy szeroko swe łamy, jaki z systemów, polityczno-ekonomiczno-społecznych najlepiej i najprędzej może ten cel osiągnąć.

Kończąc ten list łżejszą nutą chcę przytoczyć parę zdań z książki M. Hłaski, „Piękni dwudziestoletni”: „Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nie należący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta jakiego można sobie wyśnić — a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu: ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie”.

Cóż za uderzająca analogia! Nowa Lewica, a obecnie Socjalizm Z Ludzką Twarzą potrzebny jest J. Mieroszewskiemu, bo najbardziej lubi pisać na ten temat!

Łączę wyrazy szacunku,

Bohdan KWIATKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Warszawa, 18 września 1970.

Podczas pobytu za granicą natrafiłam w *Kulturze* (Nr 4/271 z 1970 r., str. 143 u dołu) na następujący fragment:

„Tak więc za jednym pociągnięciem pozbawiono się zarówno Idy Kamińskiej jak i wstydliwego elementu jakim było tolerowanie przez jakiś czas teatru w języku żydowskim”.

W tym zdaniu nie ma słowa prawdy. Każdy warszawiak, choć trochę interesujący się teatrami, potwierdzi fakty, które chcę podać do Pańskiej wiadomości:

- 1) Teatr założony przez Idę Kamińską to jedyny na świecie teatr w języku żydowskim;
- 2) teatr ten dalej istnieje pod dyrekcją byłego aktora tego teatru;
- 3) teatr ten nie jest „tolerowany” ale szczególnie popierany, czego dowodem:
  - a) wysoka subwencja pieniężna,
  - b) nowy budynek na Placu Grzybowskiem,
  - c) mieszkania dla wszystkich pracowników.

Warto chyba aby Pan sprawdził uczciwość autora artykułu.

*Sporadyczna czytelniczka*

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK  
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte  
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4<sup>e</sup> Trimestre 1970.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg .....	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25. ....	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000 .....	\$ US 1,25	\$ US 7,00	\$ US 12,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....		160 szyl.	310 szyl.
BELGIA : Janina Korsb Brzozowska-Ceaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23. ....	60,00 F. b.	350,00 F b.	600,00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523. ....			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176. ....	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : L. Micherdzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 361 Burrows Ave., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, Polkowaki, 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491. ....	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1 .....	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431 .....	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. ....	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarow-Ossetyński, 1603 N <sup>e</sup> Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoye Av., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Kenepacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co, 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posnylak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Zych, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165. ....	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. ....		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WIŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27 Tel. : 75-67-241 .....	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta  
3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 192 — ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT OSIEMNASTY

Zawiera m.in. S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; S. Zochowskiego: *O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Oświęcim walczący. Działy: Na 25-lecie P.R.L. — W ZSSR o Powstaniu Warszawskim — Wspomnienia — Polemiki — Recenzje i Listy do Redakcji.*

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)



TOM 193 — SERIA „DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

## KRYZYS ROLNICTWA CZY KRYZYS POLITYKI ROLNEJ ?

Nowa analiza „błędów i wypaczeń” tym razem dotycząca polityki rolnej w PRL — napisana przez autora „Motorów i hamulców socjalizmu”.

Str. 64.

Cena F. 9 (dol. 2; 16 sh.)



TOM 194 — ANDRZEJ BOBKOWSKI

## COCO DE ORO

SZKICE I OPOWIADANIA

Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego chcemy przypomnieć czytelnikom w przededniu 10-ej rocznicy jego śmierci.

Str. 272.

Cena F. 20 (dol. 4,25; 33 sh.)



TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

## MODELE I PRAKTYKI

Ukaże się w drugiej połowie listopada 1970.

**Cena 6,00 F**